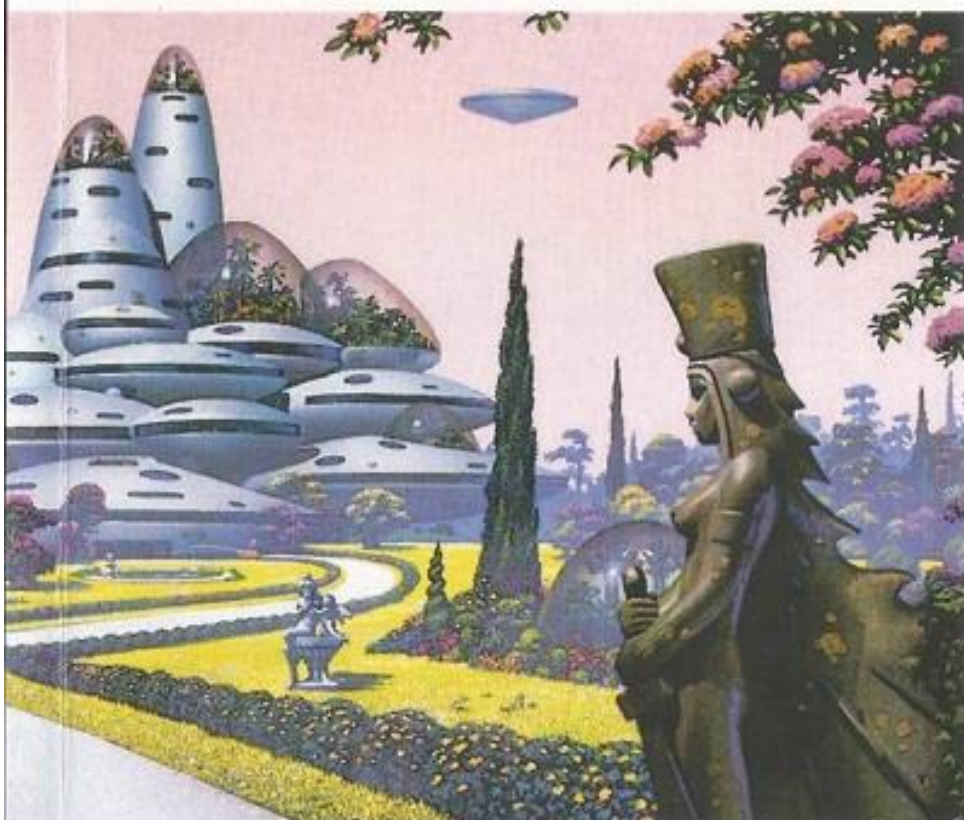




GALAKTYKA GUTENBERGA

BOB SHAW



Orbitsville I

**BOB SHAW**

**ORBITSVILLE**

Tłumaczył: Cezary Frąc

## ROZDZIAŁ 1

Prezes miała na imię Elizabeth i niektórzy uważali, że nie przez czysty przypadek imię wywarła wielki wpływ na jej styl życia. Po śmierci ojcu przemieniła Startlight House w coś, co bardziej przypominało zabytkowy dwór królewski niż siedzibę główną przedsiębiorstwa. Zarządzała swoim wartym trylion dolarów imperium z sugestią neolżbietańskiego rytuału, pałacowych intryg, przywilejów i precedensów. A drobną pamiątką z zamierzchłych czasów, irytującą Garamonda najbardziej — choć prawdopodobnie tylko dlatego, że dotyczyła go bezpośrednio - były jej osobiste rozmowy z dowódcami statków przed wyruszeniem na misje badawcze.

Garamond opierał się o rzeźbioną kamienną balustradę i bez zainteresowania w szarych oczach patrzył na opadające tarasy ogrodów, które ciągnęły się do odległego o cztery kilometry Oceanu Atlantyckiego. Starflight House stał na wierzchołku czegoś, co kiedyś było średniej wielkości islandzkim wzgórzem; obecnie dawne kontury zupełnie się skrywały pod lukrowanymi loggiami, tarasami i pawilonami. Z powietrza całość przypominała mu gigantyczny, wulgarny tort. Czekał tu już prawie dwie godziny, które wolałby spędzić ze swoją żoną i dzieckiem, i nie miał niczego do roboty poza sączeniem bladozielonych drinków i walką z narastającym niebezpiecznym zniecierpliwieniem postawą Elizabeth.

Jako odnoszący sukcesy kapitan skrzydło migacza kil-

ka razy miał okazję przebywać w jej obecności, więc niesmak, jaki w nim budziła, miał fizyczny, spersonifikowany charakter. Wpłynął na jego nastawienie bardziej trwale niż intelektualny niepokój z powodu faktu, że była najbogatszą osobą w dziejach i stała tak wysoko ponad prawem, że słynęła z zabijania niemal dla kaprysu. Często się zastanawiał, czy dlatego, że miała umysł mężczyzny, postanowiła pozostać nieatrakcyjną kobietą w czasach, kiedy chirurgia plastyczna potrafi poprawić wszystko poza najpoważniejszymi defektami fizycznymi?

Czy szeroko rozstawione, niedoskonałe zęby i blada skóra były insygniami jej władzy absolutnej?

I gdy patrzył, jak kolorowe fontanny migoczą w tarasowej dali, przypomniał sobie swoją pierwszą wizytę w Starflight House. Miał podjąć swoją trzecią misję jako dowódca i wciąż był na tyle młody, żeby się czuć skrępowany w teatralnym czarnym mundurze. Świadomość, że wchodzi w wyjątkowe relacje, jakie podobno istniały pomiędzy prezes Lindstrom a jej kapitanami, sprawiała, że był spięty, niespokojny i podenerwowany, gotów wykorzystać wszelkie zasoby swojej pomysłowości. Ale nikt w dowództwie floty ani w Admincomie go nie uprzedził, że Elizabeth wydziela słodki, gęsty zapach, który zaciska gardło, kiedy ktoś pragnie powiedzieć coś jasno.

Żaden z jego doradców w sprawie protokołu Startlight House nie udzielił mu ani jednej wskazówki, która pomogłaby młodemu człowiekowi, zawsze postrzegającemu kobiety jako istoty doskonale, ukryć naturalną reakcję na widok pani prezes. Wśród jego mieszanych wrażeń dominowało jedno: z nienaturalnie wygiętym kręgosłupem i okrągłym, wydętym jak odwłok brzuchem przypominała owada. Garamond, zamrożony w postawie bacność, unikał spojrzenia jej w oczy,

kiedy satynową poduszką brzucha musnęła kostki jego palców w czasie przedłużającej się inspekcji jego wyglądu.

Opierając się o sztucznie postarzoną balustradę, wspominał, jak wyszedł z tej pierwszej audiencji z chłodną pogardą do starszych kapitanów, którzy nie wspomnieli mu słowem o tym, co jest naprawdę ważne podczas osobistego spotkania z panią prezes, a jednak, kiedy nadeszła jego kolej, także pozwalał, żeby inni zieloni dowódcy Starflight szli bez przygotowania na taką samą inaugurację. Łatwo mu było usprawiedliwić tę bierność, kiedy brał pod uwagę możliwe konsekwencje wyjaśniania nowemu kapitanowi, że upragnione wyjątkowe relacje obejmują wymianę spojrzeń tajemnego porozumienia, kiedy - w trakcie tłumnego zebrania Adminco mu - Liz Lindstrom poda mu skrawek papieru, na którym ona, najbogatsza i najpotężniejsza istota ludzka we wszechświecie, napisała dziecięcy świński żarcik. Jeśli kiedykolwiek przyjdzie czas na samobójstwo, zdecydował Garamond, wybierze sobie łatwiejszy i przyjemniejszy sposób...

- Kapitanie Garamond - powiedział jakiś mężczyzna za jego plecami. - Pani prezes przesyła pozdrowienia.

Garamond odwrócił się i zobaczył, że w jego stronę idzie wysoki, przygarbiony wiceprezes Humboldt. Prowadził za rękę dziesięcioletnie, na oko, dziecko, krzepkiego srebrnowłosego chłopca w opalizującym sztruksowym ubraniu. Garamond rozpoznał syna prezes, Haralda, i w milczeniu skinął głową. Chłopiec odwzajemnił pozdrowienie, wodząc wzrokiem po jego odznakach i baretkach.

- Przykro mi, kapitanie, że czeka pan tak długo. - Humboldt cicho chrząknął na znak, że w inny sposób nie może wyrazić poglądów, które nie są poglądami Elizabeth. - Nie-

## Orbitsville

---

stety, pani prezes nie *zdoła się* uwolnić się od obecnych zobowiązań jeszcze przez dwie godziny. Prosi, żeby pan zaczekał.

- W takim razie muszę czekać. - Garamond wzruszył ramionami i się uśmiechnął, żeby zamustrować zniecierpliwienie. Tachionowe raporty ze stacji meteorologicznych za Plutonem prognozowały, że korzystna, bogata w jony fala, która omywała układ słoneczny, niebawem się cofnie. Planował na niej żeglować i w jak najkrótszym czasie rozpędzić swój statek do prędkości światła. Teraz wyglądało na to, że czeka go mozolne, długie grawitacyjne odpadanie od Słońca z elektromagnetycznymi skrzydłami statku omiatającymi próżnię i zbierającymi skąpe żniwo masy reakcyjnej.

- Tak. Musi pan czekać.

- Oczywiście, zawsze mógłbym odejść... i zobaczyć się z panią prezes po powrocie.

Humboldt nieznacznie się uśmiechnął w uznaniu dla jego poczucia humoru. Spojrzał na Haralda, sprawdzając, czy chłopiec skupia uwagę na czymś innym, i dopiero wtedy skomentował:

- To nie do przyjęcia. Jestem pewien, że Liz byłaby tak bardzo zawiedziona, że wysłałaby szybki statek, żeby pana sprowadził na specjalną rozmowę.

- Wobec tego nie będę jej narażać na takie niewygody - powiedział Garamond. Wiedział, że oboje nawiązują do niejakiego kapitana Witscha, krnąbrnego młodzieńca, który zniecierpliwił się po dwudniowym czekaniu w Starflight House i po cichu wystartował bez błogosławieństwa Elizabeth. Sprowadzono go w szybkim statku przechwytyjącym i jego rozmowa z panią prezes musiała być bardzo wyjątkowa, ponieważ nigdy nic nie znaleziono nawet śladu jego ciała. Garamond nie

miął pojęcia, na ile autentyczna jest ta historia - ogromna flota Starllight zatrudniała tylu ludzi, że jeden kapitan mógł nigdy nic poznać wszystkich pozostałych - ale ilustrowała pewne realia.

- Mam dla pana rekompensatę, kapitanie. - Humboldt położył wyszorowaną do różowości dłoń na srebrnej głowie chłopca. - Harald ostatnio zaczął okazywać zainteresowanie flotą skrzydłomigaczy i zadaje pytania dotyczące tematów, które luźno dotyczą teorii i praktyki lotów kosmicznych. Liz chce, żeby pan z nim o tym porozmawiał.

Garamond z powątpiewaniem popatrzył na chłopcu, którego uwagę, jak się zdawało, przykuwała grupa metalowych posągów stojących dalej na tarasie.

- Ma smykałkę do matematyki?

- Nikt nie oczekuje, że dziś po południu ma zdawać egzamin na patent kapitański. - Humboldt zaśmiał się ironicznie. - Po prostu niech pan rozbudzi jego ciekawość, kapitanie. Znam admirałów, którzy daliby sobie rękę uciąć za taką publiczną oznakę zaufania pani prezes. Ja muszę wrócić do sali konferencyjnej.

- Zostawi mnie pan z nim samego?

- Tak... Liz wysoce sobie pana ceni, kapitanie Garamond. Czy to odpowiedzialność...?

- Nie. Zajmowałem się już dziećmi. - Garamond pomyślał o swoim sześcioletnim synu, który bardziej potrząsał pięścią niż machał mu ręką na pożegnanie, wyrażając swoje poczucie straty i niezadowolenia, że ma ojca, który go opuszcza w odpowiedzi na ważniejsze zadania. Dodatkowa zwłoka spowodowana przez panią prezes oznaczała, że wyszedł z domu o cztery godziny za wcześnie, a przecież w tym czasie

## Orbitsville

---

może zdążyłby rozweselić zaczerwienione, podkrążone od płaczu oczy syna. Na dodatek doniesienia meteorologiczne informowały o słabnięciu wiatru jonowego, o jego zanikaniu do poziomu przestrzennej aktywności tła, podczas gdy on bezczynnym stał na ozdobnym tarasie i miał odgrywać niańkę dziecka, które mogło być równie neurotyczne jak matka. Po odejściu wiceprezesa Garamond spróbował się zdobyć na uśmiech, ale miał wrażenie, że próba nie wypadła zbyt przekonująco.

- Haraldzie - zagadnął, zwracając się do srebrno—perłowego chłopca - chcesz latać na skrzydłomigaczu, prawda?

Harald przyjrzał mu się chłodno.

- Pracownicy Starflight poniżej poziomu zarządu zwykle zwracają się do mnie per paniczu Lindstrom.

Garamond uniósł brwi.

- Coś ci powiem o lotach kosmicznych. Tam w górze młodszy technik jest ważniejszy niż wszyscy ci wasi kierownicy z Admincomu razem wzięci. Czy to rozumiesz, Haraldzie? Harry? - Ja jestem większym dzieckiem niż on, pomyślał w zdumieniu.

Niespodziewanie Harald się uśmiechnął.

- Wcale mnie nie interesują loty w kosmos.

- Myślałem...

- Tak im powiedziałem, ponieważ to chcieli usłyszeć, ale przy panu nie muszę udawać, prawda?

- Nie, przy mnie nie musisz udawać, synu. Ale co będziemy robić przez następne dwie godziny?

- Chciałbym pobiegać - odparł Harald z nagłym zapałem, który zdaniem Garamonda przywracał mu pełne człon-



## Orbitsville

---

kostwo w braterstwie małych chłopców.

- Chcesz biegać? - Tym razem Garamond się zdobył na szczery uśmiech. - To skromna ambicja.

- Nie wolno mi biegać ani się wspinać, żebym nie zrobił sobie *krzywdy*. Mama zakazała i wszyscy inni tak bardzo się jej boją, że ledwie pozwalają mi mrugać, ale... - Harald popatrzył na niego z nieudawanym triumfem - pan jest dowódcą skrzydłomigacza.

Garamond poniewczasie zdał sobie sprawę, że chłopiec nim manipuluje od chwili, kiedy się poznali, lecz wcale nie czuł złości.

- Zgadza się, jestem. A teraz się przekonajmy, jak szybko potrafisz przebiec stąd do tamtych posągów i z powrotem.

- Super!

- Dobra, nie ma co czekać. Start! - Garamond z mieszaliną rozbawienia i zatroskania patrzył, jak Harald się zrywa do niezdarnego biegu, szybko poruszając łokciami. Okrążył brązowe posągi i wrócił w tym samym tempie, z oczami płonącymi jak lampy.

- Jeszcze raz?

- Ile razy zechcesz. - Gdy Harald podjął swoją mało efektywną próbę zużycia nagromadzonej energii. Garamond wrócił do kamiennej balustrady tarasu i spojrzął w dół na ogrody. Pomimo popołudniowego słońca Atlantyk był szary jak węgiel drzewny i płynące z niego macki mgły spowijały smutkiem belwedery i wodospady. Samotna mewa migąta jak gwiazda w dalekim locie.

Nie chcę lecieć, pomyślał. To proste.

We wczesnych dniach pracy podtrzymywała go wiara,

że on, Vance Garamond. będzie jednym z tych, którzy znajdą trzeci świat. Ale choć loty międzygwiazdne trwały już prawie sto lat, imperium Człowieka wciąż składało się tylko z jednej poza Ziemią planety, która się nadawała do zamieszkania, i cały jego entuzjazm i przekonanie na nic się nie zdały. Gdyby mógł się pogodzić, że nigdy nie dotrze do przyjaznej dla ludzi nowej planety, wtedy chyba zrobiłby to, co chciała Aileen, czyli przyjął stanowisko na promie i co miesiąc spędzał trochę czasu w domu. Przewożenie kolonistów na Terranova byłoby nudne, ale bezpieczne i wygodne. Wiatry jonowe na tej trasie były całkiem przewidywalne, a sprawny ciąg stacji meteorologicznych eliminował ryzyko unieruchomienia przez flautę...

— Niech pan spojrzy!

Garamond odwrócił się. Przez chwilę nie mógł zlokalizować Haralda, potem zobaczył, że siedzi niebezpiecznie wysoko na ramionach jednego z posagów. Chłopiec energicznie machał ręką.

Lepiej zejść stamtąd. - Garamond próbował znaleźć dyplomatyczny sposób na ukrycie swojego zaniepokojeniu tym, jak Harald poszerzył swoje przywileje - emocjonalni szantażyści korzystają dokładnie z takich samych metod, co zwyczajni przestępcy od pozwolenia na bieganie po tarasie do prawa podejmowania ryzykownych wspinaczek, tym samym stawiając go w trudnym położeniu. Trudnym? Przyszło mu na myśl, że jego kariera dobiegnie końca, jeśli Harald choćby tylko skręci sobie kostkę.

- Przecież jestem dobrym wspinaczem. Niech pan patrzy. - Harald przerzucił nogę przez ciepłą brązową twarz, sięgając do uniesionego ramienia posągu.

- Wiem, że mniesz się wspinać, ale nie wchodzić wyżej,

póki nie podejść. - Garamond ruszył w kierunku posagów niedbałym krokiem, ale coraz dłuższym. Był przerażony. Prezes Elizabeth Lindstrom, która odziedziczyła największe w dziejach imperium finansowe i przemysłowe, była najważniejszą osobą na świecie. Jej syn miał po niej odziedziczyć Starflight, żeby przejąć kontrolę nad budową wszystkich statków kosmicznych i nad całą komunikacją pomiędzy Ziemią a drugim światem dostępnym Człowiekowi. A on, Vance Garamond, mało znaczący kapitan skrzydłomigacza, postawił się w sytuacji, która nieuchronnie wzbudzi złość jednej albo drugiej strony.

- W górę! - krzyknął Harald.

- Nie! - Garamond zrezygnował z maskowania pośpiechu i puścił się biegiem. - Proszę, nie!

Przedzierał się *przez* złośliwie gęste powietrze, które zdawało się krzepnąć wokół niego jak żywica. Harald z radosnym śmiechem pełził w kierunku kolumny metalu będącej ramieniem posągu. Nagle stracił równowagę i odchylił się do tyłu.

Jedna stopa na chwilę zahaczyła o rzeźbiony kołnierz, który zadziałał jak oś, obracając chłopca do góry nogami. Garamond, uwięziony w innym kontinuum, widział zdarzenie w zwolnionym tempie, jak powolne rozkwitanie spiralnej mgławicy. Widział, jak pomiędzy palcami Harald'a i metalową rzeźbą otwiera się pierwszy milimetr dziennego światła. Widział, jak chłopiec na pozór zawisa w powietrzu, potem nabiera prędkości, spadając. Widział i słyszał brutalne zderzenie, gdy głowa Harald'a uderzyła w podstawę grupy posągów.

Garamond padł obok niego na kolana i w jednej chwili zrozumiał, że mały chłopiec nie żyje. Miał pękniętą czaszkę, z

## Orbitsville

---

kawałkami kości wbitymi w mózg.

- Nie jesteś dobrym wspinaczem - szepnął w odrętwieniu, oskarżycielsko, do nieruchomej twarzy wciąż pokrytej kropelkami potu. - Zabiłeś nas obu. I moja rodzinę też.

Wstał i spojrział w kierunku wejścia głównego budynku, przygotowując się na konfrontację z urzędnikami i służącymi, którzy stamtąd wybiegną. Na tarasie panowała cisza mącona tylko przez szmer fontann. Wysoko w stratosferze niewidoczny samolot ciągnął po niebie powolny, milczący kilwatter. Każda mijająca sekunda była uderzeniem potężnego młota w kowadło jego umysłu i Garamond stał w idealnym bezruchu może przez minutę, zanim zrozumiał, że nikt nie zauważył wypadku.

Wyrывая się z transu, podniósł ciało Haralda, zdumiony jego lekkością, i zaniósł je do kępy kwitnących krzewów. Ciemnozielone listowie szeleściło jak metalowa folia, kiedy kładł martwe dziecko w kryjówce.

Garamond odwrócił się plecami do Starflight House i zaczął biec.

## ROZDZIAŁ 2

Miał, jeśli dopisze mu szczęście, jakieś sto minut.

Dokonał obliczeń, przyjmując założenie, że prezes ściśle określiła czas czekania, kiedy powiedziała, że przyjmie go za dwie godziny. Najpewniej tak było, skoro chciała, żeby jej syn spędził z nim cały ten czas. Mając do dyspozycji sto minut, Garamond zdecydował, że nic jest bez szans, ale wystarczy, że któryś z dwunastu osobistych służących zacznie szukać Haralda, wystarczy, że jeden z tysiąca gości zauważy plamę krwi...

Numery w grze śmierci podrygiwały i kotłowały się za jego oczami, gdy zszedł z ruchomego chodnika po dotarciu do głównej sali recepcyjnej. Jego oficjalny środek lokomocji czekał, żeby go zabrać prosto do terminala promów w North Field, i — pomimo ryzyka związanego z tym, że kierowca miał

kontakt radiowy ze Starflight House - skorzystanie z niego wydawało się najszybszym i najpewniejszym sposobem na dotarcie do statku. W rozległej, zielonej jak lód hali panował tłok, mężczyźni i kobiety wracali z popołudniowych zmian w okolicznych budynkach administracyjnych. Wydawali się odprężeni i zadowoleni, choć jakby zdeprymowani szczodrością dziennego światła. Garamond klął w duchu, gdy się przebijał przez prądy i fale ludzi, dokładając starań, żeby iść szybko bez przyciągania uwagi.

Już nie żyjesz, pomyślał w obojętnym zdumieniu. Bez względu na to, co zrobię, bez względu na to, czy szczęście mnie nie opuści przez parę następnych godzin... już nie żyję. Moja żona nie żyje. Mój syn nie żyje. Jeśli nawet fala jonowa okaże się dość silna i wypełni moje skrzydła, wszyscy jesteśmy martwi - ponieważ nie ma się gdzie ukryć. Jest tylko jeden inny świat i tam właśnie będą czekać statki Elizabeth...

Ktoś z zaciekawieniem obrócił twarz w jego stronę i Garamond zdał sobie sprawę, że jakieś dźwięki płyną z jego gardła. Uśmiechnął się - dostosowując do wizerunku kapitana skrzydłomigacza, ubranego w czerń i srebro będące symbolami gwiazdnych oceanów - i ciekawski zlał się z tłumem, zadowolony, że popełnił w błąd w lokalizowaniu źródła rozpaczliwego mamrotania. Garamond przygryzał wargę, idąc do samochodu, który czekał na jednym z zarezerwowanych parkingów w pobliżu hali. Bystrooki kierowca w średnim wieku wypatrzył go z daleka i kazał podnieść pojazd na powierzchnię, zanim Garamond dotarł na miejsce.

- Dzięki. - Garamond odwzajemnił salut mężczyzny, wdzięczny za drobne zaoszczędzenie czasu, i wsiadł do wybitego tapicerką wnętrza.

## Orbitsville

---

- Pomyślałem, że się pan śpieszy. - Oczy kierowcy patrzyły na niego porozumiewawczo w lusterku wstecznym.

- Tak? - Garamond zapanował nad dreszczem bezpodstawnego strachu, bo przecież nie tak wyglądałoby jego aresztowanie. Spojrzał na kark kierowcy, rumiany, pocięty głębokimi bruzdami i upstrzony mnóstwem od dawna zasiedziały wągrów.

- Tak, panie kapitanie. Dzisiaj wszyscy dowódcy Starflight spieszą się na lotnisko. Prognozy pogody nie są dobre, jak słyszałem.

Garamond skinął głową i próbował wyglądać na rozluźnionego, gdy pojazd ruszył z ledwie słyszalnym zawodzeniem silników magnetycznych.

- Sądzę, że złapię falę - powiedział spokojnie. - Przy najmniej mam taką nadzieję, bo odprowadza mnie rodzina.

Na wąskiej twarzy kierowcy odmalowało się lekkie zaskoczenie.

- Myślałem, że jedziemy prosto...

- Drobną zmianą planów, wstąpimy po moją żonę i syna, Pamięta pan adres?

- Tak, panie kapitanie. Mam go tutaj.

- Dobrze. Niech pan spróbuje dotrzeć tam jak najszybciej. - Garamond swobodnym ruchem przerwał połączenie radiowe pomiędzy dwiema kabinami pojazdu i podniósł najbliższy zestaw łączności. Wystukał domowy numer i trzymał ekran pomiędzy kolanami, czekając, aż się zapali i pokaże, że połączenie zostało odebrane. A jeśli Aileen i Chris wyszli? Chłopiec był zdenerwowany - Garamond znowu sobie przypomniał, jak potrząsał pięścią zamiast pokiwać mu na pożegnanie, w lekkiej zmianie gestu wyrażając wszystkie emocje,

## Orbitsville

---

które rozdzierały jego drobne ciało - i Aileen mogła z nim wyjść na całe popołudnie, żeby się rozerwał i uspokoił. Jeśli tak właśnie się stało...

- Vance. - Twarz Aileen skryształizowała się w miniaturze na ekranie. - Byłam pewna, że już poleciałeś. Gdzie jesteś?

- W drodze do domu. będę za dziesięć minut.

- W domu? Przecież...

- Coś się stało, Aileen. Zabieram ciebie i Chrisa na lotnisko. Jest w domu?

- Na tarasie. Ale, Vance, nigdy nie pozwalałeś, żebyśmy cię odprowadzali.

- Ja... - Po chwili wahania Garamond zdecydował, że być może będzie lepiej, jeśli na tym etapie żono o niczym się nie dowie. - Zmieniłem zdanie na temat paru rzeczy. A teraz przygotuj Chrisa, żebyście mogli wyjść, gdy tylko się zjawię.

Aileen niepewnie uniosła ramiona.

- Vance, sadzisz, że to mu wyjdzie na dobre? Chodzi mi o to, że od trzech godzin nic ma cię w domu i właśnie zaczął się wyciszać po emocjonalnej burzy, a ty chcesz go narazić na powtórkę.

- Mówiłem ci, że coś się stało. - Ile psów, zapytał się Garamond w duchu, dziś po południu widziałem wokół apartamentów prezesowej? Pięć? Sześć?

- Co się stało?

- Później ci wyjaśnię. - Z jakiej odległości pies może wyczuć trupa? Gromada psów należących do Liz mogła stanowić największe zagrożenie ze wszystkich. - Proszę, uszykuj Chrisa.

Aileen lekko pokręciła głową.

- Przepraszam, Vance, ale nie...



## Orbitsville

---

- Aileen! - Garamond rozmyślnie wypowiedział imię z nutą paniki, żeby jego słowa przeniknęły do odrębnego wszechświata normalności, w którym wciąż żyła jego żona. - Teraz nie mogę niczego wyjaśnić, ale oboje z Chrisem za parę minut macie być gotowi, żeby jechać za mną na lotnisko. Nie dyskutuj ze mną, tylko zrób to, co każe.

Przerwał połączenie i siedział z wymuszoną swobodą, zastanawiając się, czy już nie powiedział zbyt wiele, bo przecież publiczne pasmo łączności mogło być monitorowane. Samochód mknął na zachód magistrałą Akranes, nieregularnie przyśpieszając i zwalniając, gdy kierowca szukał miejsca wśród innych pojazdów. Garamondowi przyszło na myśl, że szofer radzi sobie gorzej niż wtedy, gdy z nim jechał do Starflight House, może z powodu osłabienia koncentracji. Pod wpływem impulsu włączył interkom.

- ... do jego domu - mówił kierowca. - Spodziewam się dotrzeć do North Field za jakieś dwadzieścia minut.

Garamond chrząknął.

- Co pan robi?

- Zgłaszam, panie kapitanie.

- Dlaczego?

- Trzymam się regulaminu. Wszyscy kierowcy floty informują centrum danych Starflight o swojej trasie.

- Co im pan powiedział?

- Słucham?

- Co pan powiedział o mojej trasie?

Szofer niespokojnie poruszył ramionami, emblematy ze słoneczkami Startflight zamrugały czerwono odbitym światłem.

- Powiedziałem, że postanowił pan zabrać rodzinę po

drodze do North Field.

- Proszę nie składać kolejnych raportów.

- Słucham?

- Sądzę, że jako kapitan Dywizji Eksploracji Starflight mogę bez niańczenia poruszać się po tej części Islandii.

- Przykro mi, ale...

- Po prostu niech pan prowadzi. - Garamond walczył, żeby zapanować nad nierozsądnym gniewem na tego człowieka. - I przyspieszy.

- Tak, panie kapitanie. - Bruzdy na karku kierowcy stały się głębsze, gdy zgarbił się nad kierownicą.

Garumond zmuszał się, żeby siedzieć prosto, z zamkniętymi oczami, bez ruchu, z wyjątkiem lekkiego pocierania rękami o kolana, którym niezupełnie się udawało usunąć pot z wnętrza jego dłoni. Próbował sobie wyobrazić, co się dzieje na wzgórzu. Czy wszystko na dworze Elizabeth biegnie ustalonym porządkiem jak każdego innego popołudnia, z radami, komisjami i trybunałami odbywającymi spotkania w kolumnowych salach? Czy prezes chodzi pomiędzy nimi pełna zadowolenia z siebie, samą swoją obecnością wprawiając w drgania i zmieniając bieg nici tworzących sieć jej imperium? Czy ktoś już zwrócił uwagę na nieobecność Haralda? I jego? Otworzył oczy i ponuro patrzył na scenerię za oknem. Szeroki na kilka kilometrów pierścień centrów handlowych, które otaczały Starflight House. ustępował miejsca pierwszym należącym do kompanii budynkom mieszkalnym. Jako kapitan DEG-u, Garamond miał prawo zamieszkać w jednym z tych „pierwszorzędnych” lokali, co w słownictwie Starflight z reguły oznaczało bliskość pałacowego wzgórza Elizabeth.

W spokojnych chwilach na mostku swojego statku czę-

sto rozmyślał o tym. jak czysta potęga jej władzy lokalnie zdeformowała strukturę języka dokładnie w taki sam sposób, w jaki wielka gwiazda zakrzywia wokół siebie przestrzeń i uwięzione planety na przekór wierze, że podróżują w liniach prostych, w rzeczywistości krążąc po jej orbicie. W obecnej chwili był jednak zadowolony z tego oddziaływania grawitacyjnego Elizabeth, ponieważ to oznaczało, że jego dom znajduje się w połowie drogi pomiędzy Starflight i North Field, dzięki czemu straci minimum czasu na zabranie rodziny.

Jeszcze zanim pojazd zatrzymał się przed piramidalnym blokiem mieszkań, Garamond otworzył drzwi i szybko ruszył do windy. Wysiadł na trzecim piętrze i wszedł do mieszkania. Znajome, domowe otoczenie przytłoczyło go na chwilę, stwarzając nowe wrażenie szoku z powodu faktu, że jego życie, które znalazł, dobiegło końca. Przez chwilę czuł się jak duch, odwiedzający miejsca, dla których już nie ma żadnego znaczenia.

- O co chodzi, Vance? - Aileen wyszła z sypialni, jak zawsze ubrana w kolorową jedwabną sukienkę. Jej pulchna, śniada twarz i ciemne oczy wyrażały zatroskanie.

- Później ci wyjaśnię. - Objął ją i przytulił. - Gdzie jest Chris?

- Tu jestem, tatusiu! - Chłopiec podbiegł i wspiał się na niego jak zwierzątko, czepiając się rękami i nogami. - Wróciłeś.

- Chodź, synu... jedziemy na lotnisko. - Garamond uniósł dziecko nad głowę i nim potrząsnął, jakby sygnalizował rozpoczęcie wakacji, po czym przekazał je żonie. Po raz drugi w ciągu godziny podnosił lekkie dziecięce ciało. - Samochód na nas czeka. Zabierz Chrisa na dół, ja zjawię się za sekundę.

- Nadal mi nie powiedziałeś, o co w tym wszystkim

chodzi.

- Później, później! - Garamond zdecydował, że jeśli zostanie zatrzymany przed startem promu, jego rodzina może mieć jakieś szanse. Jeśli Aileen będzie mogła zgodnie z prawdą przysiąc, że nie miała pojęcia, co się stało. Wypchnął ją na korytarz, potem poszedł do schowka, ukrytego za unoszącym się swobodnie wielobarwnym ekranem świetlnym. W parę sekund otworzył skrzynkę zawierającą jego stary pistolet i załadował magazynek. Pistolet o długiej lufie i haczykowatym chwycie zaczepił o materiał, gdy go chował w zanadrzu marynarki. Boleśnie świadom ciężkiego wybrzuszenia pod lewym ramieniem, pobiegł przez salon. Pod wpływem impulsu zabrał z półki ozdobę - złotego ślimaka o rubinowych oczach - i wyszedł na korytarz. Aileen jedną ręką przytrzymała otwarte drzwi widny, a drugą próbowała okiełznać Chrisa.

- Ruszamy - rzucił radośnie Garamond, przekrzykując ogłuszający hałas zębatek i wychwytywów zegara, który odmierzał czas w jego głowic. Zamknął drzwi windy i wcisnął guzik „Dół”. Na parterze Chris śmignął przez długi hol i wskoczył do czekającego pojazdu. Wokół było parę osób; wprawdzie Garamond nic wypatrzył żadnego sąsiada, ale nic śmiał ryzykować biegania. Wysięk zachowania normalnego tempa sprawił, że zimny pot wystąpił mu na czoło. Kierowca zdawkowo zasalutował Aileen i przytrzymał otwarte drzwi, gdy wsiadała. Garamond wsiadł po drugiej stronie i kiedy ruszyli, zdobył się dla niej na uśmiech.

Niecierpliwie pokręciła głową.

- Czy teraz mi powiesz, co się dzieje?

- Odprowadzacie mnie, to wszystko. - Garamond spojrział na Chrisa, który klęczał na siedzeniu, odwrócony ku tylnej

## Orbitsville

---

szybie, najwyraźniej zaabsorbowany widokiem. - Chris będzie ucieszony.

- Ale sam mówiłeś, że to ważne.

- Ważne dla mnie. żeby spędzić jeszcze trochę czasu z tobą i Chrisem.

Aileen wyglądała na zbitą z tropu.

- Co zabrałeś z mieszkania?

- Nic. — Garamond lekko przesunął lewe ramię, żeby ukryć wybrzuszenie robione przez pistolet.

- Przecież widzę. - Pochyliła się, złapała go za rękę i ją otworzyła, odsłaniając złotego ślimaka. Był to prezent, który jej kupił podczas podróży poślubnej. Garamond dopiero teraz zrozumiał, że zabrał bibelot, ponieważ był symbolicznym kamieniem węgielnym ich domu. Aileen na chwilę szeroko otworzyła oczy i odwróciła głowę, nagle zamykając się w sobie. Garamond opuścił powieki, zastanawiając się, co intuicja powiedziała jego żonie, zastanawiając się, ile mu minut zostało.

\*

W tym czasie młodszy pracownik należący do personelu domowego Sturflight House niepewnym krokiem szedł przez wystudiowaną zaaranżowaną atmosferę włoskiego renesansu, która cechowała wyrzeźbione wzgórze. Nazywał się Carlos Pennario i trzymał na smyczy dwa ulubione spaniele pani prezes. Źródłem jego niepewności było dziwne zachowanie zwierząt, połączone z pewnymi faktami o warunkach jego

zatrudnienia. Podniecone psy, ze słyszalnie łopoczącymi długimi uszami, ciągnęły go w kierunku cienistego tarasu, który okrążał wzgórze na poziomie przeznaczonym tylko dla kadry kierowniczej. Pennario, z natury dociekliwy, nigdy wcześniej nie widział podobnego zachowania swoich podopiecznych i miał wielką ochotę spuścić psy ze smyczy - lecz jako pracownikowi czwarte go stopnia nie było mu wolno wchodzić na poziomy kierownicze. W normalnych okolicznościach takie względy długo by go nie powstrzymały, ale zaledwie dwa dni temu podpadł swojemu bezpośredniemu przełożonemu, złośliwemu Szkotowi Arthurowi Kempowi, który zagroził mu zdegradowaniem, jeśli znowu popełni jakiś błąd.

Pennario trzymał wężące, szarpiące się na smyczach psy, i patrzył w kierunku grupy posągów, które połyskiwały jak czerwone złoto w gasnącym blasku słońca. Nieco wcześniej tego popołudnia wysoki mężczyzna o surowym wyrazie twarzy, w czarnym mundurze kapitana skrzydłomigacza, opierał się o kamienną balustradę w pobliżu posągów. Wyglądało na to, że zadumany kapitan odszedł i na tarasie nie było nikogo innego, a jednak spaniele dostawały szału, próbując się tam dostać. Zapewne nie chodziło o wstrząsającą światem tajemnicę, ale dla Pennaria stanowiło to intrygującą odmianę od głębokiej nudy jego pracy.

Zlustrował wzrokiem wyższe zbocza i po chwili wahania pozwolił, żeby spaniele, drapiąc pazurami gładki kamień, wciągnęły go po szerokich niskich stopniach na taras. Na górnym poziomie psy ruszyły prosto do postumentu, na którym stały brązowe figury, a potem z cichym skowytym zanurkowały w rosnące za nim krzewy.

Pennario pochylił się nad psami, wolną ręką rozchylił

gałęzie i spojrzął w ciemnozielony półmrok. Garamond zdecydował, że potrzebują kolejnych trzydziestu minut. Jeśli w tym czasie nikt nie znajdzie zwłok Haralda, on i jego rodzina wyjdą z atmosfery w jednym z promów DEG-u przed ogłoszeniem alarmu. Nie uciekną przed bezpośrednim zagrożeniem, lecz statek czekający na orbicie biegunowej, *Bissendorf*, stanowił jego prywatne terytorium, mała enklawę, w której nie do końca obowiązywały prawa elżbietańskiego wszechświata. Tam wciąż będzie mogła go zniszczyć i w końcu dopnie swego, ale będzie to znacznie trudniejsze niż na Ziemi, gdzie jednym skinieniem mogła wysiać przeciwko niemu dziesięć tysięcy ludzi.

- Muszę pójść do toalety - oznajmił Chris, odwracając się od tylnego okna z przepraszającą miną na okrągłej twarzy. Uderzył pięściami w brzuch, jakby chciał go ukarać za tę interwencję.

- Wytrzymasz, dopóki nie dotrzemy na lotnisko. - Aileen posadziła go na kolanie i zamknęła w gładkich brązowych ramionach.

Garnmonda opadło poczucie nierzeczywistości, gdy patrzył na żonę i syna. Oboje mieli lekkie ubrania i oczywiście nic zabrali ze sobą żadnych innych rzeczy. To było niewiarygodne, nie do pomyślenia, że tak ubrani i nieprzygotowani zostaną wyrwani z naturalnego środowiska światła słonecznego i ciepłego wiatru, z osłaniających ich murów i cichych ogrodów w martwą pustkę przestrzeni pomiędzy gwiazdami. Garamond miał wrażenie, że powietrze w samochodzie nagle zrzędoło, zmuszając go do robienia głębszych oddechów. Spojrzał na dioramę budynków i listowia za oknami samochodu, próbując przemyśleć kroki, jakie musi podjąć w ciągu następ-

nych, niezwykle istotnych trzydziestu minut, ale jego umysł odmawiał konstruktywnego działania. Miał w głowie chaos obrazów i przenikały go szokujące fragmentaryczne doznania zmysłowe. Po raz setny patrzył, jak zgubne milimetry jasności otwierają się pomiędzy sylwetką Haralda i nieczułymi metalami posagu. I ciało chłopca było takie lekkie. Niemal tak lekkie jak Chris. Jak ciało ze wszystkimi kośćmi, krwią, mięśniami i narządami niezbędnymi do podtrzymywania życia może być takie lekkie? Takie niematerialne, że upadek z wysokości trzech czy czterech metrów...

- Tato, patrz! - Chris się poruszył wewnątrz organicznego kosza ramion matki. - Lotnisko. Możemy podejść do twojego promu?

- Spróbuję to załatwić. - Garamond spojrział przez przemykające, migoczące ogrodzenie, zastanawiając się, czy dostrzeże oznaki jakiejś niezwyklej aktywności.

Carlos Pennario wyrwał rękę, pozwalając gałęziom wrócić na miejsce, i po raz pierwszy od czasów młodości się przeżegnał.

Cofnął się od tego, co zobaczył, pociągając za sobą szalejące psy, i rozejrzał się w poszukiwaniu pomocy. Nikogo nie było w zasięgu wzroku. Otworzył usta, żeby krzyknąć co sił w płucach, wyładowując przerażenie w senne powietrze, i w tej samej chwili kilka myśli na raz wpadło mu do głowy. Pennario widział Elizabeth Lindstrom tylko parę razy i zawsze z daleka, ale słyszał wiele historii opowiadanych w nocnej ciszy dormitoriów dla personelu. Wolały oddać roczne zarobki niż stanąć przed nią z wiadomością, że jeden z jej spanieli zadławił się kością kurczaka.

A teraz o mało sam się nie wpakował w sytuację, która



zmusiłaby go do stanięcia twarzą w twarz z Elizabeth i opisanie swojej roli w znalezieniu zwłok jej syna.

Pennario spróbował sobie wyobrazić, co prezes może zrobić z posłańcem przynoszącym takie wieści, zanim odzyska odrobinę samokontroli, którą podobno posiadała...

Do tego dochodził zatarg z jego przełożonym, Arthurem Kempem. Pennario nie miał prawa przebywać na tarasie, a dla człowieka takiego jak Kemp jedno wykroczenie będzie sugestią, wręcz dowodem, że dopuścił się innych. Nie miał pojęcia, co spotkało martwego chłopca, ale wiedział, jak pracuje umysł Kempa. Zakładając, że pożyje dość długo, żeby zostać przesłuchany, Kemp będzie przysięgać na wszystko, byle tylko uniknąć jakiegokolwiek powiązania z winą.

Zrozumienie, że grozi mu śmiertelne niebezpieczeństwo, skłoniło go do zdecydowanego działania. Pennario ukląkł, wziął spaniele w ramiona i szybko zszedł po schodach na niższe poziomy. Choć był zszokowany i przerażony, jego umysł zachował te cechy, które pozwoliły mu wspiąć się od bliskiej śmierci głodowej w Meksyku do jednego z nielicznych miejsc na świecie, gdzie było dość powietrza, żeby człowiek mógł swobodnie oddychać. Miał w pamięci codzienny harmonogram zajęć Kempa wewnątrz i wokół Starflight House i zgodnie z tym rozkładem skwaszony Szkot właśnie odbywał swój ostatni inspekcyjny obchód tego popołudnia. Jego trasa zwykle prowadziła po kolistym tarasie, obok krzewów, w których zostało ukryte ciało Haralda - i będzie znacznie lepiej, jeśli zarządca Kemp osobiście dokona strasznego odkrycia.

Pennario biegł w dół wzgórza, aż dotarł do najniższego punktu, z którego wciąż mógł zobaczyć część górnego tarasu i Kempa, kiedy się tam pojawi. Wsunął się w cień poro-

## Orbitsville

---

śniętej bluszczem loggii, kazał psom usiąść i udawał, że jest zajęty poprawianiem ich srebrnych obroży. Podekscytowane zwierzęta chciały się wyrwać, ale trzymał je mocno.

Było dla niego ważne, żeby nie popędziły na taras, dopóki Kemp nie znajdzie się w odpowiednim miejscu, żeby wraz z nimi wziąć udział w odkryciu. Pennario spojrzął na zegarek.

- Lada chwila, przyjaciele - szepnął. - Lada chwila.

\*

Na przekór jego obawom lotnisko sprawiało wrażenie spokojniejszego niż zwykle, szerokie przestrzenie żelbetonu złościły się jak piasek w promieniach zachodzącego słońca. Nisko nad zachodnim horyzontem małe chmury gromadziły się niczym baśniowa armia, z grzebieniastymi hełmami płonącymi ogniem, i kilka pierzastych sztandarów sięgało ku zenitowi w ciemniejącym różu. Gdy samochód zatrzymał się przed kompleksem DEG-u, Garamond osłonił oczy, spojrzął w kierunku przydzielonego mu miejsca startu i zobaczył przysadzistą sylwetkę czekającego promu. Drzwi były otwarte, schodki stały na miejscu. Na ten widok ogarnęło go przemożne pragnienie popędzenia do promu, zapakowania Aileen i Chrisa na pokład i wystartowania ku bezpieczeństwu. Obowiązywały jednak pewne formalności i start bez ich dopełnienia mógł sprawić, że wiadomość radiowa dotrze na *Bissendorfa* przed nimi. Odgarnął z czoła gruby kosmyk włosów i uśmiechnął się z myślą o Aileen i kierowcy.

## Orbitsville

---

- Muszę pod pisać parę papierów, a zaraz polem po-jedziemy chodnikiem ruchomym do promu - rzucił lekkim tonem, gdy otworzył drzwi samochodu i wysiadł.

- Myślałam, że Chris i ja będziemy na tarasie widokowym - powiedziała Aileen, nic ruszając się z miejsca.

- To nie byłoby zabawne, prawda, Chris? - Garmond podniósł chłopca z kolana żony i postawił go na schodach budynku DEG-u. - Po co mieć tatę kapitana skrzydłomigacza, jeśli nie można skorzystać z paru dodatkowych przywilejów? Chciałbyś zobaczyć wewnątrz promu, prawda?

- Tak, tato. - Chris pokiwał głową, chociaż z dziwną rezerwą, jakby matka go zaraziła swoim zaniepokojeniem.

- Oczywiście, że chcesz. - Garamond chwycił Aileen za rękę, wyciągnął ją z samochodu i zatrzaskał drzwi.

- To wszystko, kierowco, odtąd sami się sobą zajmujemy.

- Szofer raz się obejrzał, bez słowa, i szybko odjechał w kierunku parkingu.

Aileen złapała Garamonda za ramię.

- Teraz jesteśmy sami, Vance. Co...?

- Teraz staniecie na tych schodach i nie ruszycie się stąd ani na krok, dopóki nie wrócę. To nic potrwa długo. -Garamond wbiegł po schodach, odwzajemnił saluty strażników na ich szczyt i pośpieszył do Centrum Odpraw DEG-u. Wielkie kwadratowe pomieszczenie wydało mu się obce, jak gdyby je oglądał oczami młodego Vance'a Garamonda, który był pod wielkim wrażeniem po objęciu dowodzenia nad swoją pierwszą misją badawczą. Podbiegł do długiego biurka i położył swoje dokumenty zezwalające na lot.

- Spóźnił pan się, kapitanie Garamond - skomentował ciężko zbudowany były kwatermistrz Herschell. który zwykle

## Orbitsville

---

zwracał się do odlatujących kapitanów z nutą żalostnego wyzwania w głosie, mającą im przypominać, że nie zawsze siedział za biurkiem.

- Wiem... nie mogłem się wyrwać od Liz. - Garamond chwycił rysik i zaczął gryzmolić swoje nazwisko na różnych papierach, gdy Herschell mu je podkładał.

- Nic chciała pana puścić?

- Otóż to.

- Szkoda. Właśnie minęła pana fala. - Różowa kanciasta twarz Herschella wyrażała współczucie.

- Tak, proszę spojrzeć na mapę. - Herschell wskazał na unoszącą się pod kopułą wielką holograficzną mapę układu słonecznego i otaczającej go przestrzeni między gwiazdnej. Wiatr słoneczny, odwzorowany w postaci żółtego światła, był silny jak zawsze i Garamond zobaczył wyraźną, łukowatą fale uderzeniową po zwróconej ku Słońcu stronie Ziemi, gdzie prąd napotykał pole geomagnetyczne planety. Dane dotyczące wewnętrznych spirali wiatru słonecznego były jednak interesujące tylko dla podróżników międzyplanetarnych - jego interesowała ilość jonów na skraju układu i poza nim. Szukał wielkiego łuku frontu w pobliżu orbity Urana, gdzie wiatr słoneczny, osłabiony przez odległość od Słońca, zwiększa ciśnienie, zderzając się z polem magnetycznym galaktyki. Przez chwilę niczego nie widział, potem jego oczy wyłowiły prawie niewidoczną bursztynową aureolę, tak słabą, że mogła sygnalizować obecność nie więcej niż dziesięciu jonów na centymetr sześcienny. Rzadko widział tak słaby front. Wyglądało na to, że słońce jest w paskudnym nastroju, niechętnie pomóc jego statkowi w drodze w górę długiej grawitacyjnej krzywej w przestrzeń międzygwiazdną.

## Orbitsville

---

Garamond przeniósł uwagę na szerokie rozwichrzone pasma zieleni, błękitów i czerwieni, które wyobrażały galaktyczne pływy szybkich cząstek mknących przez cały region. Te wędrujące gejzery cząstek wysokoenergetycznych oznaczały dla niego tyle samo, co wiatr, fale i pływy dla kapitana transoceanicznego żaglowca. Wszystkie statki kosmiczne zbudowane przez Starflight - czyli wszystkie statki kosmiczne zbudowane na Ziemi - wykorzystywały kolosalne pole magnetyczne, żeby zgarniać międzygwiazdne atomowe śmieci składające się na ich masę reakcyjną. Takie rozwiązanie umożliwiło odbywanie podróży w głęboki kosmos statkom ważącym tylko dziesięć tysięcy ton, a to niewiele w porównaniu z trylionem ton, gdyż taka musiałaby być minimalna nośność statku zabierającego własną masę reakcyjną.

Wada skrzydło migaczy polegała na tym, że ich sprawność zależała od "pogody" kosmosu. Idealne warunki panowały wtedy, kiedy statek mógł przyśpieszać jednostajnie do połowy drogi i następnie zmniejszać prędkość w takim samym tempie podczas drugiego etapu podróży, ale lam, gdzie zbiory naładowanych cząstek były ubogie, tempo zmiany prędkości spadało. Gdy się to działo podczas pierwszego etapu, dotarcie do miejsca przeznaczenia trwało dłużej niż planowano; jeśli następowało na drugim etapie, statek nie miał możliwości wytracenia prędkości i w tempie, nad którym nikt nie miał kontroli, przemykał przez układ docelowy, czasami zatrzymując się w odległości dni świetlnych. W celu zminimalizowania takich niepewności Starflight rozmieścił w przestrzeni szereg wyposażonych w czujniki automatycznych stacji, które przez niskoenergetyczne wiązki tachionowe wysyłały raporty służące do bezustannego aktualizowania map po-

godowych.

I, jak Garamond natychmiast zobaczył, warunki, w których miał nadzieję osiągnąć lot z dużą prędkością, były piekielnie niekorzystne.

Więcej niż połowa objętości przestrzeni, którą obejmowała mapa, wydawała się zupełnie pozbawiona strumienia cząstek, a fronty widoczne w pozostałej części uciekały na południe galaktyki. Tylko jedno pasmo o korzystnej gęstości - prawdopodobnie powstałe wskutek uwikłania się ciężkich cząstek w jakąś nieregularność w międzyplanetarnym polu magnetycznym - sięgało do orbity Marsa, ale szybko się cofało,

- Muszę się stąd wydostać - powiedział krótko Garamond.

Herschell podał mu tradycyjną skórzaną aktówkę z dokumentami upoważniającymi go do lotu.

- Może w takim razie po prostu pan wystartuje, kapitanie? *Bissendorf* jest gotowy do podróży, a ja mogę podpisać resztę tej makulatury jako pełnomocnik.

- Dzięki. - Garamond wziął aktówkę i pobiegł do drzwi.

- Niech pan nie powoli uciec tej garstce pyłu! - zawołał za nim Herschell. - I wybiera ją do czysto.

Garamond pędził do wyjścia z ulgą, że nie musi maskować narastającego w nim poczucia niecierpliwości, ponieważ widok dowódców biegnących do chodników ruchomych był w Centrum DEG-u całkiem naturalny, kiedy pogoda się załamywała. Znalazł Aileen i Chrisa na schodach dokładnie tam, gdzie ich zostawił. Aileen wyglądała na zmęczoną i zmartwioną, i trzymała chłopca blisko siebie.

- Wszystko załatwione - powiedział. Złapał żonę za ramię i pociągnął ją w stronę tunelu ruchomego chodnika.

## Orbitsville

---

Ruszyła z nim bez większych oporów, choć wyczuwał jej narastający niepokój. - Idziemy!

- Dokąd, Vance? - Mówiła cicho, ale rozumiał, że zadaje mu bardzo ważne pytanie, porozumiewając się z nim na tym bezcennym osobistym poziomie, którego żadne z nich nigdy z własnej woli nie chciało pogwałcić. Spojrzał na Chrisa. Byli już na chodniku ruchomym, jadąc w głąb tunelu, i chłopiec wydawał się zafascynowany jazdą na łagodnie drżącym pasie.

- Kiedy dziś po południu czekałem na spotkanie z prezes, poproszono mnie, żebym przez godzinę opiekował się młodym Haraldem Lindstromem... - Potworność tego, co miał do powiedzenia, sprawiła, że słowa uwięzły mu w gardle.

- Co się stało, Vance?

- Nic... nie zaopiekowałem się nim zbyt dobrze. Spadł i zabił się.

- Och! - Kolory spłynęły spod opalenizny na twarzy Aileen. - Ale jak ci się udało...?

- Nikt nie widział wypadku. Ukryłem ciało w krzakach.

- I teraz uciekamy?

- Jak najszybciej się da, skarbie.

Aileen położyła rękę na ramieniu Chrisa.

- Myślisz, że Elizabeth...?

- Automatycznie. Odruchowo. Byłoby do niej niepodobne, gdyby tego nie zrobiła.

Aileen wysunęła podbródek, próbując zapanować nad drżeniem mięśni wokół ust.

- Vance! To straszno. Chris i ja nic możemy tom lecieć!

- Możecie i polecicie. - Garamond ja objął i drgnął z przestachu, gdy osunęła się na niego bezwładnie, całym ciężarem ciała. - Przysunął usta do jej ucha. - Nie mogę zrobić te-

## Orbitsville

---

go sam. Potrzebuję twojej pomocy, żeby zabrać stąd Chrisa.

Wyprostowała się z trudnością.

- Spróbuję. Wiele kobiet udało się na Terranovą, prawda?

- Tak jest znacznie lepiej. - Garamond uściskał ją krzepiąco i przez chwilę się zastanawiał, czy naprawę wierzyła, że mogą polecieć na jedyna druga zamieszkaną przez ludzi i zdominowaną przez Starflight planetę we wszechświecie. - Zbliżamy się do końca tunelu. Kiedy wyjedziemy na rampę, weź Chrisa na ręce i idź prosto do promu, jakby to był szkolny autobus. Będę szedł tuż za wami, zasłaniając widok każdemu, kto przypadkiem spoglądałby z wieży.

- Co powiedzą inni ludzie?

- W promie nic będzie nikogo poza pilotami, a z nimi ja pogadam.

- Ale czy piloci się nie sprzeciwią, kiedy zobaczą nas na pokładzie?

- Nie powiedzą słowa - obiecał Garamond, wsuwając rękę w zanadrze marynarki.

\*

W Starflight House wysoko na rzeźbionym wzgórzu pierwszy człowiek już nie żył.

Zarządca Arthur Kemp właśnie planował wieczorny posiłek, kiedy dwa spaniele przebiegły obok niego i wskoczyły w krzewy na długim tarasie. Przystanął, przyglądając im się z zaciekawieniem, potem rozepchnął gałęzie. Kemp pochodził



ze względnie słabo zaludnionej, niezanieczyszczonej, niepuszczonej północnej części Szkocji i nie posiadał instynktu, który ostrzegł Carla Pennaria przed gwałtowną i przedwczesną śmiercią. W gasnącym świetle wywlókł ciało Haralda na otwartą przestrzeń, przez długą chwilę patrzył na czarne delty krwi, która wypłynęła z nosa i uszu chłopca, po czym zaczął wrzeszczeć do komunikatora na nadgarstku.

Elizabeth Lindstrom zjawiała się na tarasie w dwie minuty.

Nie chciała pozwolić, żeby ktokolwiek dotknął zwłok jej syna. Ponieważ nikt z personelu nic mógł po prostu odejść, otaczała ją zbита grupa ludzi, pośrodku której prezes ustanowiła swój sąd dochodzeniowy. Stojąc nad ciałem syna z wyдутym, okrytym atlasem brzuchem, który połyskiwał jak wielka perła, z początku mówiła w opanowany sposób. Tylko członkowie zarządu, którzy ją dobrze znali, rozumieli implikacje miarowego podnoszenia głosu albo pocierania pierścienia z rubinem na prawej ręce. Ci ludzie, przez piastowane stanowiska zobowiązani do trzymania się blisko prezes, mimo wszystko próbowali nieznacznie zmieniać swoje pozycje, żeby stanąć za plecami innych, którzy też wyczuwali zagrożenie i zachowywali się podobnie. W konsekwencji krąg wokół Elizabeth wciąż się poszerzał i jego napięcie powierzchniowe rosło.

Na tę arenę strachu wepchnięto zarządcę Kempa, żeby złożył zeznanie. Odpowiedział na kilka jej pytań z czymś zbliżonym do opanowania, ale głos mu się załamał, kiedy po potwierdzeniu nagiego zniknięcia kapitana Garumonda z tarasu Elizabeth zaczęła metodycznie, garściami rwać sobie włosy z głowy. Przez niekończącą się minutę cichy odgłos towarzy-

szący jej zabiegom był jedynym dźwiękiem na tarasie.

Kemp znosił go tak długo, jak to możliwe w ludzkiej mocy, później odwrócił się do ucieczki. Elizabeth rozerwała go na strzępy laserowym wybuchem z pierścienia i obracała się, tryskając na innych strumieniem słabnącej energii, kiedy jej starszy lekarz, ryzykując życiem, wstrzelił chmurę środków usypiających w rozdęte żyły na jej karku. Prezes prawie natychmiast straciła przytomność, ale zdążyła wypowiedzieć dwa słowa:

- Sprowadźcie Garamonda...

### ROZDZIAŁ 3

Garamond wszedł z Aileen do niskiego, krótkiego promu i spojrzał przed siebie. Drzwi pomiędzy kabinami załogi i pasażerów były otwarte, pozwalając mu zajrzeć do królestwa przyrządów, przełączników i tarcz, w którym pracowali piloci. Po obu stronach środkowego przejścia widział ramie każdego z nich, udekorowane wszechobecnym symbolem Starflight, i słyszał, jak kończą procedurę kontrolną przed lotem. Żaden z pilotów się nie odwrócił.

- Siadajcie tutaj - szepnął Garamond, wskazując fotele niewidoczne z kabiny pilotów. Przyłożył palec do ust i mruknął do Chrisa, jakby to była zabawa. Chłopiec nerwowo skinął głową, niezdecydowany. Garamond wrócił do drzwi i w nich stanął, machając ręką do wymaginyowanych postaci na chodniku, a potem przeszedł do kabiny załogi.

- Startujcie, kapitanie - powiedział z taką jowialnością, na jaką mógł się zdobyć.

- Tak jest. — Starszy pilot z granatowym cieniem zarostu na policzkach spojrzał przez armię. - Gdy tylko pani Garamond i pański syn wysiada z promu.

Garamond rozejrzał się po kabinie i znalazł niewielki ekran telewizyjny ukazujący przedział pasażerski z miniaturowymi sylwetkami Aileen i Chrisa. Zastanawiał się, czy piloci uważnie go obserwowali i co mogli wywnioskować na pod-

## Orbitsville

---

stawie jego zachowania.

- Moja żona i syn lecą z nami - oznajmił. - To tylko krótka wycieczka.

- Przykro mi, panie kapitanie, ich nazwisk nie ma na mojej liście.

- To wyjątkowy układ, niedawno wszystko uzgodniłem z prezes.

- Muszę się skontaktować z wieżą. - Pilot zdecydowanie zacisnął niebieskawa szczękę, gdy sięgnął do włącznika łączności.

- Zapewniam pana, że wszystko w porządku. - Garamond wysunął pistolet z zanadru i lufa wskazał pas startowy. Proszę wykonać wszystkie normalne czynności w idealnie normalny sposób, a następnie z maksymalną mocą lecieć do mojego statku. Znam całą procedurę i w razie konieczności sam mogę pilotować tę pluskwę, więc nie próbujcie robić żadnych sztuczek, bo was po prostu zastrzelę.

- Nie mam zamiaru umierać. - Starszy pilot wzruszył ramionami, a jego kolega energicznie pokiwał głową. - Ale jak daleko uda się panu polecieć, kapitanie?

- Wystarczająco daleko. Zabieraj nas stąd. - Garamond nie opuścił stanowiska pomiędzy dwoma fotelami. Drzwi do kabiny pasażerskiej zamknęły się ze stłumionym łupnięciem i prom ruszył. Przysłuchując się wymianie zdań pomiędzy pilotami i wieżą North Field, przyglądał się ekranowi komputera, który wyświetlał parametry lotu. *Bissendorf* parkował w Paśmie Polarnym Jeden, wielkim strumieniu statków kosmicznych Slarflight - głównie pasażerskich, chociaż nie brakowało też kilku należących do Dywizji Eksploracji Gwiazdowej - który opasywał Ziemię na wysokości ponad stu kilometrów.

## Orbitsville

---

Przylatującym statkom przydzielano miejsca parkingowe w którymś z szerokich na trzydzieści stopni sektorów wyznaczonych przez dwanaście stacji kosmicznych, a ich dokładne umiejscowienie zależało od rozmiaru przewidywanych napraw i konserwacji. *Bissendorf* przeszedł trzymiesięczny remont generalny i parkowa ł blisko Stacji 8, która, jak pokazywał komputer, kołysała się nad Aleutami. Spotkanie przy locie z maksymalną mocą powinno nastąpić za jakieś jedenaście minut.

- Zakładam, że chce pan jak najszybciej dotrzeć na *Dissendorfa* - powiedział starszy pilot, gdy silniki promu zwiększyły ciąg i białe markery pasa zaczęły przemykać pod dziobem jak smugacze.

Garamond pokiwał głową.

- Słusznie pan zakłada.

- To będzie ciężka próba dla pana żony i chłopca.

W komentarzu brzmiało niewypowiedziane pytanie.

- Nie tak ciężka jak... - Garamond postanowił, że wyświadczy pilotom przysługę, nic im nie mówiąc, dzięki czemu oni też nie zostaną uwikłani w śledztwo Elizabeth.

- W szafce obok pana jest metalizer w aerozolu powiedział drugi pilot, odzywając się po raz pierwszy.

- Dzięki. - Garamond znalazł pojemnik i podał go Aileen. - Spryskaj tym swoje ubranie. Chrisa też.

- Po co? - Aileen siliła się na beztroskę, ale głos miała cichy i zimny.

- Nie zaszkodzi ubraniom, ale sprawi, że będą reagować na pole ograniczające statku, kiedy się będziesz po ruszać. Sprej przemienia je w swego rodzaju siatkę bezpieczeństwa i powstrzyma cię od unoszenia się w stanic nieważkości. - Ga-

## Orbitsville

---

ramond zapomniał, jak mało Aileen wie o lotach kosmicznych czy o podróżach powietrznych. Przypomniał sobie, że nigdy nawet nie leciała zwyczajnym pasażerskim samolotem odrzutowym. Wielka epoka turystyki powietrznej należała do przeszłości - jeśli ktoś miał dość szczęścia, żeby mieszkać w znośnym do życia miejscu na Ziemi, z reguły nie ruszał się z miejsca.

- Ty możesz użyć lego pierwszy - powiedziała Aileen.

- Nie muszę, mundury wszystkich pilotów kosmicznych są metalizowane w czasie produkcji. - Garamond uśmiechnął się krzepiąco. Ten pilot nie ma pojęcia, jak bliski był prawdy, pomyślał. To będzie ciężka próba dla mojej żony i chłopaka. Skierował uwagę na pilotów, gdy prom zadarł dziób i oderwał się od ziemi. Gdy tylko podwozie się schowało i pojazd był aerodynamicznie czysty, silniki wyniosły go w niebo ma różowym płomieniu rekombinujących jonów. Garamond, stojąc za pilotami, został pchnięty na grodzie i tam został, unieruchomiony przez narastające przyśpieszenie. Za nim Chris zaczął szlochać.

- Nie martw się, synu! - zawołał Garamond. - To nic potrwa długo. Zaraz będziemy...

- North Field do promu sahara tango czterdzieści dwa dziewięćdziesiąt dziewięć - zatrzeszczał głos z radia. - Wzywa komodor floty Keegan. Zgłoście się, proszę.

- Nie odpowiadaj - rozkazał Garamond. Zegar z jego głowie nagle się zatrzymał, co przyprawiło go o mdłości.

Przecież to sam Keegan. W co się pan wmieszał, kapitanie?

- W coś dość poważnego. - Garamond się zawahał, gdy komodor powtórzył wezwanie. - Wyłącz to i daj mi dowódcę

## Orbitsville

---

Napiera na mostek. - Podał pilotowi częstotliwość mikrofalową, która miała obejść główne centrum łączności *Bissendorfa*.

- Ale...

- Natychmiast. - Uniósł pistolet, walcząc z licznymi siłami grawitacyjnymi. - Ma lekki spust, a na mój palec działa spore przeciążenie.

- Już wywołuję. - Pilot obrócił małą tarczkę na poręczy fotela i po paru sekundach nawiązał kontakt.

- Tu dowódca Napier.

Garamond poczuł ulgę, gdy rozpoznał pełen rezerwy ton, którego Napier używał zawsze wtedy, kiedy nie wiedział, z kim ma do czynienia.

- To pilna sprawa, Cliff - odezwał się spokojnie. - Dostałeś jakieś wiadomości ze Starflight House?

- E... nie. A powinienem?

- Teraz to nie ma znaczenia. Oto instrukcje specjalne, które masz wykonać natychmiast i bez żadnych pytań. Rozumiesz?

- Dobra, Vance. - W głosie Napiera brzmiała nuta zaciekawienia, lecz nic podejrzliwości czy przestrochu.

- Jestem w promie i spotkam się z wami za parę minut, ale w tej chwili masz wcisnąć główny wyłącznik systemu łączności zewnętrznej. W tej chwili, Cliff!

Nastąpiła pauza, podczas której Napier z pewnością rozważał, że to, o co go proszono, jest sprzeczne z prawem i że zgodnie z regulaminem Starflight nie jest zobowiązany do wykonania takiego rozkazu - a potem kanał ucichł.

Garamond na sekundę zamknął oczy. Wiedział, że Napier pomyślał również o ich latach wspólnie spędzonych na pokładzie *Bissendorfa*, o przebytych wszystkich latach świetl-

nych, o wszystkich obcych słońcach, o wszystkich nieprzyjaznych bezużytecznych planetach, o wszystkich rozczarowaniach, którymi usiane było ich poszukiwanie *lebensraum*, o wszystkich butelkach whisky, które obalili podczas orbitowania wokół zagubionych, samotnych punktów świła nie tyle dla pociechy, ile po to, żeby uczynić w miarę znośnym następny etap misji. Jeśli on, Aileen i Chris mają jakąś szansę przeżycia, to leży ona w tym, że statek kosmiczny jest wyspiarskim wszechświatem, mała enklawa, w której władza Elizabeth jest mniej niż absolutna. Na orbicie Ziemi oficerowie statku są zobowiązani do wykonania każdego bezpośredniego rozkazu z Admincom Starflight, ale udało mu się odciąć kanały informacyjne...

Ostrzegawczy dzwonek komputera przerwał rozmyślenia Garamonda.

- Wchodzimy na stromy kurs i napływają poprawki prędkości - powiedział młodszy pilot. - Chce pan przygotować żonę?

Garamond z wdzięcznością skinął głową. Niebo w panelach dziobowych już zmieniło barwę z ciemnego błękitu na czerń, gdy silniki wyniosły prom z atmosfery. Podczas lotu balistycznego z maksymalną mocą było zrozumiałe, że nic ma czasu na subtelnosci - komputer, który kontrolował trajektorię lotu, poddawał pasażerów takim przeciążeniom, w obrębie zaprogramowanych granic, jakie mogli znieść. Garamond cofał się, aż zobaczył Aileen i Chrisa.

- Przygotujcie się na jazdę kolejką górską - powiedział. - Nie próbujcie walczyć ze statkiem, bo się pochorujecie, Lećcie razem z nim, a pole ograniczające utrzyma was na miejscach. - Oboje w milczeniu pokiwali głowami, jednocześnie,



wpatrzeni w jego twarz, i ogarnęło go miazdzące poczucie odpowiedzialności i winy. Ledwie skończył mówić, kiedy serie lateralnych poprawek wykręciły przestrzeń, szarpiąc go w lewo, a potem w górę.

Gwałtowny nacisk grodzi na plecy uchroni ł go przed oderwaniem się od podłogi, ale przypuszczał, że żona i syn musieli zostać podniesieni z foteli. Mimowolne sapnięcie przestraszonej Aileen potwierdziło jego domysły.

- To nie potrwa długo - zapewnił. W czerni przed promem świeciły gwiazdy, a na te przypadkowo rozmieszczone punkty światła nakładał się pas większych, jaśniejszych plamek, w większości nieregularnie ułożonych. Pasma Polarne Jeden lśniło jak brylantowa bransoletka. w środku której żółtawo płonęła stacja Sektora 8. Dwa wyraźne poziomy jasności, rozdzielające wytworzone przez człowieka obiekty od tła dalekich słońc, tworzyły trójwymiarowy efekt, który pomagał uświadomić sobie głębię i skalę kosmiczną. Gammond rzadko doświadczał tego wrażenia, kiedy przebywał na dalekiej misji. Został z pilotami, zaparty pomiędzy ich fotelami i grodzią, podczas gdy prom zbliżał się do strumienia orbitujących statków kosmicznych, korygując prędkość i kierunek. W tym czasie Admincom Starflight na pewno próbowało skontaktować się z *Bissendorfem* i prawdopodobnie podejmowano inne działania, żeby uniemożliwić mu ucieczkę.

- Tam jest pański statek - powiedział starszy pilot i nuta satysfakcji w jego głosie kazała Garamondowi mieć się na baczności. - Wygląda na to. że trochę się pan spóźnił, kapitanie. Drugi prom już wpływa w jego pępek.

Garamond, nieprzywykły do orientowaniu się w gęstym ruchu Pasma Polarne, musiał przez kilku sekund

## Orbitsville

---

przeszukiwać niebo, zanim zlokalizował *Bissendorfa* i dostrzegł srebrny pocisk promu zbliżający się do małego doku transferowego statku. Czuł zimne łaskotanie na czole. To niemożliwe, żeby ten drugi prom przybył tu z Ziemi w lepszym czasie niż oni. Admincom musiał skierować jeden z tych, które już były na orbicie, i kazać mu zablokować jedyny dok transferowy *Bissendorfa*.

- Co pan chce zrobić, kapitanie? - Starszy pilot zaczął się dobrze bawić. - Odda pan ten pistolet?

Garamond pokręcił głową.

- Drugi prom wykonuje normalne podejście dokujące. Niech pan go wyprzedzi.

- Za późno.

Garamond przyłożył lufę pistoletu do karku pilota.

- Kieruj dziób prosto w luk, synku.

- Pan zwariował, ale spróbuję. - Pilot wbił oczy w rosnącą sylwetkę *Bissendorfa*, potem obrócił tarcze, żeby naprowadzić siatkę nitek na obrysowany czerwienią cel luku, już częściowo przysłonięty przez drugi prom. Gdy to zrobił, sterowane komputerowo odwracacze ciągu zaczęły wyrzucać impulsy, które zmniejszały ich prędkość. Mówiłem, że już za późno.

- Obejdz komputer - warknął Garamond. - Wyłącz ciąg wsteczny.

Chce pan popełnić samobójstwo?

- A pan? - Garamond wbił lufę pistoletu w kręgosłup mężczyzny i patrzył, jak przerywa obwód autokontroli. Drugi prom i luk widoczne na ekranie powiększały się w zatrważającym tempie.

Pilot odruchowo cofnął się na fotelu.

## Orbitsville

---

- Zderzymy się z nim, na litość boską!

- Wiem - odparł chłodno Garamond. - Później będziesz miał jakieś dwie sekundy na naprowadzenie tych nitek z powrotem na cel. A teraz przekonajmy się, jaki jesteś dobry.

Drugi prom rósł z przodu i lekko nad nimi, aż w końcu patrzyli prosto w jego dysze głównego napędu. Nagle nastąpiło wstrząsające dudnienie, które Garamond poczuł w kościach, prom zniknął i z boku ukazał się cel: dok *Bissendorfa*. Dla niego wypadki zaczęły się rozwijać w zwolnionym tempie. Miał czas kontrolować wszystkie ruchy pilota, gdy odpalał awaryjne korygujące silniki odrzutowe, które nakierowały dziób z powrotem na pierwotny kurs, miał czas się zaprzeć, gdy ciąg wsteczny wstrząsał konstrukcją statku, nawet czas na to, żeby zauważyć bieglność pilota i być za nią wdzięczny. Potem prom wbił się w dok transferowy *Bissendorfa* z prędkością pięć razy większą od maksymalnie dozwolonej i zaklinował w wewnętrznych pierścieniach hamujących z siłą, która odkształciła kadłub.

Garamond, jedyna osoba w promie nie chroniona przez fotel, poleciał do przodu, ale pole ograniczające, które reagoowało na wszelkie nagle ruchy jego ubrania, uchroniło go przed obrażeniami. Poczuł, jak fala indukowanego ciepła przemyka przez materiał, i w tym samym czasie usłyszał przeraźliwy gwizd z rufy statku. Pykanie w uszach mu powiedziało, że powietrze ucieka z promu w próżnię doku *Bissendorfa*. Parę sekund później Chris zaczął szlochać, cicho i miarowo. Garamond przeszedł do kabiny pasażerskiej, ukląkł przed chłopcem i spróbował go uspokoić.

- Co się dzieje, Vance? - Suknia Aileen z kolorowego jedwabiu wydawała się tu zupełnie nie na miejscu.

## Orbitsville

---

- Twarde dokowane, to wszystko. Tracimy powietrze, ale zaraz zwiększą ciśnienie w doku i... - Zawahał się, gdy z systemu nagłaśniającego promu popłynęła szczebiotliwa nuta.

- Już to robią, to sygnał wyrównywania, który mówi, że możemy wychodzić. Nie ma się o co martwić.

- Przecież spadamy.

- Nie spadamy, kochanie. Cóż, spadamy... ale nie w dół... - Przyszło mu na myśl, że nie jest to odpowiednia chwila na wprowadzanie żony w zawilosci mechaniki nieba. - Chcę, żebyście oboje z Chrisem posiedzieli tu przez parę minut. Zgoda?

Wstał, otworzył drzwi pasażerskie i spojrzał na grupę oficerów i personelu technicznego, zgromadzona no głównej platformie doku. Wypatrzył wśród nich zwalista sylwetkę Cliffa Napiera. Wybił się z progu i pozwolił, żeby lekkie przyciąganie pola ograniczającego statku zakrzywiło jego nieważki lot w dół na stalowa platformę, gdzie jego buty znalazły pewne oparcie. Napier chwycił go za ramię, podczas gdy inni salutowali.

- Nic ci nie jest, Vance? W życiu nie widziałem bardziej niebezpiecznego dokowania.

- W porządku. Później ci wszystko wyjaśnię, Cliff. Połącz się z maszynownią i powiedz, że chcę mieć natychmiast pełną moc.

- Natychmiast?

- Tak, za głównym frontem pogodowym ciągnie wstążka pyłu i zamierzam ją złapać. Zakładam, że masz już ustawiony kurs.

- Ale co z promem i jego załoga?

- Będziemy musieli zabrać prom z nami, Cliff. Prom i

wszystkich na jego pokładzie.

- Rozumiem. - Napier podniósł do ust komunikator, który nosił na nadgarstku, i rozkazał ruszać z pełną mocą. Był potężnie zbudowanym mężczyzną o byczym karku i rękach jak łyżki mechanicznej koparki, ale w jego zadumanych oczach połyskiwała żywa inteligencja. - Czy to nasza ostatnio misja dla Starflight?

- Moja ostatnia, w każdym razie. - Garamond się rozejrzył, żeby sprawdzić, czy nikogo nie ma w zasięgu słuchu. - Wdepnąłem, Cliff... i pociągnęłam cię ze sobą.

- To była moja decyzja... nie musiałem się odcinać od chłopców z łączności. Lecą za tobą?

- Wszystkie statki będące własnością Starflight.

- Nie złapią nas - oświadczył z przekonaniem Napier, gdy pokład zaczął naciskać na ich stopy, co sygnalizowało, że *Bissondorf* przyspiesza, opuszczając orbitę. - Polecimy na tym pasemku pyłu do Urana, a kiedy złapiemy falę... Cóż, na pokładzie mamy zapasy na rok.

- Dzięki. - Garamond uścisnął dłoń Napiera, a jednak -choć w tej chwili podniesiony na duchu przez szczery kontakt z drugą osobą -zastanawiał się, jak długo to potrwa, zanim któryś z nich powie otwarcie o gorzkich realiach ich sytuacji. Mieli do dyspozycji doskonały statek, lecz stulecie eksploracji kosmosu przez armadę Starflight dowiodło jednego.

Nie ma dokąd lecieć.

## ROZDZIAŁ 4

Mogli odłożyć decyzję na trzy dni.

W tym czasie był tylko jeden logiczny kierunek, w którym mógł lecieć *Bissendorf* na południe galaktyki, na poszukiwanie jednego zbłąkanego pasma cząstek, które ciągnęły za cofającymi się frontami pogodowymi. Złapali je niemal w ostatniej chwili i ogromne niematerialne silniki strumieniowe utworzone przez pola magnetyczne statku zaczęły gromadzić moc, zwiększając ich prędkość do świetlnej i nadświetlnej. Prototypy statków takich jak *Bissendorf* sto lat wcześniej obaliły fizykę einsteinowską. Podczas pierwszych nieśmiałych lotów zarejestrowano przepowiadany przez Einsteina wzrost

## Orbitsville

---

masy, ale bez efektu spowolnienia czasu, i prędkość światła wcale nie okazała się nieprzekraczalną barierą. Opracowano nową fizykę - głównie na podstawie prac kanadyjskiego matematyka Arthura Arthura - która wzięła pod uwagę ostatnio zaobserwowany fakt, iż kiedy ciało o znacznej masie i polu grawitacyjnym osiąga prędkość zbliżoną do  $2c$ , wchodzi w nowy układ odniesienia. Po przekroczeniu tej progowej prędkości statek tworzył własny przenośny wszechświat, w którym obowiązywały inne prawa, i wyszło na to, że prędkość światła wcale nie jest wielką uniwersalną stałą. Jest nią sam czas.

Podczas wcześniejszych misji Garamond był zadowolony, że Einstein nie miał racji i że czas nie zwalnia dla podróżnika w kosmosie - nie miałby odwagi lecieć między gwiazdy, gdyby wiedział, że jego żona starzeje się o dziesięć lat na każdy jego jeden rok albo że syn szybko się staje starszy od niego. Ale w tej podróży, ostatniej dla Starflight, z Eileen i Christopherem na pokładzie, fizyka einsteinowska rozwiązałyby wiele problemów, gdyby mógł zatoczyć wielkie koło przez jedną część galaktyki i po powrocie na Ziemię stwierdzić, jak obiecywał Einstein, że Elizabeth Lindstrom od dawna nie żyje. Fizyka arturiańska zatrzasnęła to hipotetyczne? wyjście ratunkowe, dlatego stał w obliczu pytania, dokąd się udać w ciągu tego roku ukradzionego czasu.

Rozmyślając o tej sprawie, miał na względzie dwa ważne powody. Po pierwsze, nie miał zamiaru skazywać składającej się z czterystu pięćdziesięciu osób załogi *Bissendorfa* na powolną śmierć w jakiejś nieznannej części galaktyki po roku podróży. Statek musi wrócić na Ziemię, więc tym samym promień jego działania jest ograniczony przez odległość, jaką

pokona w ciągu sześciu miesięcy. Nawet przy założeniu, że poleci w linii prostej do jednego wybranego miejsca przeznaczenia, półroczna granica może oznaczać, że nie wyjdzie poza przestrzeń już gruntownie zbadaną przez Starflight. Szanse, że podczas tego jednego desperackiego lotu znajdzie nadającą się do zamieszkania planetę, żeby się ukryć, były od samego początku mikroskopijne; zmodyfikowane przez czynnik odległości, zniknęły w królestwie fantazji.

Drugi główny powód miał charakter osobisty. Garamond już wiedział, dokąd chce lecieć, ale miał kłopot z usprawiedliwieniem swojej decyzji.

\*

- Gromada osiemset trzy to najlepszy wybór - powiedział Clifford Napier. Siedział w obitym sztuczną skórą fotelu w kwaterach Garamonda, trzymając szklaneczkę z whisky, której jeszcze nie skosztował, tylko podnosił ku światłu, żeby podziwiać kolor. Jego nakryte ciężkimi powiekami oczy były nieprzeniknione, gdy kontynuował swoją tezę, - Możesz tam lecieć i mieć zapas czasu. Gromada jest gęsta, średnia odległość pomiędzy słońcami wynosi pół roku świetlnego, więc zdążysz sprawdzić minimum osiem układów, zanim będziesz się musiał wycofać. To doskonale terytorium do prowadzenia poszukiwań, Vance. Jak wiesz, zgodnie z zaleceniami zarządu DEG-u osiemset trójka powinna mieć pierwszeństwo, kiedy będzie planowana następna fala eksploracji.

Garamond napił się whisky nasyconej ciepłym zapo-



mnianych pór letnich.

- Zgadza się, to ma sens.

Przez jakiś czas obaj mężczyźni siedzieli w milczeniu, słuchając cichego pomruku nadprzewodzących pomp strumieniowych, zawsze obecnego nawet w izolowanej akustycznie samotni pokoi kapitańskich.

- To ma sens - powtórzył Napier - ale nie chcesz tam lecieć, prawda?

- Cóż, być może ma to zbyt wiele sensu. Admincom może przewidzieć, że słyszeliśmy o osiemsettrójce, i wysłał w ten region sto statków. Tysiąc statków.

- Sądzi, że mogliby nas złapać?

- Zawsze istnieje takie ryzyko - odparł Garamond.

Znowu zapadła cisza. Po chwili Napier westchnął ciężko.

- No dobra, Vance... gdzie ta twoja mapa?

- Jaka mapa?

- Ta z Gwiazdą Pengelly'ego. Tom chcesz lecieć, prawda?

Garamonda ogarnęła złość, że drugi człowiek z taką łatwością odkrył jego najskrytsze myśli.

- Moj ojciec kiedyś naprawdę spotkał Rufusa Pengelly'ego - oznajmił obronnym tonem. - Powiedział mi, że nigdy nie znał człowieka mniej zdolnego do oszustwa, a jeśli było coś, co ojciec umiał robić, to właśnie oceniać charakter na podstawie... - Urwał, gdy Napier zaczął się śmiać.

- Vance, nie musisz mi reklamować tego pomysłu. I tak nie znajdziemy trzeciego świata, więc nie ma znaczenia, dokąd polecimy, prawda?

Złość ustąpiła narastającemu poczuciu ulgi. Garamond

podszedł do biurka, otworzył szufladę i wyjął cztery duże fotokopie, które przedstawiały szare niczym metal albo kamień powierzchnie z licznymi ciemnymi miejscami sugerującymi, że są to mapy gwiazdowe. Nieostrość znaków i plamista tekstura tła wynikały z tego, że wydruki były komputerowymi rekonstrukcjami map gwiazdowych zniszczonych przez ogień.

Szczególny rodzaj ognia, pomyślał Garamond. Taki, który pozbawił nas sąsiada.

Sagania została odkryta we wczesnej fazie eksploracji. Leżała mniej niż sto lat świetlnych od Słońca, czyli tylko w jednej czwartej odległości, w jakiej według rachunku prawdopodobieństwa powinna istnieć cywilizacja techniczna w galaktyce. Jeszcze bardziej godna uwagi okazała się zbieżność skali czasowych. Z geologicznego punktu widzenia na Saganii i Ziemi okres, w którym powstało i rozkwitło inteligentne życie, stanowił mniej niż sekundę w życiu człowieka, a jednak odniosło ono fantastyczny sukces. Saganianie i ludzie współistnieli, na przekór wszelkim szansom, o międzygwiazdny rzut kamieniem, i jedni spoglądając w nocne niebo mogli bez przyrządów optycznych zobaczyć rodzimą gwiazdę drugich. Obie cywilizacje postawiły na rozwój techniki i osiągnęły etap umożliwiający wykorzystywanie energii jądrowej. Obie podzielały pragnienie podboju kosmosu, planowały budowę statków kosmicznych i - ze swoimi sublatarniami drżącymi w czerni jak świece w dalekich oknach - było nieuniknione, że kiedyś powstanie unia.

Tyle że pewnego dnia na Saganii - w czasie, kiedy na Ziemi w dorzeczu Tygrysu i Eufratu rodziły się pierwsze cywilizacje - ktoś popełnił błąd. Może jakiś polityk przeszarżował albo naukowiec zagrał niewłaściwymi kartami, ale skutek był

taki, że Sagunia straciła atmosferę i życie wskutek niekontrolowanej reakcji nuklearnej, która omiotła planetę niczym fala białego ognia.

Ziemsy archeolodzy, którzy przybyli tam siedem tysięcy lat później, odkryli niewiele artefaktów z ostatniej fazy cywilizacji sagańskiej. Jak na ironię albo też gwoli sprawiedliwości, zależnie od punktu widzenia, istoty reprezentujące szczyt planetarnej kultury unicestwiły dosłownie wszystkie ślady swojego istnienia. Sonden elektroniczne wpadły na trop starszej, pokorniejszej kultury sagańskiej. Znalezione między innymi fragmenty map gwiazdowych, które wywołały niewielkie zainteresowania, mimo że zdaniem kilku badaczy niektóre z nich ukazywały nieistniejącą gwiazdę.

- To najwcześniejszy fragment - powiedział Garamond, kładąc fotokopię na stole przed Napierem. Wskazał niewyraźną plamkę. - A to słońce, które nazwaliśmy Gwiazdą Pengelly'ego. Tu masz kolejną mapę datowaną na pięćset lat później i jak widzisz, nie ma na niej Gwiazdy Pengelly'ego. Jedno wyjaśnienie mówi, że w jakimś czasie pomiędzy sporządzeniem tych dwóch map gwiazda zniknęła.

- Może pominięto ją przez pomyłkę - podsunął Napier, świadom, że Garamond chce po raz kolejny wznowić starą dyskusję.

- Wykluczone, ponieważ mamy dwie późniejsze mapy pokrywające ten sam region, sporządzone w odstępach kilku stuleci, i na nich też nic ma gwiazdy. A obserwacje teleskopowe nie wykazują niczego w tym regionie.

- Co dowodzi, że gwiazda umarła.

- To oczywiste wyjaśnienie. Szybki, choć wcale nie spektakularny wybuch, a potem śmierć. A oto czwarta mapa.

## Orbitsville

---

ta znaleziona przez doktora Pengelly'ego. Jak widzisz, jest na niej nasza gwiazda.

- Co dowodzi, że mapa jest starsza od drugiej i trzeciej.

- Pengelly twierdził, że wykopał ją na najwyższym poziomie ze wszystkich, co znaczy, że jest najmłodsza.

- Co znaczy, że był kłamcą. Takie rzeczy zdarzały się wcześniej, Vance. - Napier grubymi palcami przekładał lśniące odbitki. - Słyszałeś o tej sprawie na Krecie sprzed kilkuset lat? Archeolodzy zawsze...

- Próbują zdobyć sławę. Pengelly niczego by nic zyskał, gdyby skłamał, gdzie znalazł tę mapę. Osobiście uważam, że została sporządzona zaledwie dziesiątki lat przed Wielkim Całopaleniem, w epoce sagańskich lotów kosmicznych. - Garamond mówił beznamiętnym tonem, co świadczyło, że jest głęboko przekonany o prawdziwości swoich słów. - Na czwartej mapie zauważysz, że gwiazda nie jest reprezentowana przez zwykłą kropkę. Wokół niej widnieje zarys okręgu.

Napier wzruszył ramionami i pociągnął pierwszy łyk whisky.

- Ta mapa ukazuje położenie słońc, które zgasły.

- Jest taka możliwość, być może nawet prawdopodobieństwo, ale idę o zakład, że sagańska technika kosmiczna była bardziej zaawansowana niż przypuszczamy. Założę się, że Gwiazda Pengelly'ego była dla nich ważna w sposób, jakiego nie rozumiemy. Może znaleźli tam świat nadającym się do zamieszkania.

- Już się nie nadaje. Nie po śmierci słońca.

- Nie, ale może zachowały się tam inne mapy, podziemne instalacje, cokolwiek. - Garamond nagle usłyszał własne słowa tak, jakby wypowiadał je ktoś obcy, i był przerażony

## Orbitsville

---

kruchością struktury logicznej, na której opierały się nadzieje jego rodziny na przyszłość. Odruchowo zerknął ku drzwiom prowadzącym do sypialni, gdzie spała Aileen i Chris. Napier, spostrzegawczy jak zawsze, powstrzymał się od komentarza i przez jakiś czas sączyli whisky w milczeniu. Bloki kolorowego światła, tworzone w celu dekoracyjnym przez ten sam proces, który wytwarzał holograficzne mapy pogodowe, płynęły w powietrzu w przypadkowych wzorach, mieszając się i stapiając. Ich zmienne odbicia wydawały się ożywiać złotego ślimaka na biurku Garamonda.

- Nigdy nie znaleźliśmy sagańskich statków kosmicznych - odezwał się Napier.

- Co nie znaczy, że ich nie mieli. Znajdziesz ich statki gdziekolwiek, tylko nie w sąsiedztwie spalonej macierzystej planety. - Znowu zapadło milczenie i świetlne sześciany dryfowały po pokoju jak kostki niematerialnej galaretki.

Napier dopił drinka i napełnił szklaneczkę.

- W twoich ustach brzmi to niemal przekonująco, ale spróbuj mi wyjaśnić, dlaczego Dywizja Eksploracji Gwiazdowej nigdy nie podążyła tym tropem?

- Bądźmy ze sobą szczerzy - zaproponował Garamond - Ile lat minęło zanim zrozumiałeś, że Starflight chce znaleźć inne światy?

- Ja...

- Mają Terranową, którą dawno temu rozparcelowali na hektarowe działki i je sprzedali, jakby to były tereny budowlane na Long Island. Poza tym są właścicielami wszystkich statków. Przeznaczenie człowieka leży wśród gwiazd, o ile jest gotów wyrzec się dorobku połowy życia dla Starflight za przewóz i dorzucić drugą połowę za działkę. Ten system do-

brze funkcjonujące, Cliff, i parę tanich nowych światów spowodowałyby jego upadek. Właśnie dlatego w DEG-u jest stosunkowo niewiele statków.

- Ale...

- Są bardziej subtelni niż kompanie kolejowe i górnicze w Stanach, kiedy zakładano prywatne miasta, ale metoda wcale się nie zmieniła. Co próbujesz powiedzieć?

- Próbuję się z tobą zgodzić. - Napier uderzył pięścią w zielony jak limonka sześcian, który odpłynął bez szwanku. - Cholera, przecież nie ma znaczenia, dokąd polecimy, więc równie dobrze możemy zapolować na Gwiazdę Pengelly'ego. Masz jakieś pojęcie, gdzie ona powinna być?

- Jakież. Rzuć okiem na tę mapę. - Gdy szli do uniwersalnej maszyny w kącie, Garamond poczuł ulgę, że Napier tak łatwo dał się przekonać, ponieważ przydawało to pomysłowi podobieństwa rozsądku. Kiedy się znalazł w zasięgu słuchu urządzenia, wywołał uprzednio przygotowaną mapę. W powietrzu nad konsolą pojawiła się trójwymiarowa mapa gwiazdowa. Jedna gwiazda wlokła za sobą zakrzywiony kilwater czerwonych kresek, które kontrastowały z ciągłymi zielonymi liniami, reprezentującymi dryf galaktyczny innych gwiazd.

- Nie miałem żadnych bezpośrednich danych dotyczących odległości Gwiazdy Pengelly'ego od Saganii - zaczął wyjaśniać Garamond. - Ale dla nas interesujące jest to, że prawdopodobnie była to gwiazda typu solarne-go. To daje przybliżoną wartość jej jasności i, ponieważ plamka odwzorowująca ją na najwcześniejszej mapie sagańskiej pod względem rozmiaru mniej więcej odpowiadała innym istniejącym gwiazdom pierwszej wielkości, byłem w stanie wyznaczyć jej odległość

od Saganii.

- Założenie goni założenie - zaznaczył Napier z powątpiewaniem.

- Wcale nie tak bardzo. Gwiazdy w całym regionie poruszają się w jednakowy sposób z tą samą prędkością, dlatego, chociaż w ciągu siedmiu tysięcy lat wszyscy przebyliśmy długą drogę, możemy zlokalizować Gwiazdę Pengelly'go na tej linii z dużym stopniem pewności.

- Pewności, mówisz. Jaki jest wyliczony czas podróży? Około czterech miesięcy?

- Mniej, jeśli tam dmucha odpowiedni rodzaj pyłu.

- Dmucha - powiedział Napier neutralnym tonem. - To zły wiatr...

Później, kiedy Napier wyszedł, żeby się trochę prześpać, Garamond polecił uniwersalnej maszynie przekształcić całą ścianę w pokoju w ekran z widokiem sprzed dziobu. Przez długi czas siedział w głębokim fotelu z nietkniętym drinkiem, patrząc na gwiazdy i myśląc o ostatniej uwadze Napiera. Część niewidzialnych wiatrów galaktycznych, z których „Bissendorf” czerpał swoją masę reakcyjną, zawsze była bardzo niesprzyjająca dla kogoś, gdzieś, kiedyś. Ciężkie cząstki, gnane przez kolo galaktyki przez siły pradawnych nowych, składały się na najbogatsze i najbardziej poszukiwane żniwo ze wszystkich. Doświadczony skrzydłomigowiec mógł powiedzieć, kiedy taka chmura zasila jego silniki, na podstawie samego uczucia, że pokład coraz bardziej napiera na jego stopy. Ale słońce przechodzące w nową pochłania swoje planety, przemieniając je wraz ze wszystkim, co się na nich znajduje, w płonący gaz, i przy każdym dostrzegalnym skoku prędkości statku Garamond zastanawiał się, czy statek jest napędzany przez duchy

cywilizacji z zarania czasu, czy silniki unicestwiają wszystkie ich marzenia, dają ostateczną odpowiedź na wszystkie ich pytania.

Zasnął, siedząc przed ekranem, na ciemnym skraju otchłani.

\*

Aileen Guramond chorowała prawie przez tydzień.

Część problemu była skutkiem szoku, a następnie stresu wynikającego z gwałtownego przeniesienia w zupełnie inne środowisko, ale Garamond z zaskoczeniem odkrył, że jego żona jest znacznie bardziej niż on wrażliwa na drobne zmiany przyśpieszenia powodowane przez przecinanie stref pogodowych. Wyjaśnił jej, że podstawowym składnikiem masy reakcyjnej *Bissendorfa* jest międzygwiazdny wodór, jonizowany przez bezustanne wystrzeliwanie wiązek elektronów, a następnie zgarniany przez pola elektromagnetyczne do wlotów silników. Gdyby rozkład wodom w przestrzeni był stały, statek by jednostajnie przyśpieszał, a jego załoga cieszyła się dobrodziejstwem niezmienną pozorną grawitacją. Przestrzeń kosmiczna jednakże nie jest spokojna próżnia opisywana przez dawnych astronomów, którzy nigdy nic opuścili Ziemi. Włóczące się chmury naładowanych cząstek z tuzina różnego rodzaju źródeł omiatają go jak wiatr i fale, ciężkie i wysokoenergetyczne, zderzające się, odbijające, tworzące milczące burze tam, gdzie spotykają się czołowo.

- Na samym dostępnym wodorze nasze największe



## Orbitsville

---

przyśpieszenie byłoby równe albo nawet mniejsze niż połowa stałej grawitacji - powiedział Garamond. - Dlatego cenimy regiony o wysokiej aktywności i gdy tylko to możliwe, kreślimy kurs, który nas przez nic poprowadzi. I właśnie dlatego od czasu do czasu czujesz zmiany w ciężarze swojego ciała.

Aileen rozmyślała przez chwilę.

Nie można zmieniać sprawności silników, żeby kompensować te zmiany?

- Hej! - Garamond zaśmiał się z zadowoleniem. - Taka jest normalna praktyka na statku pasażerskim. Podczas lotu wykorzystują mniej więcej dziewięćdziesiąt procent swojej pełnej mocy i gdy statek wchodzi w biedne albo bogate obszary przestrzeni, automatycznie zwiększają albo zmniejszają tę wartość, żeby utrzymać stałą grawitację. Ale siatek Dywizji Eksploracji zwykle pędzi pełną mocą, i na takiej wyprawie jak ta... - Garamond umilkł.

- Mów śmiało, Vince. - Aileen usiadła w łóżku, odsłaniając śniadą pierś. - Nie można przebierać w słowach, kiedy jest się ściganym.

- Chodzi nie tyle o to, że jesteśmy ścigani, ile o jak najlepsze wykorzystanie naszego czasu i żeglowanie z jak największą prędkością.

Aileen wstała z łóżka i podeszła do niego, jej nagość wydawała się dziwnie niestosowna w funkcjonalnym wnętrzu jego kwatery.

- Lot na Terranową nie ma sensu, prawda? Czy nie to właśnie mi mówisz?

Przytulił twarz do ciepłej poduszki jej brzucha.

- Statek może lecieć przez rok. Później...

- I nie znajdziemy nowej planety. To znaczy takiej, na

której moglibyśmy zamieszkać.

- Zawsze jest szansa.

- Jak duża?

- Cała flota od stu lat prowadzi eksploracje kosmosu, żeby znaleźć jedną nadającą się do zamieszkania planetę. Sama sobie oblicz.

- Rozumiem. - Aileen stała z nim przez chwilę, niemal z roztargnieniem przytulając do siebie jego twarz, potem się odwróciła zdecydowanym ruchem. - Czas na wycieczkę z przewodnikiem po statku. Obiecałeś to Christopherowi i mnie.

- Jesteś pewna, że czujesz się dość dobrze?

- Poradzę sobie - zapewniła.

Garmond nagle poczuł się szczęśliwszy niż się spodziewał, że kiedykolwiek będzie. Pokiwał głową i poszedł do głównego pokoju, gdzie Chris jadł śniadanie. Gdy tylko chłopiec doszedł do siebie po niefortunnym początku swoich lotów kosmicznych na pokładzie promu, szybko i łatwo się zaadaptował do nowego otoczenia. Garamond ułatwiał mu to, na ile mógł, spędzając minimum czasu na mostku *Bissendorfa*, przekazując sterowanie statkiem Napierowi i innym starszym oficerom. Pomógł synowi się ubrać i gdy skończył, dołączyła do nich Aileen, trochę zakłopotana w gołębiej szarości kombinezonu pielęgniarki, który dla niej zamówił u kwatermistrza.

Wyglądasz świetnie - powiedział, zanim mogła zadać stare jak świat pytanie.

Aileen przyjrzała się sobie krytycznie.

- Co było nie w porządku z moja suknią?

- Nic, gdy przebywasz no pokładzie rekreacyjnym, ale w innych sekcjach statku musisz nosić funkcjonalne ubranie. Na podkładzie nie ma innych żon i nic chciałbym, żebyś w ta-

kim stroju kłuła kogoś w oczy.

Przecież mówiłeś, że jedna trzecia załogi stanowią kobiety.

- Prawda. Mamy sto pięćdziesiąt kobiet w różnym wieku i różnej rangi. Podczas długiej podróży zawsze dochodzi do licznych przelotnych romansów i od czasu do czasu trafiają się małżeństwa, ale żadna kobieta nic jest zabierana wyłącznie z powodów biologicznych. Każda ma swoją robotę do wykonania.

- Nie musisz mówić tak sztywno, Vance. - Aileen popatrzyła na Christophera, potem znowu na męża. - Co z Christopherem? Czy ktoś wie, dlaczego tu jesteśmy?

- Nie. Zablokowałem kanały łączności, gdy byliśmy w promie. Jedyna poza nami osobą, która zna całą historię, jest Cliff Napier. Wszyscy inni mogą się domyślać, że wpadłem w jakieś tarapaty, ale nie będą tym zbytnio przejęci. - Garamond się uśmiechnął, gdy wspomniał stary żart skrzydłomigowców. - To swego rodzaju efekt względności: im szybciej i dalej lecis, tym mniejsza się staje prezes.

- Czy od tamtej pory nie mogli usłyszeć czegoś przez radio?

Garamond stanowczo pokręcił głową.

- Nawiązanie łączności z lecącym statkiem jest niemożliwe. Żaden sygnał nie przejdzie przez pola. Załoga prawdopodobnie dojdzie do wniosku, że postanowiłem odejść od Elizabeth w sposób, w jaki kiedyś to zrobił pewien dowódca, niejaki Witsch. Jeśli cokolwiek, urosnę w ich oczach.

Wycieczka po różnych sekcjach i poziomach *Bissendorfa* zajęła im ponad godzinę, zaczynając od pokładu dowodzenia, a potem „w dół” przez różne poziomy administracyjne,

## Orbitsville

---

techniczne i warsztatowe do stacji generowania pola i kapsuł zawierających pompy strumieniowe i elektrownie termojądrową. Pod koniec wycieczki Garamond z tępym wrażeniem zdumienia zrozumiał, że na jakiś czas udało mu się zapomnieć, że nad nim i jego rodziną wisi wyrok śmierci.

*Statek, napędzany przez bogate w jony kosmiczne fale, utrzymywał średnie przyśpieszenie rzędu trzynastu metrów na sekundę do kwadratu. Ludzie dostawali w kość. bo ich ciężar pozornie się zwiększył o jedną trzecia, ale przy takim tempie wzrostu prędkości minęłoby kilka miesięcy, zanim Bissendorf mógłby osiągnąć prędkość światła zgodnie prawami Einsteina. Jednak zaledwie po siedmiu tygodniach statek osiągnął prędkość pięćdziesięciu milionów metrów na sekundę - magiczna progowa liczba, za którą rządy przejmuje fizyka arthuriańska - i zaszło nowe zjawisko, niewytłumaczalne w odniesieniu do układów niskiej prędkości. Dla tych na pokładzie przyśpieszenie pozostało stałe, a jednak prędkość Bissendorfa ostro wzrastała, aż w punkcie środkowym podróży, zaledwie dwanaście dni później, statek, mknął z wielokrotną prędkością światła.*

*Spowalnianie wyglądało jak lustrzane odbicie na wykresie odległości i czasu i po upływie czterech miesięcy znaleźli się w wyliczonym sąsiedztwie Gwiazdy Pengelly'ego.*

\*

Przykro mi, Vance. - Grubokoścista twarz Cliffa Napiera miała ponury wyraz. - Po prostu ani śladu. Yamoto mówi, że gdybyśmy byli w odległości dziesięciu lat świetlnych od czar-

nego słońca, jego instrumenty nie mogłyby go nie wykryć.

- Jest pewien?

- Jest pewien. Prawdę mówiąc, według niego przestrzenna aktywność tła jest mniejsza od normalnej.

Nie pozwolę, żeby to się stało, pomyślał irracjonalnie Garamond. Na głos powiedział:

- Zejdźmy do obserwatorium, chcę pogadać o tym z Yamoto.

- Dam go na twój ekran.

- Nie, chcę porozmawiać z nim osobiście. - Garamond wyszedł zza centralnego pulpitu dowodzenia i skinął na Gunthera, drugiego zastępcę, żeby zajął jego miejsce. Była to chwila, której bał się najbardziej odkąd godzinę temu wyłączono silniki *Bissendorfa*, umożliwiając - pod nieobecność pochłaniających wszystko pól elektromagnetycznych - zbadanie promieniowania otaczającej przestrzeni. Chciał pójść do obserwatorium dlatego, że nagle zapragnął rozprostować ręce i nogi, żeby rozładować miazdzące poczucie zniecierpliwienia, które odeszło w czasie lotu i teraz znowu do niego wróciło. Chciał spędzić jakiś czas z dala od czujnych oczu personelu na mostku.

- Przykro mi, Vance. - Napier zawsze miał kłopoty z dostosowaniem się do zerowej grawitacji i jego masywna postać niebezpiecznie się kołysała, gdy szedł w butach magnetycznych do szybu windy.

- Już to mówiłeś.

- Wiem, ale sam zacząłem wierzyć, że jesteśmy na właściwym tropie, i jakoś czuje się winny, że jest tak, a nie inaczej.

- To obłąd, przecież zawsze wiedzieliśmy, że szanse są znikome - mruknął Garamond. Ty kłamco, powiedział sobie w

duchu. Wcale nie wierzyłeś, że szanse są nikłe. Wmówiłeś sobie, że znajdziesz znak drogowy do trzeciego świata, ponieważ nie mogłeś spojrzeć prawdzie w oczy i poradzić sobie z tym, że skazałeś żonę i syna na śmierć.

Gdy winda niosła go na dół, być może po raz tysięczny wrócił myślą do tamtego popołudnia na tarasie Slarllight House. Wystarczyło, żeby miał oko na Haralda Lindstroma, żeby odmówił, gdy chłopiec zapytał, czy może pobiegać, żeby zrobił to, co zrobiłby każdy inny w tych okolicznościach. Zamiast tego pozwolił, żeby dzieciak go wkręcił w rolę zahartowanego podróżnika kosmicznego, i dał się zmanipulować. Później odwrócił głowę i zatopił się w rozmyślaniach, podczas gdy Harald się wspinał, później zbyt wolno dotarł do posągu, gdy pierwszy milimetr światła dziennego otworzył się pomiędzy palcami i metalową konstrukcją i chłopiec spadał... spadał... spadał.

- Jestem. - Napier otworzył drzwi windy, odsłaniając podobny do tunelu korytarz, na którego końcu znajdowało się obserwatorium astronomiczne *Bissendorfa*.

- Dzięki. - Garamond walczył z poczuciem nierzeczywistości. kiedy wyszedł z windy. Zobaczył, jak we śnie, ubranego na biało Sommy'ego Yamoto stojącego na końcu korytarza i machającego do niego ręką. Jego mózg próbował w odrętwiały sposób poradzić sobie z paradoksem, że chwile prawdy, te chwile, kiedy nie można uniknąć rzeczywistości, zawsze wydają się nierealne. A prawda była taka, że jego żona i syn umrą. Przez niego.

- Jak na człowieka, który niczego nie znalazł, Sammy Yamoto wygląda na całkiem podekscytowanego - zauważył Napier.

## Orbitsville

---

Garamond przywołał swój umysł z szarych wędrówek.

Yamoto wyszedł im na spotkanie, jego wargi w kolorze śliwki drżały lekko.

- Coś znaleźliśmy! Po rozmowie z panem Napierem zaciekawiał mnie fakt, że w przestrzeni jest mniej materii na centymetr sześcienny niż wynosi norma galaktyczna. Wygląda to tak, jakby ten region został wymieciony przez przechodzące słońce, a jednak nigdzie nie ma słońca.

Co znaleźliście?

- Już sprawdziłem spektrum elektromagnetyczne i wiem, że w pobliżu nie może być słońca, ale jakiś obłądny impuls kazał mi sprawdzić spektrum grawitacyjne. Yamoto miał pięćdziesiąt lat i w swoim życiu widział wiele światów, a jednak jego twarz była twarzą człowieka w głębokim szoku.

Garamond poczuł pierwszy dreszcz ogromnej radości.

- Proszę mówić dalej — powiedział Napier za jego plecami.

Znalazłem źródło grawitacji wielkości gwiazdowej mniej niż jedną dziesiątą roku świetlnego stąd, więc...

- Wiedziałem! - krzyknął chrapliwie Napier. — Znaleźliśmy Gwiazdę Pengelly'ego.

Garamond wpatrywał się w oczy astronoma.

- Daj panu Yamoto mówić.

- Więc sprawdziłem parę odczytów tachionowych, żeby w przybliżeniu określić wielkość i skład powierzchni obiektu i... Nic uwierzy pan, panie Garamond.

- Przekonajmy się.

- O ile mi wiadomo... - Yamoto głośno przełknął ślinę. - O ile mi wiadomo, obiekt... to, co odkryliśmy, jest statkiem kosmicznym o średnicy ponad trzystu milionów kilometrów!

### ROZDZIAŁ 5

Jak wszyscy inni na pokładzie *Bissendorfa*, Garmond godzinami przesiadywał przed ekranami widokowymi podczas długich dni podchodzenia do kuli.

Uczestniczył w wielu zebraniach, w towarzystwie Yamoto, który stał się jednym z najbardziej zajętych i najhardziej poszukiwanych ludzi na statku. Z początku naczelny astronom chciał wykorzystać okres wytaczania napędu, żeby wysłać sygnał tachionowy na Ziemię i ogłosić swoje odkrycie. Garmond dyskretnie nie podkreślił, że to on był motorem poszukiwań. Uświadomił Yamoto, że rozgłaszanie odkrycia spowoduje, że żadni sławy rywale zbyt wcześnie pojawią się na scenie, i jednocześnie zabezpieczył się przed ryzykiem nawiązania łączności, rozkazując natychmiastowe uruchomienie silników.

Yamoto wrócił do pracy, ale, co dziwne, nawet po całym tygodniu skoncentrowanych wysiłków wiedział o obiekcie niewiele więcej niż po pierwszym pośpiesznym skanowaniu. Potwierdził, że jego średnica wynosi około trzystu dwudziestu milionów kilometrów, czyli nieco więcej niż dwie jednostki astronomiczne; potwierdził, że jego powierzchnia jest gładka poza granice rozdzielczości, z pewnością będąc odpowiednikiem stali doskonale obrobionej maszynowo; potwierdził, że nie emituje żadnego promieniowania, tylko na spektrum grawitacyjnym, i że analiza wykazała, iż wewnątrz jest



pusty. W tym tygodniu jego jedyne nowe informacje mówiły, że obiekt jest idealnie kulisty w obrębie możliwego marginesu błędu i że się obraca. Na pytanie, czy jest naturalny, czy sztuczny, nic zaryzykował wyrażenia żadnej zawodowej opinii.

Garamond obracał w głowie wszystkie czynniki, próbując ocenić ich odniesienie do własnej sytuacji. Sfera, bez względu na jej charakter, bez względu na pochodzenie, była zdumiewającym znaleziskiem - a fakt, że była zaznaczona na antycznej sagańskiej mapie gwiazdowej, radykalnie zmieniał przyjmowane poglądy na temat poziomu rozwoju technicznego wymarłej cywilizacji. Możliwe, że odkrycie wywrze wpływ na całą astronomię, ale nie na żałośnie krótka przyszłość jego żony i dziecka. Co miał nadzieję znaleźć wewnątrz sfery? Gasnące słońce, które wciąż emituje życiodajne ciepło? Planetę typu ziemskiego z ogromną siecią podpowierzchniowych jaskiń prowadzących do ciepłego jądra? Rasę przyjaźnie nastawionych humanoidów, którzy powiedzą: "Chodź i żyj wśród nas, a my ochronimy twoją rodzinę przed prezes Starflight"?

W naturze nadziei leży to, że karmi się takimi nieodrzecznymi fantazjami. Ale tylko wtedy, kiedy są ograniczone do podświadomości, gdzie - dopóki w ogóle istnieją - emocje mogą je równać z prawdziwymi perspektywami przeżycia, umożliwiając człowiekowi na stopniach szafotu zachowanie wiary, że w ostatniej chwili wyniknie coś, co go uratuje. Garamond i jego żona wchodzili na szafot i fantazje o nadziei zostały rozproszone przez straszną obecność sfery.

Garamond stwierdził, że próba ogarnięcia rozumem jej wielkości powoduje niemal fizyczny ból pomiędzy skroniami.

## Orbitsville

---

Obiekt był dość duży według standardów astronomicznych, taki wielki, że gdyby pośrodku umieścić Słońce, orbita Ziemi znajdowałaby się wewnątrz powłoki - zakładając, że zewnętrzna powierzchnio jest powłoką. Był taki wielki, że z odległości, z której Słońce wyglądałoby jak jasna gwiazda, wyraźnie go widzieli gołym okiem w postaci dysku czerni na tle mgławic i galaktyk. Garamond patrzył, jak sfera rośnie na ekranach, aż wypełniła całe pole widzenia swoim ciemnym, niepojętym ogromem, mimo że wciąż znajdowała się ponad sto pięćdziesiąt milionów kilometrów dalej.

Coś w nim zaczęło się przed nią wzdragać. Na wczesnych etapach podchodzenia pielęgnował pomysł, że z powodu gładkości powierzchni sfera musi być tworem sztucznym. Pomysł przepadł, kiedy został skonfrontowany z jej paraliżującą umysł wielkością, ponieważ nie było sposobu, żeby sobie wyobrazić inżynierię o takiej skali, żeby uwierzyć w istnienie techniki tak daleko wykraczającej poza wszystko, o osiągnięciu czego ludzkość mogła tylko marzyć. Później, na ostatnich etapach podejścia, sensory *Bissendorfa* wykryły planetę orbitującą na zewnątrz sfery,

Nie było optycznego dowodu obecności planety, ale badania emisji grawitacyjnych wykazały, że ma w przybliżeniu tę sumą średnicę i masę co Ziemia i że jej prawie kolista orbita jest oddalona o około osiemdziesiąt milionów kilometrów od powierzchni sfery. Chociaż odkrycie planety było cenne samo w sobie, prawdziwe znaczenie leżało w tym, co na jego podstawie można wydedukować o naturze sfery.

Naczelny astronom Yamoto przysłał Garamondowi raport, w którym jednoznacznie stwierdzał, że sfera jest cienką powłoką zawierającą skądinąd zwyczajne słońce.

\*

W czasie, kiedy statek dostosował prędkość do ukrytej gwiazdy i wśliznął się na równikową orbitę parkingową, znajdował się tylko ponad dwa tysiące kilometrów od powierzchni ciemnej sfery. Odległość była niedogodna dla szalupy o napędzie raketowym, która miała zabrać ekspedycję badawczą, ale *Bissendorf* nie został stworzony do tak bliskiego manewrowania i Garamond nie wyraził zgody na bliższe podejście z rzadko używanymi silnikami jonowymi. Siedział w głównym centrum kontroli i oglądał stereoskopowy obraz grupy EVA, gdy jej członkowie przygotowywali się w punkcie zbornym. Znał z widzenia, jeśli nic z nazwiska, wszystkich ze swojej załogi, miał jednak kłopot ze zidentyfikowaniem jasnowłosego chłopaka o świeżej cerze. Wskazał na ekran.

- Cliff, czy to ktoś z tego promu, który porwaliśmy? Zgadza się. Joe Braunek. Dobrze się wpasował odparł Napier. - Sądzę, że wyświadczyłeś mu przysługę.

- Czy Tayman go wybrał na tę misję?

- Zgłosił się na ochotnika. Tuirnan zwrócił się do mnie, a ja osobiście porozmawiałem z Braunkiem. - Na-pier przerwał, wspominając coś, co wyraźnie go bawiło.

- I ?

- Mówi, że ma prawo do wylatania swoich godzin, po nieważ zniszczyłeś jego prom i wyrzuciłeś go blisko Saturna.

Garamond z aprobatą pokiwał głową.

- A co z drugim pilotem promu? Tym z niebieską szczęką.

## Orbitsville

---

- Ze Shrapnelem? Cóż... on niezbyt się wpasował. Prawdę mówiąc, jest pełen urazy. Nie chciał się zaciągnąć do załogi i musiałem przydzielić mu nadzór.

- Tak? O ile dobrze pamiętam, posłałem mu przeprosiny.

- Posłałeś. Mimo wszystko wciąż żywi urazę.

- Ciekawe, dlaczego?

Napier kaszlnął sucho.

- Nie planował takiej długiej rozłąki z żoną.

- Jestem egoistycznym łajdakiem, prawda, Cliff?

- Ależ skąd.

- Daruj sobie... znam ten kaszel Chopina, dostajesz go za każdym razem, gdy mówię coś głupiego. - Garamond wyobraził sobie pilota promu, spróbował go sobie wyobrazić z rodziną podobną do jego własnej, ale stwierdził, że ćwiczenie jest dziwnie trudne. - Shrapael wie, że będzie z dala od domu tylko przez rok. Dlaczego nie próbuje jak najlepiej wykorzystać tego czasu?

Napier znowu zakaszłał.

- Grupa Eva gotowa do lotu.

- Znowu nawrót gruźlicy, Cliff. Co ci wcześniej powiedziałem? - Garamond twardo spojrzał na swojego zastępcę.

Napier odetchnął głęboko, zmieniając nachylenie masywnej klatki piersiowej i ramion.

- Nie lubisz Shrapnela, a on nie lubi ciebie, i to mnie bawi... ponieważ jesteście ulepieni z jednej gliny. Na jego miejscu to ty byłbyś ponury i pełen urazy, wypatrując okazji, żeby zmienić sytuację na swoją korzyść. Nawet fizycznie jest trochę do ciebie podobny, a jednak to ty tu siedzisz i mówisz każdemu, że facet jest dziwny.

## Orbitsville

---

Garamond zmusił się do uśmiechu. Obaj dawno temu zarzucili wszelkie formalności w swoich relacjach i nie czuł się urażony przez słowa Napiera, ale uznał, że są niepokojące. Zawierały implikacje, których nie chciał analizować. Wybrał częstotliwość interkomu grupy EVA i słuchał hałaśliwych, nakładających się głosów ludzi, gdy szalupa została uszczelniona i rozpoczęła się procedura wypompowywania powietrza z doku. Narzekali w dobroduszny sposób na niewygodne skafandry kosmiczne, które zwykle wkładali tylko dwa razy w roku na ćwiczenia, albo na trudności z obsługiwaniem przyrządów i narzędzi w rękawicach, ale Garamond wiedział, że są autentycznie podekscytowani. Życie na pokładzie statku DEG-u składa się z rutyny lotu przed siebie, krótkich przerw, podczas których dalekosiężne instrumenty pozwalają ustalić, że docelowe słońca nie mają planet albo nie mają planet przyjaznych dla człowieka, i równic monotonicznych powrotów do bazy. W czasie całej służby *Bissendorfa* ludzie po raz pierwszy mieli opuścić chroniący ich kadłub i wyruszyć w obcą przestrzeń w celu nawiązania fizycznego kontaktu z czymś, co wykraczało poza dotychczasowe ludzkie doświadczenia. Dyla to wielka chwila dla małego zespołu badawczego i Garamond stwierdził, że chciałby w niej czynnie uczestniczyć.

Patrzył, jak rozsuwają się zewnętrzne drzwi doku,

\*

- Chcesz spróbować z nimi porozmawiać? – zapytał.

Patrzył, jak rozsuwają się zewnętrzne drzwi doku, od-

słaniając czerń, której nic rozpraszały gwiazdy. Oddalona o dwa tysiące kilometrów sfera nie tylko zasłaniała połowę nieba, ale stanowiła połowę nieba. Widoczny wszechświat był przecięty na dwie hemisfery - jedna z nich jaśniała mgławicami, drugą wypełniała pochłaniająca światło ciemność. Obserwatorzy nic mieli wrażenia, że są blisko ogromnego obiektu; przeważało odczucie, że wiszą nad bezdenną głębią.

Pierścienie hamujące otworzyły się i pozwoliły pomalowanej na biało szalupie wystrzelić ze statku macierzystego. Kanciasta sylwetka skurczyła się i zniknęła po paru sekundach, ale światła wewnętrzne i nawigacyjne były widoczne przez dłuższy czas, gdy szalupa leciała „w dół” od *Bissendorfa*. Garamond siedział w centrum kontroli, obserwując kilka ekranów na raz, gdy kamery przesyłały różnego rodzaju informacje. Na wysokości trzystu metrów dowódca szalupy, Kraemer, włączył potężne reflektory i na powierzchni sfery pojawiła się szarawa plama światła.

- Instrumenty wykazują zero grawitacji na powierzchni - zameldował.

- Chcecie zejść na dół? - zapytał Garamond.

- Tak, panie kapitanie. Stąd powierzchnia wygląda metalicznie, spróbuje się na łapach magnetycznych.

- Zezwalam.

Jednolita szarość rosła na ekranie, aż usłyszeli grzechot łap szalupy.

- Nic z tego - zameldował Kraemer. Tylko się odbiliśmy.

- Zawiśnięcie?

- Nie, panie kapitanie. Zamierzam powtórzyć podejście na minimalnym ciągu. To powinno unieruchomić szalupę na

powierzchni i zapewnić nam stały punkt do pracy.

- Zezwalam. Kraemer. - Garamond popatrzył na Napiera i z satysfakcją pokiwał głową. Obaj obserwowali, jak mały pojazd przybliżył się i nawiązuje kontakt z powierzchnią, utrzymywany w jednym miejscu przez odrzut z dysz.

Znowu usłyszeli głos Kraemera.

- Powierzchnia ma spory wskaźnik tarcia, bo się nie ślizgamy. Sądzę, że można bezpiecznie wyjść po próbki. Wyrażam zgodę.

Śluz szalupy otworzyła się i wypłynęły z niej postacie w skafandrach kosmicznych. Członkowie misji utworzyli niewielki rój wokół rozcapierzonych łap. Zapierając się o tabularne nogi, przystąpili do pracy z wiertłami i odczynnikami chemicznymi. Pod koniec trzydziestu minut, podczas których zespół z nożem walencyjnym mógłby wyciąć wielki jak dom blok chromowanej stali, nikomu się nie udało choćby zadrapać powierzchni. Rezultat był zgodny z przeczuciami Garamonda.

- To dla mnie coś nowego - odezwał się Harmer, chemik. - Nie możemy zrobić analizy spektroskopowej, ponieważ materiał nie chce się palić. Na tym etapie nie mogę nawet powiedzieć, czy to no pewno jest metal. Tylko tracimy tu czas.

- Przekaż Kraemerowi, żeby ich zabrał - powiedział Garamond do Napiera. - Czy oddanie strzału z głównego działła jonizującego ma jakiś sens?

- Absolutnie żadnego - odparła Denise Serra, naczelny fizyk. - Jeśli nóż walencyjny niczego nie zdziałał z odległości centymetra, to tryskanie energią stąd zupełnie mija się z celem.

Garamond pokiwał głową.

- Racja. Rozpocznijmy burzę mózgów. Zyskaliśmy nie-

co informacji, chociaż większość z nich jest negatywna, i chciałbym, żebyście się zastanowili, czy sfera jest tworem naturalnym czy sztucznym.

- Jest sztuczna - oświadczyła z miejsca Denise Serra z typową dla niej stanowczością. - Ma idealną kulistość i powierzchnia jest gładka do granic poniżej jednego mikrona. Natura nic działa w ten sposób, przynajmniej nie na skale astronomiczną. - Spojrzała wyzywająco na Yamota.

- Muszę się zgodzić - powiedział Yamoto. - Broniłem się przed tą koncepcją, ale nie mogę wymyślić żadnego naturalnego mechanizmu, który spowodowałby powstanie czegoś takiego. Co wcale nie oznacza, że rozumiem, jak jakieś inteligentne istoty mogły skonstruować sferę. Jest po prostu zbyt wielka. - Z przygnębieniem pokręcił głową. Jego wymizowana twarz świadczyła, że od dawna brakuje mu snu.

O'Hagan, naczelnny oficer naukowy, ściśle przestrzegający norm postępowania, chrząknął i odezwał się po raz pierwszy.

- Nasze kłopoty wynikają z faktu, że *Bissendorf* jest statkiem badawczym i praktycznie niczym więcej. Zgodnie z procedurą należy wysłać sygnał tachionowy na Ziemię i ściągnąć tu odpowiednio wyposażoną ekspedycję. - Jego surowe szare oczy wpatrywały się w twarz Garnmonda.

- Ta kwestia nie jest związana z tematami obecnej dyskusji - zaznaczył Napier.

Guramond pokręcił głową.

- Nie, nie masz racji. Panowie i pani, pan O'Hagan wyraził słowami coś, co musi wam chodzić po głowach od początku tej misji. Z pewnością sami bez trudu odgadliście, że wpadłem w kłopoty ze Starflight House. Ścisłej mówiąc, chodzi



o osobisty zatarg z Elizabeth Lindstrom... a chyba wszyscy wiecie, co to oznacza. Nie podam wam więcej szczegółów po prostu dlatego, że nie chcę jeszcze bardziej was mieszać w tę sprawę, Może wystarczy powiedzieć, że ta podróż jest ostatnią, którą odbywam jako dowódca Starflight, i chcę w pełni wykorzystać ten rok.

O'Hagan zrobił współczującą minę, ale nie zamierzał ustąpić.

- Z pewnością wyrażę przekonanie szefów wszystkich innych sekcji, kiedy powiem, że prywatnie jesteśmy ogromnie lojalni wobec kapitana Garamonda i że na nasze uczucia nic wpłynęły okoliczności towarzyszące rozpoczęciu tej podróży. Gdyby się okazało, że to zwyczajna, nieciekawa misja, jako pierwszy nic brałbym pod uwagę kwestionowania jej legalności... ale pozostaje faktem, że dokonaliśmy najważniejszego odkrycia od czasów Terranovej i Saganii, i czuję, że należy bez chwili zwłoki powiadomić o nim Ziemię.

- Nie zgadzam się - zaproponował chłodno Napier. - Starflight nie skierował *Bissendorfa* do tego miejsca w przestrzeni, Odkryliśmy sferę, ponieważ kapitan Garamond postanowił sprawdzić swoją osobista teorię. Przekażemy sferę Starflight jako premię, na którą nie zasłużyli, kiedy upłynie rok przewidziany na misję.

O'Hagan uśmiechnął się bez cienia humoru.

- Nadal czuję...

Napier skoczył na równe nogi.

- Co ma pan na myśli mówiąc, że czuje, O'Hagan? Nie myśli pan mózgiem jak my wszyscy? Czy to, że pan czuje, przemienia tę sprawę w coś, za co pan nie przyjmuje osobistej odpowiedzialności?

## Orbitsville

---

- Wystarczy — powiedział Garamond.

- Po prostu chcę, żeby O'Hagan liczył się ze słowami.

- Powiedziałem...

- Panowie, cofam moje uwagi. - O'Hagan przerwał Garamondowi, wbijając oczy w notes. - Nie miałem zamiaru zmieniać tematu dyskusji. Wydaje się, że wszyscy podzielamy opinię, iż afera jest tworem sztucznym... Więc w jakim celu została skonstruowana? - Uniósł głowę i powiódł wzrokiem po twarzach zgromadzonych oficerów.

Zapadła przedłużająca się cisza.

- W celach obronnych? - Okręła twarz Denise Serry odzwierciedlała jej wątpliwości. - Czy wewnątrz jest jakaś planeta?

- Być może po drugiej stronie słońca i dlatego nasze odczyty grawitacyjne niczego nie wykazały - odparł Yamoto. - Ale gdybyśmy dysponowali techniką umożliwiającą skonstruowanie takiej sfery, czy mógłby istnieć wróg dość potężny, że musielibyśmy się przed nim chować?

- Założmy, że to przystanek „Zatrzymać galaktykę, chce wysiąść”. Może budowniczowie byli pacyfistami i postanowili się schować przed resztą wszechświata. Wykonali całkiem dobrą robotę, ukrywając gwiazdę.

- Mam nadzieję, że to nie jest odpowiedź - rzekł ponuro Yamoto. - Gdyby tacy jak oni musieli się ukrywać...

- Dyskusja staje się zbyt spekulacyjna - zauważył Garamond. - Bezpośrednie pytanie praktyczne brzmi, czy sfera ma wejście? Czy możemy się dostać do środka? Nad tym się zastanówcie.

Yamoto pogładził rzadką bródkę.

- Jeśli jest wejście, powinno znajdować się na równiku,

żeby statki mogły nad nim zawisnąć po wejściu na orbitę parkingową, jak my.

- Więc sugeruje pan okrążenie sfery w płaszczyźnie równikowej?

- Tak, w kierunku przeciwnym do jej obrotu. W ten sposób wykorzystamy jej prędkość obrotu, która na równiku wynosi siedem naście tysięcy kilometrów na godzinę, i zmniejszymy nasze własne przeciążenie.

- Zatem postanowione - oznajmił Garamond. - Zawrócimy, kiedy tylko Kraemer i jego załoga znajdą się na pokładzie. Mam nadzieję, że rozpoznamy wejście, jeśli się na nie natkniemy.

Trzy wachty później spał obok Aileen, kiedy zbudził go osobisty komunikator.

- Garamond, słucham - zgłosił się cicho, żeby nie zakłócić snu żonie.

- Przepraszam, Vance, że przeszkadzam - powiedział Napier - ale chyba za parę godzin zbliżymy się do wejścia do sfery.

- Co? - Garamond usiadł, czując siły przyśpieszenia. - Skąd wiesz?

- W zasadzie nic możemy być pewni, ale to najbardziej prawdopodobne wyjaśnienie echa, które łapiemy na dalekościowym radarze.

- Jakie to echo?

- Jest ich wiele, Vance. Wprost przed nami na orbicie parkingowej unosi się flota złożona z około trzech tysięcy jednostek.

## ROZDZIAŁ 6

Statki były niewidoczne gołym okiem, lecz na ekranach detektorów *Bissendorfa* przypominały lśniący rój, liczne jak gwiazdy w gęstej mgławicy. Radar wysokiej rozdzielczości, wspomagany przez inne rodzaje aparatury wykrywającej, ujawniał, że są różnej wielkości i kształtów. Wielka i zróżnicowana armada wisiała nad jednym miejscem tajemniczej sfery.

- Mogłeś mnie uprzedzić, że nie są to statki Starflight - powiedział Garamond, siadając na fotelu w centrum kontroli, z oczami wbitymi w ekrany.

- Przepraszam, Vance... nie przyszło mi to na myśl.

- Napier podał mu kubek gorącej kawy. - Gdy tylko zobaczyłem, że nie tworzą standardowej formacji, wiedziałem,

że nie mogą być statkami Starflight. Komputery wygenerowały ich sylwetki i obliczyły szacunkową masę, ale nie zidentyfikowały żadnego statku w tym skupisku.

Drugi oficer Gunther zaśmiał cię cicho.

- Przez chwilę było tu dość nerwowo.

Garamond uśmiechnął się ze współczuciem.

- Domyślam się.

- Potem zrozumieliśmy, że patrzymy na skupisko wraków.

- Jesteś pewien?

- Nie zarejestrowaliśmy promieniowania żadnego rodzaju. To martwe statki, martwe od długiego czasu. - Napier pokręcił głową.

- Podróż okazała się pełna niespodzianek, Vance. Najpierw sama sfera, a teraz... Zawsze się zastanawiałem, dlaczego nigdy nie znaleziono sagańskich statków kosmicznych.

Podróż pełna niespodzianek, powtórzył w myśli Garamond, jego umysł próbował ogarnąć rangę tego nowego odkrycia i jednocześnie zmagał się z szokującą i niespodziewaną obecnością czegoś zbliżonego do nadziei. Uciekł z Ziemi jako mało znany dowódca skrzydłomigacza, ale teraz otworzyły się przed nim perspektywy powrotu jako najbardziej sławnego podróżnika od czasów, kiedy Laker znalazł Terranową, a Molyneaux Saganie. To na pewno znacznie utrudni Elizabeth wyrównanie rachunków. Praktycznie stałą ponad prawem, ale nawet dla prezes Starflight Incorporated istniały granice, do jakich mogła się posunąć na oczach masowej widowni telewizyjnej - i właśnie dlatego Garamond zamierzał stać się postacią publiczną. Ustawiony proces sądowy, ze świadkami gotowymi przysiąc, że śmierć Haralda była skut-

## Orbitsville

---

kiem działania w złej woli, oznaczałoby dla niego wyrok śmierci. Z drugiej strony, skupiłby na nim jeszcze większą uwagę całego świata i pozbawił Elizabeth możliwości wywarcia osobistej zemsty, z czego, jak wiadomo, nigdy nie rezygnowała. Jeśli on i jego rodzina mają umrzeć, prawdopodobnie będzie to wyglądało na wypadek. Wypadkom można zapobiegać, nawet tym najstaranniej zaplanowanym, jeśli nie bez końca, to przynajmniej przez rozsądnie długi czas. Przyszłość wciąż malowała się w czarnych barwach, ale surowa czerń w pewnym stopniu została rozproszona.

\*\*\*

Utrzymując stałą wysokość nad powierzchnią sfery, *Bissendorf* - który podchodził do ogromnej floty ze zsumowaną prędkością prawie dwustu tysięcy kilometrów na godzinę - zszedł z płaszczyzny równika. Zakreślił szerokie półkole, omijając skupisko statków, i zbliżył się do nich od przeciwnej strony, ostrożnie dostosowując prędkość, aż wszedł no mniej więcej tę samą orbitę parkingową. Podczas ostatnich etapów manewru obserwacje teleskopowe naczelnego astronoma Yamoto wykazały, że kilka statków w centrum roju połyskuje odbitym światłem. Yamoto wywnioskował, że przez otwór w powierzchni sfery wypływa snop światła i zameldował o tym Garamondowi. Niedługo później zobaczyli przez teleskop sam otwór w postaci wąskiego sierpa nikłego blasku, powoli rozszerzającego się w elipsę, gdy *Bissendorf* podpełzał coraz bliżej.

Na galerii w centrum dowodzenia wielkiego statku zebrał się tłum, gdyż wszyscy wolni od służby oficerowie znaleź-

li jakiś pretekst, żeby trzymać się w pobliżu zakrzywionego rzędu pulpitów. Czekali na pierwsze transmisje z torpedy zwiadowczej, którą wysłano w kierunku statków kosmicznych oświetlonych przez słup światła uciekającego z Gwiazdy Pengelly'ego. Atmosfera napięcia sprawiała, że wszyscy na pokładzie *Bissendorfa* dopiero teraz sobie uświadamiali, jak nudne były ich wcześniejsze włączy po galaktyce.

- Nie przywykłem do takiego podniecenia - szepnął Napier. - Mniej więcej na tym etapie podróży zwykle się zasywałem z butelką czterdziestopięcioprocentowej pocieszycielki i niemal myślę, że wtedy bardziej mi się podobało.

Bob Shaw

- Ja nie - oświadczył zdecydowanie Garamond. To zmienia postać rzeczy dla nas wszystkich.

- Wiem... żartowałem. Próbowaleś wykombinować, jakie powinno być przyzowe, jeśli się okaże, że wszystkie te statki wciąż są zdolne do lotu?

- Nie. - Garamond dopił trzeci kubek kawy i pochylił się, żeby go wrzucić do zsypu.

- No to sobie daruj - powiedział Napier i z nową nutką w głosie krzyknął: - Spójrz na to, Vance!

Z galerii napływał pomruk zaskoczenia, gdy Garamond unosił głowę, żeby spojrzeć na pierwsze obrazy przesyłane z dalekiej torpedy. Przedstawiły wielki szary statek, rozplątany wzdłuż jak patroszona ryba. W ranie widniały wnętrza, poskręcane elementy infrastruktury. Mniejsze skaleczenia, które nic przebiły kadłuba, krzyżowały się na oświetlonym przez słońce boku jajowatej jednostki.

- Coś naprawdę porządnie go trzasnęło.

- Nic tak bardzo jak następnego.

Obrazy szybko się zmieniały, gdy torpeda obserwacyjna, nieskrępowana względami wpływu przeciążenia na tkankę ludzką, pędziła w kierunku drugiego statku... który okazał się tylko połową statku. Został przecięty przez jakąś niewyobrażalną broń, rzeźbione wstęgi metalu wypłynęły z niego jak trzewia. Mniejszy statek, pod względem wielkości odpowiadający szalupie, wisiał w przestrzeni w pobliżu odsłoniętego przekroju poprzecznego, połączony kablami z jednostką macierzystą.

Po pierwszych pełnych zaskoczenia komentarzach na galerii zapadła cisza, gdy widzowie oglądali mnożące się obrazy destrukcji. Po godzinie torpeda sprawdziła wszystkie statki znajdujące się w snopie światła i spiralnie ruszyła w ciemność, żeby oświetlić inne blaskiem własnych flar. Stało się jasne, że każdy statek w wielkim roju zmarł gwałtowna, katastrofalna śmiercią. Garamond stwierdził, że statki oświetlone nikłym blaskiem flar wyglądają najbardziej strasznie - ich zerwane kadłuby, milczące, pokryte ranami wypełnionymi czarną krwią cienia, mogłyby być szczątkami organicznymi, zakonserwowanymi przez zimno przestrzeni, poskręcanyimi przez pradawne katusze.

- Właśnie odebraliśmy sygnał z telemetrii - powiedział Napier. - Usterka w obwodzie flar torpedy. Chcesz wysłać następną?

- Nie, sądzę, że na razie dosyć zobaczyliśmy. Każ zawrócić torpedę, zajrzemy przez otwór. Pan Yamoto z pewnością chciałby uzyskać jakieś dane dotyczące tamtejszego słońca. - Garamond odchylił się w fotelu i popatrzył na Napiera. - Czy nigdy cię nic zdziwiło, że jesteśmy przedstawicielami wojowniczej rasy, a nie nosimy żadnej broni?



## Orbitsville

---

- Nie ma ku temu potrzeby, Lindstromowie nie chcieli, żeby ich statki wzajemnie się niszczyły. Swoją drogą, główna wiązka jonizująca byłaby całkiem skutecznym orężem.

- Nie w tej klasie. - Garamond skinął głową w stronę ekranów widokowych. - Nie moglibyśmy nawet wycelować bez obracania całego statku.

- Myślisz, że te wraki są dowodem na prawdziwość teorii Serry co do obronnego charakteru sfery?

- Możliwe. — W głosie Garamonda pobrzmiwała zaduma. - Nie poznamy prawdy, dopóki nie zajrzemy do środka i nie zobaczymy, czy było tam coś wartego obrony.

- Dlaczego uważasz, że mielibyśmy coś tam zobaczyć?

- Dlatego. - Garamond wskazał ekran, na którym właśnie zaczęły się pojawiać nowe obrazy przesyłane z sądy. Otwór w ciemnej powierzchni sfery był kolisty i miał prawie kilometr średnicy. Wisiała w nim żółta gwiazda typu Słońca, idealnie namierzona przez przyrządy celownicze, i godne uwagi było to, że na przekór przewidywaniom wszystkich na pokładzie *Bissendorfa* przestrzeli wewnątrz sfery wcale nie była czarna. Była błękitna jak letnie niebo na Ziemi.

\*

Dwie godziny później i wbrew wszystkim regulaminom dotyczącym bezpieczeństwa dowódców Starflight, Garamond stał na czele małej ekspedycji, która weszła do sfery. Szalupa cumowała prawie na skraju otworu, utrzymywana w stałym miejscu przy powierzchni przez odrzut z dysz. Gara-

## Orbitsville

---

mond jedną ręką chwycił rozpórkę łapy, a drugą przesuwał w górę krawędzi otworu. Twarda krawędź miała tylko kilka centymetrów grubości. Napotkał gąbczasty opór, który go powiadomił o polu siłowym zamykającym otwór jak błona. Później poczuł pod palcami coś, co przypominało trawę. Wciągnął się do środka sfery i stanął.

I tam - na skraju kolistego czarnego jezioro gwiazd, w skafandrze chroniącym go przed zabójczą próżnią przestrzeni międzyplanetarnej - Garamond ujrzał zielone, bezkresne łąki Orbitsville.

## ROZDZIAŁ 7

Garamond doświadczał uczucia prawie całkowitego przemieszczeniu,

Odnosił wrażenie, że taki i niskie wzgórza ciągną się bez końca - I chociaż umysł miał odrętwiały, jego myśli zawierały element natychmiastowej akceptacji, jakby właśnie nastąpiło coś, na co czekał przez całe życie. Czuł się jak nowo

narodzony. W tej pierwszej chwili, kiedy jasne światło słońca zalewało mu oczy, zdołał spojrzeć na koliste jezioro czerni, z którego się wyłonił, i zobaczył je obcymi oczyma. Trawa - wysoka, bujna trawa rosnąca po sam skraj - połyskiwała zielenią i trudno było pogodzić się z faktem, że na dnie tego stawu są gwiazdy. Niepodobna było pojąć, że wystarczy się położyć na brzegu i popatrzeć w dół, żeby zobaczyć zatopione statki dryfujące w czarnej krystalicznej toni...

Coś się wyłaniało z jeziora. Coś białego, po omacku macającego rękami.

Garamond nagle odzyskał poczucie tożsamości, gdy rozpoznał porucznika Kraemera w skafandrze kosmicznym, prostującego się nie bez wysiłku. Przesunął się, żeby mu pomóc, i wtedy stał się świadom jeszcze jednego „nieprawdopodobieństwa” - dzięki tutejszej grawitacji miał prawie normalny ziemski ciężar ciała. Stanęli razem, opierając się jeden o drugiego jak pijani, zdumieni, oszołomieni, bezradni, ponieważ widzieli błękitne niebo tam, gdzie powinna być tylko czerń wrogiego kosmosu, ponieważ weszli przez lustro do tajemniczego ogrodu. Trawa falowała łagodnie, przypominając Garamondowi o cudzie być może największym ze wszystkich, o obecności atmosfery. Opadło go obłądne, przemożne pragnienie otworzenia hełmu i z nim walczył, kiedy jego załzawione oczy skupiły się na budynkach.

Stały w kilku miejscach wokół otworu, pradawne budowle, niskie i zrujnowane. Garamond nie spostrzegł ich od razu dlatego, że czas je odarł z wyglądu sztucznych tworów, przyoblekł strzaskane mury mchem i pnącymi się trawami. Gdy zaczął się orientować w tej nowej rzeczywistości i mózg mógł interpretować przekazywane z oczu obrazy, rozpoznał

wśród ruin szkielety czegoś, co kiedyś było wielkimi maszynami.

- Proszę tam spojrzeć - powiedział. - Co myślicie o tym, poruczniku?

Nie doczekał się odpowiedzi Kraemera. Spojrzał na swojego towarzysza, zobaczył, że jego usta bezgłośnie się poruszają za osłoną hełmu i przypomniał sobie, że przecież mogą się porozumieć przez mikrofony i głośniki przewodowe. Obaj podłączyli przewody do paneli piersiowych.

- Zdaje się, że radia w skafandrach nawaliły - powiedział lekkim tonem Kraemer i zaraz potem spadła z niego maska profesjonalnego opanowania. - To sen? Czy to sen? - Głos miał chrapliwy.

- Jeśli tak, to wszyscy w nim jesteśmy. Co sądzicie o tamtych ruinach?

Kraemer osłonił oczy i przyjrzał się budynkom, najwyraźniej widząc je po raz pierwszy.

- Przypominają mi fortyfikacje.

- Mnie też. - Umysł Garamonda wykonał intuicyjny skok. - Wejście tutaj nie zawsze było możliwe.

- Wszystkie te martwe statki?

- Powiedziałbym, że mnóstwo ludzi próbowało się przedostać przez ten otwór, a inni ludzie próbowali ich powstrzymać.

- Ale dlaczego mieliby to robić? Chodzi mi o to, że całe wnętrze sfery jest jak... - Kraemer wskazał bezkresne morze trawy. - Chryste! Jeśli całość jest właśnie taka, jest tu tyle miejsca, co na milionie kul ziemskich.

- Więcej - powiedział Garamond. - Już przeprowadziłem obliczenia. Sfera ma powierzchnie sześćset dwadzieścia

pięć milionów razy większą niż całkowita powierzchnia Ziemi. Jeśli uwzględnimy, że tylko jedna czwarta powierzchni Ziemi jest lądem i może tylko połowa tego lądu nadaje się do zamieszkania, to będzie oznaczać, że sfera jest odpowiednikiem pięciu miliardów kul ziemskich.

- Czyli po jednej na każdego istniejącego mężczyznę, kobietę i dziecko.

Pod jednym warunkiem.

- Jakim?

- Że tutejsze powietrze jest dla nas zdatne do oddychania.

- Zaraz się tego dowiemy.

Garamond doznał chwilowego zawrotu głowy. Kiedy się zabawiał porównywaniem wielkości Ziemi i sfery, traktował to jako czysto matematyczne ćwiczenie i skupiał umysł wyłącznie na liczbach, ale Kraemer go wyprzedził, jeśli chodzi o ludzi naprawdę zamieszkujących w sferze, przybywających do otworu flotą wysłaną z zatłoczonej i zniszczonej Ziemi, rozprzestrzeniających się po tych preriach, które zdawały się ciągnąć bez końca. Próba dostosowania tej wizji do jego spekulacji o pochodzeniu i celu sfery zaowocowała niemal fizycznym bólem za oczami. I nałożona na wszystkie jego skłębione myśli, ważniejsza od wszystkich innych względów, w bólach rodziła się nowa koncepcja jego osobistego statusu. Jeśli on, Vance Garamond, podaruje ludzkości miliard kul ziemskich... wtedy on, a nie Elizabeth Ministrom, będzie najważniejszą żyjącą istotą ludzką... wtedy jego żona i syn będą bezpieczni.

- W szalupie jest analizator - powiedział Kraemer. -Ja mam po niego pójść?

- Oczywiście. - Garamond, zaskoczony pytaniem po-

rucznika, po chwili w przebłysku przenikliwości zrozumiał, że wystarczył kilkuminutowy kontakt z bezgranicznym *lebensraum* sfery, żeby zmienić relacje, które stanowiły element zintegrowanego, zamkniętego społeczeństwa Dwóch Światów. Kraemer tuk naprawdę nie miał ochoty opuszczać tego tajemniczego ogrodu, nie chciał schodzić w głąb kolistego czarnego jeziora i - jako potencjalny właściciel superkontynentu - nic widział powodu, żeby zamiast niego nie poszedł on, Garamond. Tak szybko, pomyślał Garamond. Wszyscy tak szybko się zmienimy.

- Gdy pójdziecie po zestaw, proszę przekazać nowiny pozostałym. Wszyscy będą chcieli zobaczyć to na własne oczy — powiedział.

- Dobra. - Kraemer sprawiał wrażenie zadowolonego, że jako pierwszy przekaze innym najbardziej sensacyjną historię wszechczasów. Podszedł do skraju otworu, położył się i opuścił głowę w czerń, z wyraźnym wysiłkiem przebijając hełmem pole membrany, która zapobiegała ucieczce atmosfery. Przekręcając się na boki w próbie złapania nogi szalupy, w końcu wysliznął się w ciemność. Garamonda znowu ogarnęło wrażenie przemieszczenia. Fakt, że miał ciężar, że na pozór naturalna siła grawitacji ciągnęła go „w dół” ku porośniętej trawa glebie, stwarzała iluzję, że stoi na powierzchni planety. Jego instynkt buntował się przeciwko pomysłowi, że stoi na cienkiej skorupie z nieznanego metalu, że pod nim rozciąga się wroga próżnia kosmosu, że szalupa wisi tuż pod jego stopami, odwrócona, przywierając do sfery dzięki sile swojego napędu.

Garamond odszedł kawałek od otworu, zszokowany niedorzecznością ciężkiego skafandra kosmicznego, który odcinał go od tego, co z pewnością musiało być jego naturalnym

środowiskiem. Ukłękł, żeby z bliska przyjrzeć się trawie. Rosło gęsto, mieszanina gatunków, które dla Jego niedoświadczanego oku miały żdźbła i blaszki liściowe bardzo podobne tło tych no Ziemi. Rozchylił trawę, wcisnął palce w splątane korzenie i wygarnął garść brązowej gleby. Drobinę przywarły do materiału rękawic, tworząc wilgotne smugi. Garamond spojrział w górę i po raz pierwszy zauważył koronkowe białe pasma chmur. Z małym słońcem stojącym wprost nad głową trudno było przyglądać się niebu, ale pomyślał, że za chmurami dostrzega wąskie pręgi jaśniejszego błękitu, tworzące delikatny żeberkowy wzór zakrzywiający się od horyzontu do horyzontu. Zanotował w myśli, żeby powiadomić o tym naczelnego oficera naukowego O'Hagana i zlecić mu badanie, po czym zwrócił uwagę z powrotem na glebę. Kopiając płytko, dotarł do wszechobecnego szarego metalu powłoki o gładkiej, nienaruszonej przez wilgoć powierzchni. Przyłożył do niej rękę i spróbował sobie wyobrazić budowę sfery, jednolitej sfery metalu o obwodzie miliarda kilometrów.

*Może być tylko Jedno źródło takiej niepojętej ilości materiału, i było nim samo słońce. Materia jest energią, a energia jest materią. Każda aktywna gwiazda wyrzuca codziennie to przestrzeń, w postaci światła i innych rodzajów promieniowania, równoważnik milionów ton swojej materii. W przypadku Gwiazdy Pengelly 'ego ktoś ustanowił granicę, odbijając w sposób energię, manipulując nią, modyfikując i przemieniając ją w materię. Precyzyjnie sterując elementarnymi siłami wszechświata, stworzył nieprzepuszczalną powłokę z dokładnie takiej materii, z jakiej chciał: twardszej niż diament, niezmiennej, wiecznej. Gdy sfera została ukończona i zyskała odpowiednią grubość, budowniczo wie znowu zanurzyli ręce w źródle energii i*

## Orbitsville

---

*wykreowali nowe cuda: pokryli jej wnętrze glebą, wodą i powietrzem. Kwasy organiczne, nawet całe komórki i nasiona, wszystko zostało stworzone w ten sam sposób, gdyż w rzeczywistości nie ma różnicy między źdźbłem trawy a ostrzem noża...*

- Powietrze jest zdatne, panie kapitanie. - Z tyłu dobiegł głos Kraemera.

Garamond wstał, odwrócił się i zobaczył, że porucznik podniósł osłonę.

- Jakie są odczyty?

- Nieco mniejsza zawartość tlenu, ale wszystko inne jest mniej więcej w porządku. - Kraemer uśmiechał się od ucha do ucha jak uczeń. - Powinien pan spróbować.

- Spróbuję. - Garamond otworzył hełm i odetchnął głęboko. Powietrze było miękkie, gęste i czyste. W tej chwili odkrył, że nigdy wcześniej nie poznał smaku naprawdę świeżego powietrza. Od strony otworu napłynęły stłumione krzyki, gdy do sfery weszły kolejne postacie w skafandrach kosmicznych.

- Powiedziałem im, że mogą tu przyjść - powiadomił go Kraemer. - Zjawią się wszyscy z Wyjątkiem Braunka, który siedzi za sterami. Nie zrobiłem nic złego, prawda?

- Nie, w porządku. Ustalimy system rotacyjny, żeby każdy na statku mógł się tu rozejrzeć, zanim wrócimy. - Garamond znowu wyczuł różnicę w postawie Kraemera; przed zobaczeniem wnętrza sfery porucznik nie zezwoliłby innym na opuszczenie szalupy bez zapytania go o pozwolenie.

- Zanim wrócimy? Przecież gdy tylko powiadomimy Ziemię, wszystkie statki kosmiczne ruszą w tę stronę. Dlaczego wracać?

- Nie ma powodu, jak sadzę. - Garamond pomyślał o



niechęci Aileen do oddalania się na więcej niż parę kilometrów od ich mieszkania. Miał zamiar jak najszybciej odwiedzić ją z powrotem do dawnego znajomego otoczenia, ale może nie będzie takiej potrzeby. Wewnętrzna powierzchnia sfery wydawała się bezkresna jak płaszczyzna geometryczna, a jednak przebywanie no niej nie powodowało agorafobii. Linia wzroku nie biegła w górę od wygiętej w dół krzywizny, jak na planecie, i jednolita gęstość powietrza ustanawiała granice zasięgu wzroku człowieka. Garamond przyjrzał się linii horyzontu. Zakrzywiła się lekko w górę, w przeciwieństwie do ziemskiej, ale nie wydawała się zbyt odległa. Nic miał wrażenia, że spogląda w bezkres.

Kraemer wsunął czubek buta w niewielką dziurę, którą zrobił Garamond, i postukał w metal na jej dnie.

- Znalazł pan coś?
- Na przykład?
- Obwody. Do wytwarzania sztucznej grawitacji.
- Nie. Nie sądzę, że znajdziemy jakieś obwody w naszym rozumieniu.
- Zatem co?
- Atomy ze zreorganizowanym wnętrzem albo specjalnie zaprojektowane do tego zadania. Maszyny idealne.
- To brzmi niewiarygodnie.
- Sami zrobiliśmy pierwszy krok w tym kierunku z naszymi silnikami rezonansu magnetycznego. Poza tym, czy coś może być bardziej niewiarygodne niż to wszystko? - Jakiś odruch kazał Garamondowi zagarnąć glebę z powrotem do dołka i przyklepać ją stopą, żeby naprawić szkody, jakie uczynił w trawiastej powierzchni. W pobliżu otworu warstwa gleby była cienka, ale w dali wznosiły się wzgórza, które wyglądały tak,

jakby powstały wskutek nawiania.

- Gdy tylko ludzie otrząsną się z szoku, niech pobiorą próbki roślin i gleby - polecił.

- Już to zrobiłem - odparł Kraemer beztrąsko. - Nawiasem mówiąc, żadne radio w skafandrze nic działa, chociaż moje było w porządku, kiedy wyszedłem na zewnątrz.

- Z pewnością to skutek tłumienia. Kolejna sprawa do zbadania przez O'Hagana, kiedy się tu zjawi. Rzućmy okiem na te ruiny.

Podeszli do najbliższego z niewyraźnie zarysowanych kopców. Ukryte pod kocem trawy resztki budowli sugerowały rozplanowanie masywnych murów i prostokątnych pomieszczeń. Gdzieś tam, blisko czarnego jeziora gwiazd, leżały zniekształcone metalowe kikuty, które kiedyś były częściami maszyn. Przypominały zastygły potok lawy, jak gdyby maszyny uległy zniszczeniu wskutek oddziaływania wysokich temperatur.

Kraemer zagwizdał cicho.

- Jak pan sądzi, kto wygrał? Ludzie, którzy próbowali się tu dostać, czy ci, którzy próbowali ich zatrzymać?

- Powiedziałbym, że wygrali najeźdźcy, poruczniku. Myślałem o tych wszystkich martwych statkach, które tu zostały. Nie zajmują pozycji bojowych, ponieważ gdyby nawet podczas walki się nie przemieszczały, użyte przeciwko nim siły wprawiłyby je w dryf i nic byśmy nie znaleźli. Wygląda to tak, jakby zostały tu sprowadzone i starannie zaparkowane tuż nad otworem.

- Dlaczego?

- Może po to, żeby je złupić. Być może wewnątrz sfery nie ma dostępnych metali.

## Orbitsville

---

- Do przekucia na lemieszce? To dobre tereny rolnicze, juk najbardziej, nie gdzie są rolnicy?

- Może są nomadami? Może nie muszą uprawiać roli. Może po prostu wiecznie przenoszą się z miejsca na miejsce, zgodnie z porami roku, zbierając zboża dojrzewające tuż przed nimi.

Kraemer się roześmiał.

- Jakimi porami roku? Tu zawsze musi być lato... I samo południe. Nie może się ściemniać, gdy słońce wisi prosto nad głową.

- Ale się ściemnia, poruczniku. - Garamond mówił spokojnie, bo już nie nic mogło go zaskoczyć. - Proszę spojrzeć tam.

Wskazał na linię horyzontu za czarną elipsą otworu, gdzie odcień rozmigotanych błękitnych zieleni dali zaczynał się pogłębiać. Cień sunął w ich stronę, nie pozostawiając żadnych wątpliwości.

- To niemożliwe — zaprotestował Kraemer. Spojrzał na słońce. - No nie!

Garamond zadarł głowę i zobaczył, że słońce już nie jest okrągłe. Miało jedną prostą stronę, jak złom moneta, z której ktoś odciął spory kawałek. Krzyki innych ludzi wskazywały, że też zauważyli zjawisko. Na ich oczach wciąż jasna część tarczy słońca stawała się coraz mniejsza, jak gdyby znikła za przesłoną, Jednocześnie ciemność się pogłębiała i objawił się nowy fenomen. Delikatnie żeberkowanie, które Garamond wcześniej zauważył na niebie, stało się wyraźniejsze, naprzemienne pasmo jaśniejszego i ciemniejszego błękitu żywo się wyróżniały. W ciągu kilku minut smukła krzywizna żeber stała się cechą dominującą na sklepieniu niebieskim, ostro

## Orbitsville

---

wyrysowana jak warstwy wypolerowanego agatu. Blisko horyzontu, opadając za bardziej gęste warstwy powietrza, pasma się rozmywały i znikwały w pryzmatycznej mgiełce. Gdy zgasły ostatnie promienie słońca, Garamond ujrzał ścianę cienia sunącą w jego kierunku z orbitalną prędkością, a później zapadła noc pod baldachimem warstwowanego szafiru.

Garamond przez godzinę stał nad jeziorem gwiazd, zanim wrócił na swój statek i wysłał sygnał tachioniczny do Starflight.

---

## ROZDZIAŁ 8

Niemal dokładnie cztery miesiące później okręt flagowy Elizabeth Lindstrom zajął pozycję na zewnątrz wejścia do sfery.

\*

Garamond część tego czasu spędził na badaniu Orbitsville - nazwę wymyślił jakiś członek załogi - ale, jako że *Bissendorf* był wyekwipowany do misji typu lokalizuj i melduj, nic miał dużego zespołu naukowego i zakres badań był z konieczności ograniczony. Sekcja astronomiczna pod kierunkiem Summy'ego Yamoto dokonała najważniejszego odkrycia ze wszystkich - okazało się, że Gwiazdę Pengelly'ego otacza druga sfera.

Oczywiście była mniejsza niż Orbitsville i w przeciwieństwie do jego powłoki niematerialna, a jednak zdolna do odbijania albo odchylania potoku światła i ciepła słońcu. Yamoto opisał ją jako „globularny filigran pól siłowych” i najwyraźniej był ogromnie dumny z tego określenia, bo bardzo często go używał w swoich raportach. Dokładnie połowę powierzchni wewnętrznej sfery tworzyły wąskie pasy. nieprzejrzyste, zakrzywiając się generalnie w kierunku północ-południe. Ich funkcja polegała na rzucaniu pasów cienia na trawiste równiny Orbitsville, co powodowało występowanie naprzemiennych okresów światła i ciemności, dni i nocy, bez których życie roślinne nie mogłoby przetrwać, Yamoto nie mógł przeprowadzić bezpośrednich obserwacji tej we-

## Orbitsville

---

wewnętrznej sfery, ale zdołał zobrazować jej strukturę przez studiowanie pasm światła i ciemności, gdy wędrowały po „nocnym” niebie po drugiej stronie Orbitsville, trzystu dwadzieścia milionów kilometrów dalej. Był w stanie wykazać, że mniejsza sfera jest odpowiedzialna nie tylko za istnienie dni i nocy, ale również za następstwo pór roku. W jednej czwartej sfery, odpowiadającej zimie, nieprzejrzyste nocne pasy były szersze, rozdzielone przez odpowiednio węższe łuki światła, a po przeciwnej stronie proporcje się odwracały, szerokość pasów była mniejsza, co powodowało skracanie nocy i wydłużanie dni w czasie lata.

Żeby ułatwić pracę Yumoto, w warsztatach *Bissendorfa* wyprodukowano prefabrykaty, które przeniesiono do wnętrza Orbitsville i zbudowano z nich obserwatorium astronomiczne. Kiedy inne sekcje znalazły powody, żeby prowadzić badania wewnątrz sfery, postawiono kilka kolejnych budynków i tak oto powstał załazek kolonii naukowej.

Znaczna część wysiłków wkładano w próbę rozwiązania zagadki, dlaczego wewnątrz sfery nie działa żaden komunikator radiowy. Z początku przewidywano, że zostanie znalezione proste i praktyczne rozwiązanie, lecz minęły tygodnie, a nie poczyniono żadnych postępów. Wydawało się, że promieniowanie elektromagnetyczne w niewytłumaczalny sposób jest tłumione przez równie niewytłumaczalne sztuczne pole grawitacyjne. W próbie zdobycia nowych danych o możliwej mechanice fenomenu, zespół O'Hagana postanowił wykorzystać torpedę fotograficzną i zwiększył ciąg, żeby jej umożliwić oderwanie się od wewnętrznej powierzchni Orbitsville. Celem eksperymentu było zmierzenie gradientu grawitacji i sprawdzenie, czy radiowe systemy naprowadzania i telemetrii będą

## Orbitsville

---

działać, Jeśli sygnały będą płynąć pod kątem prostym względem powierzchni. Po nieskazitelnym zaprogramowanym starcie torpeda zaczęła kreślić przypadkowe wzory po niebie I wykonała zaprogramowane automatyczne lądowanie kilka kilometrów od otworu. Pesymiści zaczęli przepowiadać, że w Orbitsville jest możliwa tylko łączność daleka przez modulację promieni światła.

Kolejnym odkryciem było to, że całkowicie obojętna i niewiarygodnie twarda powłoka sfery jest nieprzenikalna dla całego spektrum promieniowania z wyjątkiem fal grawitacyjnych. Te ostatnie musiały przenikać, w przeciwnym wypadku zewnętrzna planeta układu gwiazdowego uciekałaby w przestrzeń międzygwiazdową, ale nawet cząstki o największej energii nie wpadały z kosmosu do Orbitsville inną drogą, jak tylko przez otwór. Pewne szczególne cechy w pomiarach poziomów promieniowania z samej Gwiazdy Pengelly'ego sprawiły, że O'Hagan przekazał Garamondowi poufny raport, w którym sugerował, że skrzydłomigacze nic będą mogły latać wewnątrz sfery z powodu braku masy reakcyjnej. Ta kwestia miała zostać zbadana priorytetowo przez w pełni wyposażone zespoły, które przybędą z Ziemi.

Garamond otrzymywał coraz więcej próśb od załogi, zwłaszcza od ludzi bezczynnych w czasie, kiedy nie używano głównego napędu, o pozwolenie na przeniesienie się do Orbitsville i zamieszkanie w namiotach. Z początku popierał ten pomysł, ale Napier go poinformował, że pozostały personel zaczyna zazdrościć swoim zrelaksowanym i opalonym kolegom, którzy z oczami wyrażającymi nowy rodzaj zadowolenia i pewności wracali do obowiązków na statku, Częściowo po to, żeby usunąć przyczynę podziałów, Garamond zabrał *Bissen-*

*dorfa* na lot w płaszczyźnie równikowej Orbitsville i podczas tego rekonesansu stwierdził, że nie ma żadnych innych widocznych wejść do sfery.

Wysłał również zespoły do pracy nad przesunięciem chmury martwych statków na pozycję oddaloną o tysiąc kilometrów w dół orbity od otworu. Gdy wraki zostały przemieszczone, ekipy fotograficzne weszły do tyłu z nich, do ilu mogły, i zarejestrowały swoje znaleziska. Zdjęcia potwierdziły pierwsze podejrzenie Garamonda, że wraki wykorzystywano jako kopalnie materiałów. Wnętrza zostały wypatroszone, огоłocone do nagiego metalu kadłubów, a niektórych przypadkach to, co z początku uważano za zniszczenia spowodowane podczas bitwy, okazało się w rzeczywistości dzieleni szabrowników. W konsekwencji nie znaleziono dosłownie niczego, co pozwoliłoby badaczom określić wygląd obcych, którzy zbudowali tę potężną flotę. Najbardziej znaczącym znaleziskiem był fragment metalowych schodów z poręczą, sugerujący, że obcy byli istotami dwunożnymi mniej więcej wielkości ludzi.

Gdzie są teraz?

Pytanie zapoczątkowało więcej dyskusji niż spekulowanie nad miejscem pobytu istot, które stworzyły Orbitsville. Było zrozumiałe, że budowniczowie sfery dysponowali techniką zupełnie innego rzędu niż rasa, która wyprodukowała tamte statki. Przeważało intuicyjne przekonanie, że budowniczowie sfery pozostaną nieznanymi, że wyruszyli na poszukiwanie nowych przygód albo nowych faz swojej egzystencji, ponieważ gdyby przebywali w pobliżu, ich obecność niewątpliwie dałaby się odczuć. Orbitsville wydawało się darem od galaktycznej przeszłości i jako takie zostało przyjęte.



## Orbitsville

---

Garamond zabrał Aileen i Christophera do sfery przez świeżo skonstruowany port wejściowy w kształcie litery L i razem rozpoczęli dziwnie spokojne wakacje. Zgodnie z jego przewidywaniami Aileen przystosowała się do zakrzywionej w górę linii horyzontu Orbitsville bez żadnych przykrych następstw natury psychicznej, a Chris zareagował jak źrebak wypuszczony luzem na wiosenne pastwiska. Garamond w dzień patrzył, jak skóra chłopca nabiera złocistej barwy tego nowo odkrytego słońca, a w nocy siedział z Aileen pod baśniowym lukiem nieba, i ich zadowolenie było tym większe z powodu okresu rozpaczy, który je poprzedzał.

Tylko w marzeniach albo w półświecie pomiędzy jawą i snem Garamond odczuwał niepokój na myśl o Elizabeth pędzącej przez lata świetlne, które leżały pomiędzy Orbitsville i Ziemią.

Patrząc gołym okiem, można by odnieść wrażenie, że jej okręt flagowy przybył sam, ale w rzeczywistości leciał na czele floty złożonej z siedemdziesięciu statków. Pojazd międzygwiazdny na głównym napędzie otaczało pole elektromagnetyczne, ogromna niematerialna paszcza o powierzchni do pół miliona kilometrów kwadratowych, i z tego powodu nawet w najbardziej zwartej formacji statki latały w odległości tysiąca kilometrów jeden od drugiego. Flota była niezdatna nawet według standardów Starflight. Dwa dni upłynęły na dopasowywaniu jej prędkości do dryfu galaktycznego Gwiazdy Pengelly'cgo i na rozlokowywaniu jednostek na orbicie parkingowej.

Kiedy wszystkie statki zajęły właściwe pozycje i zwinęły skrzydła elektromagnetyczne, okręt flagowy - „Starflir II” - powoli podszedł na napędzie do jonowym do Bissandorfa.

## Orbitsville

---

Kapitan Vance Garamond otrzymał formalne zaproszenie na pokład.

Sam akt wkładania czarno-srebrnego munduru galowego, po raz pierwszy od rozpoczęcia misji, sprawił, że Garamond zrozumiał, iż znowu się znalazł w sferze wpływów Elizabeth. Nie odczuwał strachu - Orbitsville miało zbyt wielki wpływ na sytuację - a jednak przepełniał go niejasny niesmak za każdym razem, gdy myślał o czekającej go rozmowie. Od trzech miesięcy był pewien, że znaczeniu Elizabeth zostało zmniejszone do normalnych ludzkich rozmiarów, ale jej przybycie na czele armady sugerowało, że dawny porządek nadal jest rzeczywistością. Dla niej, jedyna rzeczywistością.

Aileen również była zaniepokojona widokiem jego munduru galowego. Gdy otworzyły się drzwi pokładu tranzytowego i mała łódka wypłynęła na czarny ocean kosmosu, Garamond przypomniał sobie, jak żona go pocałowała, zanim ja zostawił. Była roztargniona, niemal oziębła, i szybko się odwróciła. Mogło się wydawać, że tłumi wszystkie emocje, ale gdy spojrział na nią przed wyjściem, przytuliła do policzka ich złotego ślimaka. Przez całą krótką podróż stał za fotelem pilota, patrząc, jak okręt flagowy rośnie, aż wypełnił przednie ekrany. Kiedy zakończono manewr dokowania, z rezerwą, ale pewnym krokiem wszedł na pokład tranzytowy, gdzie czekała grupa wyższych oficerów Starflight. Za nimi dostrzegł wielu ludzi w cywilnych ubraniach, wyposażonych w kamery. Z minimalnym ceremoniałem odeskortowano go do apartamentów prezes i wprowadzono do głównej prywatnej kabiny. Elizabeth musiała wydać ściśle instrukcje, ponieważ jego eskorta wycofała się natychmiast i bez słowa.

Prezes stała plecami do drzwi. Miała długu dopasowa-

na suknię z białego atlasu - jej ulubiony styl ubioru -i trzy białe spaniele unosiły się sennie w powietrzu w pobliżu jej stóp. Garamond był zszokowany, gdy zobaczył, że Elizabeth prawie nie ma włosów. Rzedniejące czarne kępkę przywierające do czaszki sprawiały, że wyglądała na starą i schorowaną. Stała plecami do niego, chociaż musiała wiedzieć o jego obecności.

- Pani... - Garamond szurnął magnetycznymi podszwami po podłodze i prezes powoli się odwróciła. Skóra jej twarzy o cofniętym podbródku była blada i lśniąca.

- Dlaczego pan to zrobił? - zapytała cicho. - Dlaczego pan uciekł ode mnie?

- Pani... - Garamondowi, nieprzygotowanemu na takie bezpośrednie pytanie, zabrakło słów.

- Dlaczego pan się mnie bał?

- Spanikowałem. To, co spotkało pani syna, było czystym wypadkiem... spadł, kiedy mnie nie było w pobliżu... ale wpadłem w panikę. I uciekłem. - Garamondowi przyszło na myśl, że Elizabeth może mieć poważne powody polityczne i taktyczne, decydując się przyjąć go jako matka, która straciła dziecko, a nie jako cesarzowa w niebezpieczeństwie detronizacji, to jednak nie zmniejszyło jej przewagi.

Niewiarygodne, Elizabeth wykrzywiła usta w asymetrycznym, domyślnym uśmiechu.

- Uznał pan, że nie zrozumie i mogę pana zaatakować.

- Byłaby to naturalna reakcja.

- Nie powinien pan się mnie obawiać, kapitanie.

- Ja... cieszę się. - Fantastycznie, pomyślał Garamond.

Ona nie wierzy w ani jedno swoje słowo. Ja nie wierzę w ani jedno jej słowo. Więc dlaczego prowadzi tę grę?

## Orbitsville

---

- ... cierpiałam i pan cierpiał - mówiła Elizabeth. Sadzę, że nigdy się nie uwolnimy od cierpienia, ale chce. żeby pan wiedział, iż nie żywię do pana urazy. - Podeszła do niego, wciąż uśmiechnięta, i atlasowy brzuch musnął kostki jego palców. Przyszły mu na myśl pająki.

- Nie potrafię wyrazić, jak bardzo mi przykro, że doszło do tego wypadku.

- Wiem. - Głos Elizabeth brzmiał łagodnie, ale nagle pokój wypełnił się jej słodkim, gęstym odorem.

Garmnond wiedział, że kobieta chce go zabić, że taka myśl zaświtała jej głowie, choć tylko przez chwilę.

- Pani, jeśli to dla ciebie za wiele...

Jej rysy natychmiast stwardniały.

- Dlaczego pan tak sądzi?

- Już nic.

- W takim razie dobrze. Mamy ważne sprawy do omówienia, kapitanie. Czy pan wie, że zarząd za moją zgodą ustalił dla pana zapłatę w wysokości dziesięciu milionów monitów?

Garamond pokręcił głową.

- Dziesięciu milionów?

- Tak. Czy to dla pana duża suma pieniędzy?

- Mam wrażenie, że to więcej pieniędzy, niż istnieje.

Elizabeth się zaśmiała i odwróciła od niego, wyrывая spaniele z ich drzemki w powietrzu.

- Ależ skąd, kapitanie. To drobiazg! Oczywiście, zostanie pan nominowany do rady, która powołałam do doradzania w sprawach rozwoju i eksploatacji Lindstromlandu i pańska pensja z tego tytułu będzie wynosić dwa miliony monitów rocznie. Następnie... - Elizabeth urwała. - O co chodzi, kapitanie? Wygląda pan na zaskoczonego.

## Orbitsville

---

- Bo jestem.

- Wysokością pańskiej pensji? Czy faktem, że sfera została oficjalnie nazwana od nazwiska mojej rodziny?

- Nazwa sfery nie jest ważna - wycedził lodowato Garamond, zbyt zaniepokojony tym, co powiedziała Elizabeth, żeby myśleć o okazywaniu odpowiedniego stopnia szacunku. - Ważne jest to, że sfera nie może być kontrolowana ani eksploatowana. Ujęła to pani w ten sposób, jakby planowała rozparcelować ziemię i sprzedawać ją tuk sumo, jak działki na Teerranovej.

Nie sprzedajemy działek na Terranovej, są rozdawane za darmo przez kontrolowane przez rząd agencje.

- Każdemu, kto może zapłacić Starflight za przewóz. Na jedno wychodzi.

- Doprawdy? - Elizabeth przyjrzała mu się spod przymrużonych powiek. - Jest pan ekspertem w tej dziedzinie. prawda?

- Nie muszę być. Fakt jest łatwo zrozumiały. - Garamond czuł, że pędzi ku niebezpiecznej przepaści, ale nie miał zamiaru się cofnąć.

- W takim razie będzie pan doskonałym członkiem rody, bo wszyscy inni uważają operacje Starflight za wyjątkowo skomplikowaną.

- W praktyce - powiedział Garamond uparcie. - Ale nie w zasadzie.

Elizabeth po raz drugi w czasie rozmowy obdarzyła go swoim niespodziewanym uśmiechem.

- Zatem w zasadzie, dlaczego Lindstromland nic może się rozwijać w normalny sposób?

- Z tego samego powodu, z jakiego sprzedawcy wody

## Orbitsville

---

mogą zarabiać tylko no pustyni.

- Chodzi panu o to, że tam, gdzie jest mnóstwo dostępnej za darmo wody, nikt za nią nie zapłaci.

- Nie wątpię, że brzmi to dla pani dziecinnie, ale właśnie o to mi chodzi.

- Jestem zaintrygowana pańskim procesom myślowym, kapitanie. - Elizabeth nie zamierzała okazać, że rozgniewała ją jego postawa. - Jak może pan porównywać sprzedawanie wody do otwierania nowego świata?

Garamond parsknął śmiechem.

- Pani procesy myślowe są intrygujące, jeśli porównuje pani Orbitsville do zwyczajnej planety.

- Orbitsville?

- Lindstromland. To nie jest zwyczajna planeta.

- Jestem świadoma różnicy wielkości.

- Wątpię.

Elizabeth zaczęła tracić cierpliwość.

- Niech pan uważa, co pan mówi, kapitanie.

- Z całym szacunkiem, nic jest pani świadoma różnicy w wielkości. Nikt nic jest i nikt nigdy nie będzie. Ja nie jestem tego świadom, chociaż okrążyłem Orbitsville.

- Z pewnością fakt, że był pan zdolny do...

- Podróżowałem z prędkością stu tysięcy kilometrów na godzinę - powiedział spokojnie Garamond. - Przy tej prędkości mógłbym oblecieć Ziemię w dwadzieścia pięć minut. Czy pani wic, jak długo trwało okrążenie Orbitsville? Czterdzieści dwa dni!

- Przyznaję, że mamy do czynienia z nowym porządkiem wielkości.

- I to tylko porównywanie linearne. Czy pani nie rozu-

## Orbitsville

---

mie, że po prostu nic ma możliwości, żeby mogła pani zarządzać całością wchodzącej w grę przestrzeni do życia?

Elizabeth wyruszyła ramionami.

- Już panu mówiłam, że Starflight nie zajmuje się podziałem ziemi, więc nas nie interesuje dokładna powierzchnia Lindstromlandu. Oczywiście nadal będziemy czerpać zyski z naszych usług transportowych.

- Właśnie o to chodzi - rzucił Garamond ze złością. - Nawet gdyby nie była to zamaskowana zapłata za *ziemię*, należność za przewóz powinna zostać zniesiona.

- Dlaczego?

- Ponieważ teraz mamy do dyspozycji tereny większe niż zdołamy wykorzystać. W tych okolicznościach jest nic do przyjęcia, żeby jakiegokolwiek względy ekonomiczne hamowały naturalny i instynktowny napływ ludzi do nowego kraju.

- Kto jak kto, ale pan powinien wiedzieć, że nie ma niczego naturalnego ani instynktownego w budowaniu i eksploatacji skrzydłomigaczy. - Na woskowych policzkach Elizabeth zagościł nieczęsty rumieniec. - Nie można tego dokonać bez pieniędzy.

Garamond pokręcił głową.

- Nic można tego dokonać bez ludzi. Kultura, która nigdy nic rozwinięła koncepcji pieniędzy czy własności, mogłaby podróżować w kosmosie równie sprawnie jak my.

- Nareszcie! - Elizabeth zrobiła dwa szybkie kroki w jego stronę i stanęła, kołysząc się w magnetycznych butach. - Nareszcie pana rozgryzłam, kapitanie. Jeśli pieniądze są dla pana wstrętne, zakładam, że odmawia pan zajęcia miejsca w radzie rozwoju?

- Tak.

## Orbitsville

---

- A nagroda? Dziesięć milionów monetów wyjętych z kieszeni ludzi Dwóch Światów. Czy tego też pan odmawia?

- Też odmawiam.

- Za późno - warknęła Elizabeth, rozkoszując się triumfem, który tylko ona rozumiała. - Już zostały przelane na pańskie konto.

- Zwrócę je pani.

Elizabeth zdecydowanie pokręciła głową.

- Nie, kapitanie. Jest pan bardzo sławnym człowiekiem w Dwóch Światach... i muszę dopilnować, żeby dostał pan wszystko, na co zasłużył. A teraz proszę wracać na swój statek.

W drodze powrotnej na *Bissendorfa* Garamond rozmyślał o zasugerowanym wyznaniu prezes, że stał się zbyt ważny, żeby się go pozbyć jak każdego innego człowieka. A jednak nie mógł się pozbyć niepokoju, gdy wspominał ten wyraz satysfakcji w jej oczach.



### ROZDZIAŁ 9

Nowy dom przydzielony Garamondowi. prostokątny i parterowy, był jednym z kilkudziesięciu, które zmontowano z plastikowych płyt wyprodukowanych w warsztacie na pokładzie jednego ze statków Elizabeth.

Kompaktowa konstrukcja stała niespełna dwa kilometry od otworu do zewnętrznego wszechświata, w miejscu, gdzie pokrywa gleby była jeszcze cienka, więc unieruchamiały ją przyssawki przywierające do metalowej powłoki. Po kilku dniach mieszkania Garamond stwierdził, że przestaje pamiętać o twardej pustce kosmosu zaczynającej się tylko parę centymetrów poniżej podłogi salonu. Meble były skromne, ale wygodne, a dzięki kolorowym projektorom i urządzeniom służącym rozrywce - i elektronicznemu nauczycielowi dla Christophera - panowała w niej atmosfera luksusowego domu weekendowego.

## Orbitsville

---

Była tam funkcjonalna kuchnia zaopatrywana w zapasy z magazynów na pokładzie statku, ale przewidywano, że w ciągu roku koloniści staną się samowystarczalni pod względem żywności. Lato zbliżało się do końca w tej części Orbitsville i jadalne trawy dojrzewały, zmieniając kolor na płowy. Przed rozpoczęciem systematycznej uprawy roli do produkcji zbóż, mogli w pełni wykorzystywać trawę - część syntetycznie przetrawioną w celu pozyskania białka, a resztę przeznaczaną do produkcji celulozy, będącej z kolei surowcem do wyrobu szerokiej gamy tworzyw octanowych.

Formalnie rzecz biorąc Garamond wciąż dowodził *Bisendorferem*, ale wiele czasu spędzał w domu, wmawiając sobie, że pomaga rodzinie zapaść korzenie. W rzeczywistości próbował sobie poradzić z poczuciem, że sam został odcięty od swoich i dryfuje. Wykształcił mu się nawyk stawania w oknie, które wychodziło na portal, i obserwowania, jak w placówce Starflight rośnie tempo aktywności. Przez wejście w kształcie litery L płynął nieprzerwany strumień pojazdów i zapasów wszelkiego rodzaju; codziennie wśród hałd przemieszczonej gleby wznoszono nowe budynki i pajęczyna dróg przecinała kompleks, z pojedynczymi nitkami biegnącym w prerię. Przyczółek Ziemi stawał się coraz lepiej umocniony, a Garamond czuł się coraz bardziej niepotrzebny.

- Najdziwniejszą rzeczą jest to, że staję się coraz bardziej zaborczy - wyznał żonie. - Głoszę ludziom kazania o niepojętej wielkości Orbitsville, mówię im, że nawet tysiąc korporacji Starflight nie mogłoby kontrolować sfery, a jednak instynktownie czuję, że jest moją osobistą własnością. Przypuszczam, że w pewien sposób mam mniejszy kontakt z rzeczywistością niż Liz Lindstrom.

## Orbitsville

---

Aileen pokręciła głową.

- Jesteś zły na to, jak prezes proponuje zarządzać Lindstromlandem.

- Jestem zły na siebie.

- Dlaczego?

- Co każe mi myśleć, że Starflight House chciałby się po cichu wycofać, żeby zrobić miejsce dla publicznie finansowanego systemu przewozowego? Z tego, co słyszę, zespoły public relations Liz lansują koncepcję, że Starflight już jest koncernem na wpół rządowym. Trudno było z nim walczyć, kiedy mieliśmy tylko Terranovą i o ilości ziemi, która dostawał osadnik, decydowała wysokość jego zapłaty za przewóz, ale teraz jest inaczej.

- Pod jakim względem? - Aileen podniosła wzrok znad koszuli, która ręcznie szyła. Jej głęboko opalona twarz wyrażała współczucie, lecz nie zmartwienie; od czasu przybycia do Orbitsville wypracowała sobie postawę nacechowaną spokojnym optymizmem. To nijakie zadowolenie, które wydawało się głównym elementem osobowości jego żony. wychodziło jej na dobre w tym obcym środowisku.

- Powinno się wyznaczyć standardowa opłatę za przewóz i znieść ograniczenia co do ilości ziemi, jaka może zająć osadnik. W ten sposób dla większości ludzi byłaby to operacja całkiem altruistyczna. Kłopot w tym, jak tego dokonać.

Od czasu odrzucenia członkostwu w rudzie rozwoju Elizabeth, Garamond stwierdził, że trudno mu uzyskać informacje o jej poczynaniach, ale mógł sobie wyobrazić podejście, jakie stosuje, żeby rozreklamować Orbitsville na przeludnionej Ziemi. Ustalony niedawno fakt, że przestrzeń wewnątrz sfery nic zawiera wodoru ani innej materii, co wykluczało

## Orbitsville

---

używanie skrzydłomigaczy. mógł się okazać plusem dla Starflight. Możliwe, że upłynie bardzo długi czas, zanim będzie można przebudować niewydolny typ statku w taki sposób, żeby mógł unieść własną masę reakcyjną i eksplorować powierzchnię równą pięciu miliardów kul ziemskich dostępna w sferze. Jeśli lak. Orbitsville naprawdę stanowiło ostateczną granicę, było miejscem, gdzie mężczyzna i jego rodzina mogą załadować zapasy na pojazd o napędzie solarnym. łącznie z "żelazną krowa" do przerobu trawy na żywność, i pojechać w zielony bezkres. Takie życie byłoby proste, i być może ciężkie - pod wieloma względami podobne do życia pionierów na amerykańskim Zachodzie - ale w rozciągających się od wybrzeża do wybrzeża megalopolis Ziemi panowała wielka tęsknota za tego rodzaju ucieczką. Ryzyko śmierci z przepracowania czy zwyczajnego zapalenia wyrostka robaczkowego na samotnej farmie setki lat świetlnych od Ziemi było nieskończenie lepsze niż perspektywa śmierci w zamieszkach spowodowanych brakiem żywności w Paryżu czy Melbourne. Bez względu na to, ile Starflight zażąda za przewóz do Orbitsville, zawsze będzie więcej niż dość chętnych, żeby zapełnić wielkie statki.

- Czy prezes musi być altruistką? - zapytała Aile-en. Garamond wiedział, że żona dokonuje porównania pomiędzy Liz Lindstrom i sobą, pomiędzy kobietą, która niespodziewanie straciła syna i tą, która miała męża i dziecko, bo egzekucja została wstrzymana. - Co jest złego w czerpaniu rozsądnego zysku ze świadczonych usług?

- W tym wypudku, wszystko. - Garamond zdusił rozdące się rozdrażnienie. - Czy tego nie rozumiesz? Słuchaj, Ziemia została zgwałcona, zanieczyszczona i zadławiona na

## Orbitsville

---

śmierć, ale tutaj w Orbitsville jest tyle miejsca, że każdy człowiek może się zgubić na zawsze. Na Ziemi popełniliśmy wszelkie możliwe błędy i dostaliśmy nauczkę, i teraz dostaliśmy szansę, żeby znów zacząć od początku. Sytuacja wymaga niemal całkowitego przesiedlenia ludności, i można tego dokonać. Aileen. Na naszym poziomie rozwoju technicznego można tego dokonać, ale polityka Starflight polega na tym, żeby do tego nic dopuścić! Żeby Elizabeth mogła uzyskać swój, cytuj ę, rozsądny zysk, musi być wysoka presja demograficzna na Ziemi, a niska gdzieś indziej. Nie byłbym zaskoczony, gdyby się okazało, że Lindstromowie stoją za porażką wszystkich głównych programów kontroli populacji.

- To niedorzeczne, Vance. - Aileen zaczęła się śmiać.

- Czyżby? - Garamond odwrócił się od okna, ułagodzony oczywista wesołością żony. - Może i tak, ale nie słyszałaś, jak się skarżą na wskaźnik urodzin.

- Mówiąc o wskaźniku urodzin... nasz od długiego czasu stoi w miejscu. - Aileen chwyciła go za rękę i przytuliła ją do policzka. - Nie chciałbyś być ojcem pierwszego dziecka urodzonego w Orbitsville?

- Nic jestem pewien, a poza tym to niemożliwe. Pierwsze siatki z osadnikami już są w drodze i z tego, co słyszałem o Terranovej. wiele kobiet zawsze przybywa w ciąży. Ma to coś wspólnego z brakiem innych rozrywek podczas podróży.

- W tam razie co sądzisz o pierwszym dziecku poczętym w Orbitsville?

- To bardziej prawdopodobne. - Garamond ukląkł przy krześle żony, wziął ją w ramiona i pocałował.

Aileen odsunęła się od niego po paru sekundach.

Będziesz się musiał bardziej postarać.

## Orbitsville

---

- Przepraszam. Wciąż myślę o ludziach, istotach czy bogach, jakkolwiek chcesz ich nazwać, którzy zbudowali Orbitsville.

- Kto nie myśli?

- Nic rozumiem ich.

- A kto rozumie?

Wiesz, w Orbitsville jest dość przestrzeni, żeby pomieścić wszystkie istoty inteligentne w galaktyce. Z tego, co wiemy, dlatego stworzono sferę, a jednak...

Garmond pozwolił, żeby jego głos się wyciszył. Podejrzewał, że Aileen posadziłoby go o paranoje, gdyby spekulował głośno o tym. Dlaczego budowniczoje sfery stworzyli schronisko dla wszystkich galaktycznych bezdomnych - a potem zagrali prosto w ręce Elizabeth Lindstrom, zostawiając tylko jedno wejście.

\*

Chick Truman należał do pokolenia ludzi, którzy przyszli na świat wraz z rozwojem podróży międzygwiazdnych. Był pionierem-technikiem. Jego ojciec i dziadek uczestniczyli w otwieraniu Terranovej i w pierwszych badaniach tuzinu innych planet, które, choć nie nadawały się do skolonizowania, posiadały jakiś potencjał handlowy czy naukowy. Odebrał niewielkie wykształcenie techniczne, ale jak wszyscy inni członkowie bractwa tych cygańskich inżynierów, posiadał wrodzona wiedze obejmującą szeroki zakres umiejętności techniczno-mechanicznych. Było tak, jakby nagromadzone doświadczenie pokoleń zaczęło produkować ludzi, dla których analiza obwodu elektrycznego czy wyregulowanie silnika są

kwestią instynktu.

Jedną z cech, które odróżniały Trumana od większości kolegów po fachu, było silne, jakkolwiek niezdiscyplinowane zainteresowanie filozofią. I pewna sprawa natury filozoficznej nurtowała jego umysł, gdy rozbił obóz na dolnym zboczu wzgórz, które w odległości około sześćdziesięciu kilometrów otaczały jedyny otwór Orbitsville. Stanowił połowę dwuosobowego zespołu, który został wysłany do wzniesienia szeregu reflektorów laserowych jako części eksperymentalnego systemu łączności. Dotarli do celu minutę przed ścianą mroku, która nadciągnęła ze wschodu, i teraz jego kolega, Peter Krog, był zajęty przygotowaniem jedzenia i rozkładaniem śpiworów. Sam Truman zajmował się mniej prozaicznymi sprawami. Zapalił fajkę, usadowił się wygodnie, oparty plecami o transporter, i patrzył na niesamowite tuki nocnego nieba.

- Zasada przeciętności jest przydatną bronią filozoficzną - mówił - ale może się obrócić przeciwko facetowi, który jej używa. Wiem, że niektóre z największych etapów w rozwoju myśli ludzkiej zostały osiągnięte dzięki przyjęciu założenia, że nie ma niczego dziwnego ani sprzecznego z naturą w naszym małym światku, co zresztą wkurzyło Alberta Einsteina.

- Pomóż mi otworzyć te pojemniki - poprosił Krog.

Nie poruszając się, Truman wydmuchnął chmurę wonnego dymu.

- Ale rozważmy przykład, powiedzmy, dwóch żuków żyjących na dnie dołka na polu golfowym. Żuki nigdy nie były poza dołkiem, ale gdyby miały smykałkę do filozofowania, mogłyby opisać resztę wszechświata tylko na podstawie dostępnych dowodów. Jaki byłby ich wszechświat, Pete?

## Orbitsville

---

- A kogo to obchodzi?

- Ładne podejście, Pete. Ich przewidywany wszechświat byłby nieskończonym ciągiem okrągłych dziur z wpadającymi do nich za dnia wielkimi białymi piłkami.

Krogt bez pomocy otworzył pojemniki z jedzeniem i podał jeden Trumanowi.

- O czym ty gadasz, Chick?

- Mówię ci, co jest nie w porządku z kierownictwem w bazie. Słuchaj... Jesteśmy w Orbitsville od miesiąca, zgadza się?

- Racja.

- Teraz weź tę naszą małą wycieczkę. Te wzgórza wznoszą się na wysokość trzystu metrów. Mamy rozkaz ustawić reflektory na wysokości dwustu pięćdziesięciu metrów. Powiedziano nam, gdzie je postawić, gdzie wycelować, jakie odchylenie będzie do przyjęcia, ile czasu ma zająć wykonanie zadania... ale nie kazali nam zrobić jednego. Moim zdaniem to całkiem zdumiewające przeoczenie, Pete.

- Stygnie ci stek drożdżowy.

- Dlaczego nikt nam nie powiedział, żebyśmy weszli pięćdziesiąt metrów wyżej na szczyt wzgórza i rzucili okiem na drugą stronę?

- Bo nie ma takiej potrzeby - odparł Krogt z ciężkim westchnieniem. - Nie ma tam niczego poza trawą i krzakami. W całym wnętrzu tej piłki jest tylko preria.

- Proszę bardzo! Zasada przeciętności.

- To żadna zasada. Krogt machnął widelcem w stronę rozmigotanego jedwabistego baldachimu nieba. - Patrzyli przez teleskopy.

- Teleskopy! - Truman drwiąco parsknął, żeby zamaskować zakłopotanie, ho rzeczywiście zapomniał o telesko-



powym badaniu dalekiej strony Orbitsville, i zaraz potem z pomocą mu pośpieszył jego talent do prowadzenia szybkich mentalnych kalkulacji. - Mówimy, synku, o odległości większej niż dwie jednostki astronomiczne. Gdybyś stał na Ziemi, co jedna z tych lunet powiedziałyby ci o życiu na Marsie?

- Więcej niż chcę wiedzieć. Zjesz ten stek czy nie?

- Sam go zjedz.

Truman wstał, trochę skonsternowany, że dyskusja o filozofii doprowadziła go do wyrzeczenia się posiłku, i pomaszerował w górę zbocza. Ciężko dyszał, zanim dotarł na kopulasty szczyt i przystanął, żeby zapalić fajkę. Żółty płomyk zapalniczki poraził mu oczy, więc minęła prawie minuta, zanim zobaczył, że w dole na równinie rozpościerają się nikłe i spokojne światła obcej cywilizacji.

## ROZDZIAŁ 10

Pierwsza fala statków zaskoczyła Garamonda pod dwoma względami: czasem przybycia, który mógł zostać osiągnięty tylko wtedy, jeśli wyruszyły w parę dni po zjawieniu się Elizabeth na Orbitsville, i rozmiarem. W skład floty wchodziło osiemdziesiąt statków typu G2 z których każdy miał na pokładzie ponad cztery tysiące ludzi. Jedna trzecia miliona osadników, którzy pierwotnie mieli lecieć na Terranową

z jej względnie dobrze przygotowanymi terytoriami, zostało skierowanych do nowego miejsca przeznaczenia, gdzie nie było nawet szopy, żeby im zapewniła schronienie podczas pierwszej nocy.

Rozgrzewa - powiedział Cliff Napier, sącząc swoją pierwszą kawę. Nie miał służby i spędził noc w domu Garamondów. - Fakt, na Terranovej jest tylko jeden nadający się do zamieszkania kontynent, który się szybko zaludnia, ale przecież sytuacja nie jest aż taka pilna. Bez względu jak na to spojrzeć, ci ludzie z początku przeżyją ciężkie chwile. Nie mają nawet odpowiednich środków transportu.

- Zastanawiasz się, dlaczego zgodzili się tu przylecieć? - zapytał Garamond, dopijając kawę.

Napier pokiwał głową.

- Przeciętny kolonista ma rodzinę i nie chce narażać swojej żony i dzieci na większe nieznane ryzyko niż potrzeba. Jak ci ze Starflight ich namówili, żeby przybyli tutaj?

- Ja wam powiem. - Aileen weszła do pokoju z dzbankiem świeżej kawy i zaczęła napełniać kubki. - Chris i ja byliśmy dziś rano w sklepie, gdy wy jeszcze spaliście, i rozmawiałam z ludźmi, którzy widzieli pierwsze rodziny wysiadające przed świtem. Niewiele się dowiecie, leżąc i chrapiąc.

- W porządku, Aileen, obaj uważamy, że jesteś cudowna. A teraz mów, czego się dowiedziałas?

- Zapewnili im darmowy przewóz - odparła Aileen, *wyraźnie* zadowolona, że może przekazać ważne wiadomości.

Garamond pokręcił głową.

- Nie wierze.

- To prawda, Vance. Mówią, że Starflight House zapewni darmowy transport każdemu, kto zgłosi się na wyjazd

## Orbitsville

---

do Lindstromlandu w ciągu pierwszych sześciu miesięcy.

- To podstęp.

- Och, Vance! - Aileen spojrzała na niego z wyrzutem w oczach. - Dlaczego po prostu nie przyznasz, że myliłeś się co do Elizabeth? Poza tym na czym miałyby polegać ten podstęp? Co mogłaby w ten sposób zyskać?

- To podstęp - powtórzył z uporem Garamond. - To co zrobiła, nawet nie jest legalne, bo jeszcze tu nie dotarły delegacje z rządowych agencji Ziemi.

- Przecież zawsze mówisz, że prawo nie ma znaczenia dla Lindstromów.

- Nie. kiedy chcą coś zyskać. To różnica.

- Teraz ty jesteś dziecinny - warknęła.

- Wcale nie - wtrącił Napier. - Uwierz nam na słowo, Aileen, Liz Lindstrom nigdy się nie zachowuje w nietypowy sposób.

Twarz Aileen straciła nieco naturalnego koloru.

- No tak, wy oczywiście wszystko wiecie. Wiecie wszystko o tym, co czuje kobieta, która straciła swoje jedyne... - Nagle przestała mówić.

- Dziecko - dokończył za nią Garamond. - Nie hamuj się z uwagi na mnie.

- Przepraszam. To tylko... - Soczewki łez powiększyły oczy Aileen, gdy wychodziła z pokoju.

Mężczyźni w milczeniu pili kawę, każdy zagubiony we własnych myślach. Garamond zastanawiał się, czy wrażenie bezsensu, które zamulało jego umysł, było spowodowane tym, że musiał bezradnie stać z boku, podczas gdy prezes narzucała swoją wolę Orbitsville, czy może wynikało z powoli narastającego zrozumienia, że nie ma pracy. Cała Dywizja Eksploracji

Gwiazdowej stała się zbędna, ponieważ nie było potrzeby, żeby wielkie statki znowu przeszukiwały pola gwiazd. Czy to możliwe, zastanawiał się, że istniałem tylko dla badań?

Z oczywistym wysiłkiem dyplomacji Napier wszczął rozmowę o pracy wykonywanej przez grupy badawcze Starflight. Pomimo stosowania bardziej zaawansowanych i potężniejszych narzędzi tnących niż te, które miał na pokładzie *Bisendorf*, nikomu się nie udało choćby zarysować materiału powłoki. Jednocześnie badania wewnętrznej sfery wykazywały, że jej ruch nic jest prostym obrotem ze wschodu na zachód, ale że w grę wchodzi subtelna geometria powodująca normalne następstwo dnia i nocy również blisko osi biegunowych.

Kolejny zespół bez przerwy pracował nad polem membrany, które uniemożliwiało ucieczkę atmosfery w kosmos przez otwór o średnicy kilometra. Także w tej kwestii nie zrobiono znaczących postępów. Pole siłowe było niepodobne do niczego, co kiedykolwiek stworzyli ludzcy inżynierowie, pod tym względem, że jednakowo reagowało na przeprowadzane przez nie obiekty metaliczne i niemetaliczne. Obserwacje pola ujawniły, że ma ono kształt soczewki o grubości kilku metrów pośrodku. W przeciwieństwie do materiału powłoki przepuszczało promienie kosmiczne i zdawało się je załamywać - odkrycie doprowadziło do sugestii, że będąc uszczelnieniem, ma również za zadanie rozpraszać promienie kosmiczne, żeby powodowały niewielkie mutacje flory i fauny - o ile ta ostatnia istniała - w Orbitsville. Ogólnie rzecz biorąc, pole bardziej niż materiał powłoki było podatne na badania, ponieważ zdołano spowodować niewielkie miejscowe zmiany w jego strukturze i chwilowe przecieki przez strzelanie w nie

wiązkami elektronów.

Ciekawe, prawda? - skonkludował Napier.

- Fascynujące - potwierdził automatycznie Garamond.

- Nie sprawiasz wrażenia przekonanego. Idę obejrzeć nowo przybyłych.

Garamond się uśmiechnął.

W porządku, Cliff. Zobaczymy się przy obiedzie.

Wstał i szedł z Napierem do drzwi, kiedy komunikator połączony z centralą przez linię naziemną - w ten sposób obezszli problem transmisji radiowych - zapowiedział rozmowę. Garamond wcisnął guzik PRZYJMIJ i na ekranie pojawił się młody mężczyzna o zwalistych ramionach i przedwcześnie posiwiatych włosach, w cywilnym ubraniu. Garamond nie rozpoznał jego twarzy.

- Dzień doby, kapitanie - powiedział nieznajomy lekko zadyszany głosem. - Jestem Colbert Mason z Agencji Informacyjnej Dwóch Światów. Czy kontaktowali się z panem jacyś inni reporterzy?

- Inni reporterzy? Nie.

- Dzięki Bogu... jestem pierwszy! - krzyknął Mason entuzjastycznie.

- Pierwszy? Nie wiedziałem, że Starflight zezwoliło na przewóz reporterów.

- Nie zezwoliło. - Mason parsknął drżącym śmiechem. - Musiałem tu emigrować z żoną mniej czy więcej na stałe i wiem, że inni postąpili podobnie. Po prostu mam szczęście, że mój statek rozładowano jako pierwszy. To znaczy, będę miał szczęście, jeśli pan mi udzieli wywiadu.

- Był pan wcześniej poza Ziemią?

- Nie, proszę pana. To mój pierwszy raz, lecz okrążył-

## Orbitsville

---

bym galaktykę, byle tylko mieć szansę porozmawiać z panem.

Garamond poznał się na pochlebstwie, ale też stwierdził, że jest pod niekłamanym wrażeniem młodego reportera.

- O czym pan chce ze mną rozmawiać?

- O czym...? - Mason bezradnie rozłożył ręce. - O mnóstwie spraw! O wszystkim i o niczym. Czy pan wie, że na Ziemi jest pan postrzegany jako najslawniejszy człowiek wszechczasów? Nawet gdyby pan odpowiedział na tachioqramy, które do pana wysialiśmy, wciąż uważalibyśmy, że warto podjąć próbę rozmowy twarzą w twarz.

- Tachioqramy? Nie dostałem żadnych sygnałów z Ziemi. Proszę chwileczkę poczekać. - Garamond wyłączył kanał audio i odwrócił się w stronę Napiera, - Elizabeth?

Z nakrytych ciężkimi powiekami oczu Napiera wyzierała czujność.

- Tak sędzę. Nic spodobały jej się twoje poglądy na temat zarządzania Orbitsville. Prawdę mówiąc, jestem zaskoczony, że ten reporter zdołał przebić się przez sieć. Musi być albo wielkim spryciarzem, albo równie wielkim szczęściarzem.

- Uszczęśliwmy go jeszcze bardziej. - Garamond włączył audio. - Mam dla pana dobry materiał. Mason. Jest pan gotów nadać dokładnie to, co powiem?

- Oczywiście.

- W porządku. Proszę przyjść prosto do mojego domu.

- Nie mogę. Dzwonię, ponieważ sędzę, że jest pan obserwowany, i może nie być dużo czasu.

- W takim razie dobrze, Może pan przekazać, że moim zdaniem potencjał Orbitsville jest...

- Orbitsville?

- Miejskowa nazwa Lindstromlandu. - Garamond prze-

## Orbitsville

---

stał mówić, gdy obraz reportera rozpadł się na drobiny kolorowego światła, które przez sekundę wirowały na ekranie, po czym nagle zniknęły. Czekał na powrót obrazu, ale nic się nie stało.

- Pomyślałem, że to zbyt piękne, żeby mogło być prawdziwe - skomentował Napier. - Ktoś wyciągnął wtyczkę.

- Wiem. Jak myślisz, skąd mówił Mason?

- Z pewnością z któregoś sklepu na dworcu. Tylko tam miałyby dostęp do komunikatora,

- Chodźmy tam. - Garamond narzucił lekką kurtkę i nie tracąc czasu na wyjaśnianie sprawy Aileen, śpiesznie wyszedł z domu w niezmiennie południe Orbitsville. Christopher uniósł głowę, przerywając samotną zabawę na trawie, ale się nie odezwał. Garamond pomachał ręką do syna i ruszył w kierunku skupiska budynków wokół portalu.

- Cholernie gorąco - wymamrotał gderliwie Napier, idąc u jego boku. - Zamierzam kupić parasol na przechadzki po dworze.

Garamond nie był w nastroju na lekkie pogawędki.

- Staje się tu zbyt podobnie jak na Ziemi i Terranovej.

- Nie zdołasz udowodnić, że rozmowa została zablokowana.

- Nawet nie zamierzam próbować.

Szybko szli po brązowej drodze gruntowej, która biegła pomiędzy rozproszonymi domami mieszkalnymi i dochodziła do pasa niewielkich budynków administracyjnych, laboratoriów badawczych i magazynów bez okien, które otaczały otwór. Czarna elipsa ukazała się pomiędzy skupiskiem maszyn dokujących i portów wejściowych w kształcie litery L. Garamond już nie mógł myśleć o tym juko o jeziorze gwiazd - teraz

## Orbitsville

---

była to po prostu dziura w ziemi. Gdy mijali wyjątkowo duży anonimowy budek, jego uwagę przyciągnął błysk światła na poruszającym się pojeździe - jednym z niewielu w Orbitsville. Pojazd zatrzymał się przed wejściem do budynku, czterech ludzi wysiadło i pośpieszyło do środka. Jeden z nich miał młode ciało kontrastujące z siwiejącymi włosami.

Napier złapał Garamonda za ramię.

- Wyglądał jak nasz facet.

- Zobaczymy. - Przez splacheć trawy wbiegli w gesty cień holu i zdążyli zobaczyć, jak zamykają się wewnętrzne drzwi. Portier z emblematami Starflight wyszedł z dyżurki i próbował zastąpić im drogę, ale Garamond i Napier minęli go z dwóch stron i wpadli do wewnętrznego pomieszczenia. Pierwsze spojrzenie potwierdziło, że znaleźli Colberta Masona. Reporter stał pomiędzy dwoma mężczyznami, którzy trzymali go za ramiona, a trzech inni - w jednym z nich Garamond rozpoznał Silvia Lakera, członka osobistego personelu Elizabeth Lindstrom - stali w pobliżu. Mason miał oszołomiony, pusty wyraz twarzy, jak po podaniu narkotyków.

- Puśćcie go - polecił Garamond.

- Proszę stad wyjść - powiedział Laker. - Przebywa pan poza swoim terytorium, kapitanie.

- Zabieram Masona ze sobą.

- Akurat - mruknął jeden z mężczyzn trzymających reportera i z wielką pewnością siebie zrobił krok w stronę intruzów.

Garamond obrzucił go znudzonym spojrzeniem.

- Mogę cię okaleczyć na dziesięć sposobów. - Kłamał, nigdy go nie interesowały nawet rekreacyjne formy walki, lecz mężczyzna nagle stracił pewność siebie. Gdy się wahał, jego



## Orbitsville

---

kolega puścił Masona i próbował coś wyrwać z kieszeni, ale Napier wybił mu z głowy ten pomysł: po prostu przesunął trochę bliżej swoje sto pięćdziesiąt kilogramów żywej wagi i patrzył wyczekująco. W skąpo umeblowanym pokoju zapadła podzwaniająca cisza.

- Nic panu nie jest? - zapytał Garamond Masona.

- Moja szyja... - jęknął niepewnie reporter, macając palcem różową plamkę na skórze tuż nad kołnierzykiem - Potraktowali mnie sprejem podskórnym.

- To pewnie tylko środek uspakajający, żeby nie narobił pan rabanu. - Garamond przeszył wzrokiem Lakera. - Mam nadzieję, że to prawda, dla twojego dobra.

- Uprzedzałem, że ma pan się trzymać od tego z daleka - wychrypiął Laker. Jego niskie, krągłe ciało trzęsło się ze złości. Wyciągnął prawą pięść, na której połyskiwał wielki złoty pierścień z rubinem.

- Lasery zostawiają bałagan - powiedział Garamond.

- Nie mam nic przeciwko sprzątanu.

- Ta sprawa cię przerasta, Laker. Czy pomyślałeś, co z tobą zrobi Elizabeth, jeśli ją wplączesz w morderstwo?

- Dobrze wiem, że chciałyby się ciebie pozbyć.

- W tajemnicy, owszem... ale przecież nie w taki sposób. - Garamond skinął na Napiera. - Chodźmy. - Obrócili uległego, otepiałego reportera i poprowadzili go do drzwi.

- Ostrzegam, Garamond - szepnął Laker. - Jestem gotów zaryzykować.

- Nie bądź głupi - powiedział Garamond, nie oglądając się za siebie. Kilka kroków dzieliło go od drzwi i czuł silne mrowienie pomiędzy łopatkami. Wyciągnął rękę, żeby złapać klamkę, ale w tej samej chwili drzwi się otworzyły i do pokoju

## Orbitsville

---

wpadło trzech mężczyzn. Garamond sprężył się, żeby odparować atak, lecz przybysze, z których dwóch nosiło kombinezony techników terenowych, nie zwrócili na niego najmniejszej uwagi.

- Panie Laker! - krzyknął trzeci w niebieskim mundurze inżyniera Starflight. - Musi pan tego wysłuchać! Nigdy by pan...

- Wynocha, Gordino - Głos Lakera rwał się z furii. - Do diabła, co ty sobie wyobrażasz, wpadając tu jak...?

- Pan nie rozumie! Nawiązaliśmy kontakt z obcymi! Moi dwaj technicy pojechali na wzgórze na zachód stąd i znaleźli osiedle obcych... wciąż zamieszkałe!

Szczęka i groźna pięść Lakera opadły unisono.

- Co ty mówisz. Godrdino? Co to za historia?

- To są ci ludzie, panie Laker. Sami panu o tym powiedzą.

- Twoich dwóch pijanych cyganów.

- Proszę. - Wyższy technik uniósł rękę i przemówił dziwnie tu nie pasującym pełnym godności głosem. - Spodziewałem się dozy sceptycyzmu, więc zamiast natychmiast wracać do bazy, zczekałem do końca nocy i zrobiłem liczne zdjęcia. Proszę, oto one. - Wyjął plik kolorowych prostokątów i podał je hakerowi.

Garamond wypchnął za drzwi Napiera i wciąż oszołomionego Masona, a sam, porzucając wszelkie myśli o ucieczce, podszedł do Lakera i wyrwał mu zdjęcia. Sięgały po nie również inne ręce, ale udało mu się zachować dwa. Tłem na każdym z nich była bezkresna preria Orbitsville, a pośrodku znajdowały się jasnoniebieskie prostokąty, które nie mogły być niczym innym, jak sztucznymi konstrukcjami. W pobliżu

## Orbitsville

---

podstawy niektórych z nich widniały wielobarwne plamki, tak małe, że reprezentowały tylko punkciki pigmentu pod połyskiem papieru fotograficznego.

- Te kolorowe cętki - zaczął Garamond, zwracając się do technika - czy to...?

- Mogę tylko powiedzieć, że się poruszały. Z daleka wyglądały jak kwiaty, ale się ruszały.

Garamond skierował uwagę na zdjęcia, próbując skoncentrować umysł na miejscu, w którym się znajdowały kolorowe molekuly - jak gdyby mógł osiągnąć poziom atomowy, na którym stałyby się widoczne obce formy życia, a głębiej poziom nuklearny, gdzie mógłby spojrzeć w twarze i oczy pierwszych towarzyszy, których Człowiek napotkał po wszystkich tych latach przeszukiwania gwiazd. Reakcja była naturalna, uwarunkowana przez stulecia, podczas których jedyna możliwość kontaktu z innymi leżała w badaniu znaczków na płytach fotograficznych, ale prawie natychmiast została zmieciona na bok przez siły instynktu. Garamond stwierdził, że idzie do drzwi, i wyszedł w światło słońca zanim zrozumiał, że jego celem jest pojazd Starflight zaparkowany w pobliżu wejścia. Kawalek dalej na drodze widział Napiera i Masona, najwyraźniej zmierzających do jego domu. Wsiadł do szkarłatnego pojazdu i sprawdził przyrządy. Samochód był zupełnie nowy, wyprodukowany na pokładzie jednego ze statków kosmicznych, zaprojektowany specjalnie do jazdy po Orbitsville, i nie trzeba było kluczyków, żeby uruchomić magnetyczny silnik impulsowy. Garamond wcisnął guzik startera i odjechał w chmurze pyłu, gdy Laker i inni wchodzili z budynku.

Zignorował ich krzyki i przez parę sekund przyśpieszał, aż zrównał się z Napierem. Nacisnął piętą na jedyny pe-

dał kontroli i zahamował. Otworzył drzwi. Napier obejrzał się na ludzi Starflight, którzy biegli w ich stronę, bez słowa wepchnął Masona do pojazdu i wsiadł za nim. Garamond zmienił nacisk na pedał z pięty na palce i z ledwie słyszalnym jękiem silnika samochód ruszył po gruntowej drodze, zygzakiem, gdyż nadmiar mocy sprawiał, że ślizgał się na boki.

Niespełna minutę później minęli granice miasteczka i pędzili w kierunku zalanych światłem słonecznym wzgórz. Osiedle obcych pojawiło się w polu widzenia, gdy tylko samochód wjechał na szczyt kolistego pasma wzgórz. Składało się z jasnoniebieskich prostokątów lśniących w dali jak kawałki ceramiki. Podczas krótkiego oglądania fotografii Garamond odniósł wrażenie, że budynki tworzą jedno skupisko, ale w rzeczywistości rozciągały się w całym polu, tworząc pas o szerokości kilku kilometrów. Zrozumiał, że mają przed sobą znacznej wielkości miasto. Nie posiadało ściśle określonego centrum, ale, przykładając ludzką miarę, mogło je zamieszkiwać milion czy więcej mieszkańców. Garamond zwolnił, gdy jechali w dół zbocza. Właśnie dostrzegł poruszające się kolorowe cętki, które, co do czego nie miał najmniejszych wątpliwości, były pierwszymi istotami napotkanymi przez ludzi poza biosferą ich ojczystej planety.

- Cliff, czy nie słyszałeś czegoś o zespołach Starflight duplikujących nasz eksperyment z torpedą zwiadowczą? - Garamond mówił ze ściągniętymi brwiami, nic odrywając wzroku od połyskliwego miasta.

- Chyba słyszałem.

- Zastanawiam się, czy włączyli kamery?

- Wątpię. Przecież czegoś takiego nic mogliby pominąć.

Mason, który doszedł do siebie po zastrzyku środków

## Orbitsville

---

uspokajających, z podekscytowaniem poruszał się na tylnym siedzeniu, robiąc ujęcie panoramiczne swoją kamerą.

- Co pan zamierza powiedzieć tym istotom, kapitanie?

- Nie ma znaczenia, co któryś z nas powie, bo i tak nic zrozumieją.

- Może nawet nie usłyszą - dodał Napier. — Może nie mają uszu.

Garamondowi zaschło w ustach. Wiele razy wyobrażał sobie taka chwile, z siłą pragnienia, którego nie potrafiłby zrozumieć ktoś, kto nigdy nie zaglądał w ślepe oczodoły tysiąca martwych światów, ale perspektywa stanięcia twarzą w twarz z całkowicie obcą formą życia zakłócała chemię jego ciała. Jego serce biło powoli i mocno, gdy bladoniebieskie miasto coraz wyżej rosło przed samochodem. Bez świadomej myśli zmniejszał nacisk na pedał i przy niższej prędkości pomruk silnika stał się zupełnie niesłyszalny. Przez długą chwilę słychać było tylko szelest szorstkiej trawy Orbitsville smagającej karoserię pojazdu.

- W czym problem, Vance? - Oczy Napiera były czujne i pełne współczucia. - Arachnofobia?

- Chyba tak.

- Nie przejmuj się, ja też to czuję.

- Arachnofobia? - Mason pochylił się z zaciekawieniem.

- Co to?

- Zapytaj nas kiedy indziej.

- Nic, nic nie szkodzi - powiedział Garamond, zadowolony z okazji do rozmowy. - Lubi pan pająki?

- Nic znoszę ich - odparł Mason.

- To dość powszechne. Strach i odraza, jaką większość ludzi czuje na widok pająków, jest tak silna i szeroko rozpo-

## Orbitsville

---

wszechniona, że doprowadziła do powstania teorii mówiącej, iż pająki nie są gatunkiem naturalnie występującym na Ziemi. Mamy poczucie pokrewieństwa, bez względu jak lekkie, ze wszystkimi stworzeniami pochodzącymi z naszego świata i to sprawia, że je akceptujemy, nawet gdy są brzydkie jak grzech. Jeśli reakcja na widok pająka jest, jak niektórzy wierzą, nienawiścią do czegoś instynktownie identyfikowanego jako pochodzenia pozaziemskiego, to w takim razie możemy mieć kłopot, kiedy nawiążemy pierwszy kontakt z obcą rasą.

- Oczywiście, to tylko teoria.

- Tylko teoria - zgodził się Garamond.

- Jakie jest prawdopodobieństwo, że słuszna?

- Dosłownie zerowe, moim zdaniem. Nie chciałbym... -

Garamond przestał mówić, gdy samochód wjechał na niewielkie wzniesienie. Zaledwie dwieście metrów dalej zobaczył dwie istoty w jasnych odcieniach. Obcy znajdowali się daleko od swojego miasta, odizolowani. Powoli zatrzymał samochód.

- Chyba... mam wrażenie, że powinniśmy wysiąść i resztę drogi przejść pieszo.

Napier skinął głową i otworzył drzwi. Wysiedli, przez chwilę stali w skwarze permanentnego południa Orbitsville, po czym ruszyli w kierunku dwóch postaci wielkości człowieka, ale nie ludzkich. Mason szedł za nimi z kamerą.

Gdy odległość pomiędzy nimi się zmniejszyła. Garamond wyraźniej zobaczył obcych i z ulgą stwierdził, że wcale się ich nie boi, chociaż nie przypominali niczego, co kiedykolwiek sobie wyobrażał. Z początku wyglądali na humanoidów w strojach pokrytych dużymi łatami w kolorze różowym, żółtym i brązowym. Jednak z mniejszej odległości stroje okazały się kolorowymi liśćmi, które częściowo pokrywały skompli-

kowane, asymetryczne ciała. Obcy nie mieli wyraźnie wykształconych głów - tylko bardziej złożone garby na szczycie pochylonych do przodu kadłubów. Spośród mnóstwa macek, jam i wyrostków jedynymi narządami, które Garamond był w stanie zidentyfikować z taką pewnością, były oczy, które przypominały bliźniacze kaboszony zielonego heliotropu.

- Co to takiego? - szepnął Napier.

- Nie wiem. - Garamond odczuł znajomą potrzebę powiązania obcych istot z czymś, co znał ze swoich przeszłych doświadczeń. - Malowane krewetki?

Spostrzegł, że reporter został za nimi. Obaj z Napierem byli już tylko kilka kroków od obcych. Obaj się zatrzymali i stali naprzeciwko fantastycznych stworzeń, które się nie poruszyły ani nie dały żadnego znaku, że są świadome ich obecności. Cisza opadła na żywy obraz jak płynne szkło, zestalając się wokół nich. Równina przemieniła się w pełną słońca soczewkę, a oni tkwili pośrodku, unieruchomieni i niemi. Narastająca presja psychiczna stawiała się nie do zniesienia, Jednak nie mogli jej zmniejszyć, bo nie wiedzieli, co zrobić ani co powiedzieć.

Garamond uznał, że to nieistotne. Nieważne, że nie mogą wymyślić niczego do powiedzenia ku pamięci dla przyszłych pokoleń - nie ma sposobu na nawiązanie porozumienia. Żadnego sposobu.

Minuta ciągnęła się jak wiek, potem druga.

Zrobiliśmy, co do nas należało - odezwał się w końcu Napier.- Idziemy, Vance.

Garamond odwrócił się z wdzięcznością i razem ruszyli w stronę Masona, który się cofał, wciąż nagrywając holograficznie wszystko, co się działo. Dopiero gdy dotarli do samo-

## Orbitsville

---

chodu, Garamond spojrział w kierunku obcych. Jeden z nich oddalał się ku miastu ciężkim, skomplikowanym. niezdarnym krokiem; drugi stał dokładnie w tym samym miejscu, w którym go zostawili.

- Ja prowadzę - oznajmił Napier. Wsiadł do samochodu i eksperymentował z uproszczonymi przyrządami, podczas gdy pozostali zajmowali miejsca. Wprowadził pojazd w ruch, zawrócił i ruszył skosem pod górę. Po-jedziemy dłuższą drogą, żeby się *nie* natknąć na tropiący nas tłum.

Garamond skinął głową, wciąż całkowicie zaabsorbowany spotkaniem z dwoma stworzeniami na równinie.

- Nie było arachnofobii... przypuszczam, że to dobrze o nas świadczy... ale czułem się zupełnie nieprzydatny. To wszystko nie miało sensu. Nic wyobrażam sobie, jak kiedykolwiek moglibyśmy się dogadać czy nawiązać z nimi kontakty.

- Nic mi nie wiadomo o dogadywaniu, Vance, ale kontakty będą nieuniknione. - Napier wskazał przez przednią szybę w lewo, gdzie krzywizna zbocza opadała, odsłaniając nowe przestrzenie prerii. Bładoniebieskie budynki obcego miasta zamiast rzednąć, rozpościerały się po trawiastej równinie jak kwiaty na łące, na pozór w nieskończoność.

Mason zagwizdał i podniósł kamerę.

- Myślicie, że tworzą krąg wokół wzgórz? Wokół naszej bazy?

- Na to mi wygląda. Z pewnością są tu od długiego czasu... - Napier zawiesił głos, ale Garamond od razu odgadł, o czym myśli.

Liz Lindstrom już w pierwszej fali sprowadziła jedną trzecią miliona osadników, a niebawem wielkie statki będą



## Orbitsville

---

przywozić złaknionych ziemi ludzi w partiach po milion albo więcej. W bliskiej przyszłości dojdzie do interakcji pomiędzy dwiema rasami, na bardzo dużą skalę.

W ciągu miesiąca napłynęły pogłoski o masakrze.

Panował krótkotrwały spokój, kiedy płytka kolistą niecka wokół miasta Beachhead wchłonęła pierwsze fale osadników. W tym czasie z Ziemi przybyło kilku przedstawicieli Spraw Pozaziemskich, świadomych swojej bezsilności, i zarządziło, że nikomu nic wolno podejść bliżej niż na pięć kilometrów do osiedla obcych, dopóki nie zakończą się negocjacje o wytyczenie korytarzy prowadzących na wolne terytoria za miastem. Wiele czynników połączyło się przeciwko ich skuteczności. Ludzie z rządu późno zjawili się na scenie, nie mieli dostępu do żadnych mediów i - co najważniejsze - wśród osadników panowało powszechne przekonanie, że jakakolwiek próba nawiązania porozumienia dyplomatycznego z Klaunami, jak ich nieoficjalnie nazywano, jest z góry skazana na niepowodzenie.

## Rozdział 11

Z początku kolorowych obcych traktowano z dystansem i respektem, potem stało się jasne, że nie posiadają żadnych maszyn poza najprostszymi narzędziami rolniczymi. Nawet ich domy były utkane z jakiegoś rodzaju celulozowej liny wysnuwanej z ich własnych ciał w taki sam sposób, w jaki pająk wytwarza pajęczynę. Kiedy później odkryto, że Klauni są niemi, wielu ludzkich osadników postawiło pod znakiem zapytania ich inteligencję. Jedna teoria mówiła, że są zdegenerowanymi potomkami rasy, która zbudowała fortyfikacje wokół otworu miasta Beachhead; inna, że są nieco więcej niż udomowionymi zwierzętami, które przeżyły swoich panów i rozwinęły własną quasikulturę.

Garamonda niepokoilo podejście sugerowane przez te hipotezy częściowo dlatego, że były one katalizatorem przyczyniającym się do pewnych zmian, które zachodziły wśród ziemskich osadników. Subtelne rozluźnianie dyscypliny, które zaobserwował u swoich ludzi zaledwie w parę minut po tym, jak postawili stopę w Orbitsville, miało swój odpowiednik wśród imigrantów w formie narastającego braku szacunku do władz. Ludzie, których życie podlegało ścisłej kontroli w zor-

## Orbitsville

---

ganizowanym, zdyscyplinowanym społeczeństwie na Ziemi, teraz uważali się za potencjalnych właścicieli kontynentów i nie mogli się doczekać potwierdzenia swojego nowego statusu. Wszystkim, co musieli zrobić, żeby przemienić się z drobnych urzędników w królów, było załadowanie pojazdów dostarczanych przez warsztaty Starflight i wyruszenie w swoją złotą podróż. Obowiązywała tylko jedna dyrektywa, która mówiła, że powinni podróżować daleko, ponieważ było jasne, że im dalej człowiek odjedzie od miasta Beachhead, tym więcej będzie dostępnej dla niego ziemi.

Osadników ogarnęło zniecierpliwienie. Nawet ci, którzy przybyli najwcześniej i wytyczyli swoje działki w obrębie pierścienia wzgórz, z niepokojem zdali sobie sprawę, że za nimi będą przybywać nieprzebrane rzesze, i postanowili ruszyć dalej.

W normalnej sytuacji, czyli podczas kolonizowania planety, nie doszłoby do poważnego przeludnienia w jednym miejscu, ale ziemską technologię była przystosowana do zasady przeciętności. Podczas rozwijania systemu transportowego złożonego z promów i skrzydłomigaczy nikomu nie wpadło do głowy, żeby się zabezpieczyć na wypadek odkrycia środowiska, w którym statek na przykład nie będzie mógł zbierać potrzebnej mu masy reakcyjnej. We wszechświecie, jaki znano, próba szukania tego typu rozwiązań byłaby kompletnie nielogiczna, ale w Orbitsville jej brak okazał się fatalnym w skutki błędem.

\*

Były dostępne terytoria o astronomicznych wymia-

rach, lecz brakowało środków na ich zajęcie na tyle szybko, żeby zadowolić ambicje ludzi, którzy niczym bogowie przemierzali kosmos, a potem byli zdani tylko i wyłącznie na transport kołowy. Gdyby poświęcono czas na zbudowanie albo importowanie floty statków powietrznych z konwencjonalnymi skrzydłami, trudności zostałyby zmniejszone, lecz nie zlikwidowane do końca. Każda rodzina czy wspólnota musiała w jak najkrótszym czasie stać się niezależna, a to, nawet z zaawansowanymi metodami uprawy roli i wykorzystaniem żelaznych krów, oznaczało bezzwłoczne objęcie w posiadanie wielkich areałów.

Panowała klasyczna sytuacja, która zawsze doprowadzała do walki człowieka z człowiekiem. Tym samym Garmond nie był zaskoczony, gdy zaczęły do niego docierać raporty, że osadnicy koczujący najdalej od Beachhead w wielu miejscach wymusili drogę przez Miasto Klaunów i wylewali się na leżące dalej prerie. Nie próbował osobiście odwiedzić żadnego z tych miejsc, ale nie miał kłopotu z wyobrażeniem sobie przebiegu wypadków w każdym z nich. Wciąż prześladowany przez poczucie utraty celu, większość czasu poświęcał rodzinie, tylko sporadycznie zaglądając na *Bissendorfa* jako dowódca. Rozmyślnie unikał oglądania wiadomości, które trafiały do jego domu przez linie naziemne, ale inne kanały były otwarte.

Pewnego ranka, gdy spał po długiej pijackiej sesji, zbudził go krzyk dziecka. Dźwięk synergicznie przywołał wspomnienie Haralda Lindstroma spadającego ze ślepej twarzy posągu i niemal w tej samej chwili napłynęła miazdząca świadomość, że zaniedbał środków ostrożności i dał się zaskoczyć Elizabeth.

## Orbitsville

---

Usiadł w łóżku, łapczywie chwytając powietrze, i po-  
pędził do salonu. Aileen dotarła tam przed nim i klęczała z  
Christopherem w objęciach. Chłopiec cicho szlochał, z twarzą  
wtuloną w jej ramię.

- Co się stało? - Strach Garamonda zmalął, ale jego ser-  
ce łomotało nierówno.

- Projektor - odparła Aileen. - Pojawiła się na nim jedna  
z tych kreatur. Wyłączyłam go.

- Jakich kreatur? - Garamond spojrział na obszar pro-  
jekcyjny telewizji holograficznej, gdzie blady duch nauczyciela  
w jednym z programów edukacyjnych wciąż jeszcze rozpusz-  
czał się w powietrzu. Christopher uniósł mokrą od łez poważ-  
ną twarz.

- To był Klon.

- Chodzi mu o Klauna. - Oczy Aileen pociemniały ze  
złości.

- O Klauna? Przecież... Mówiłem ci, że obraz ma być  
rozmyty, kiedy Chris ogląda, żeby nic stracił rozeznania po-  
między tym, co prawdziwe, a co nieprawdziwe.

- Obraz był rozmyty. Przestraszył się tej rzeczy, to  
wszystko.

Garamond bezradnie popatrzył na żonę.

- Nie rozumiem. Dlaczego miałyby się bać Klauna?

- Zwrócił uwagę na Christophern. - O co chodzi, synu?  
Dlaczego się przestraszyłeś?

- Myślałem, że Klon po mnie też przyjdzie.

- Co za niemądry pomysł... przecież oni nikogo nie  
krzywdzą.

Spojrzenie chłopca było nieruchome i pełne wyrzutu.

- A co ze wszystkimi tymi ludźmi, którzy zamazli? Ze

## Orbitsville

---

wszystkimi martwymi ludźmi?

Garamond był całkowicie zbity z tropu.

- O czym ty mówisz?

- Nie mieszaj mu w głowie - powiedziała cicho Aileen. - Doskonale wiesz, co podawano w wiadomościach przez parę ostatnich tygodni.

- Nie wiem! Co mówili?

- O zewnętrznej planecie. Kiedy zbudowali Lindstromland, odcięli dopływ światła i ciepła do zewnętrznej planety, która wskutek tego zamarzła.

- Kto? Oni? Jacy oni?

- Klauni, oczywiście.

- Przecież to cudownie! - Garamond zaczął się uśmiechać. - Klauni zbudowali Orbitsville.

- Ich przodkowie.

- Rozumiem. I na zewnętrznej planecie byli ludzie? Ludzie, którzy zamarli na śmierć?

- Pokazali ich zdjęcia. - Do głosu Aileen zakradła się nuta uporu.

- Gdzie je zrobili?

- Oczywiście, musiał tam polecieć statek Starflight.

- Ale, skarbie, jeśli planeta jest zamarznęta, jak ktoś mógł zrobić zdjęcia jej powierzchni czy czegokolwiek, co się tam znajduje? Spróbuj tylko pomyśleć o tym przez chwilę.

- Nie wiem. jak to zrobili... mówię tylko, co widział Chris wraz ze mną i wszystkimi innymi.

Garamond westchnął, podszedł do komunikatora i wywołał Cliffa Napiera, który przebywał na pokładzie *Bissendorfa*. Znajoma twarz prawie natychmiast pojawiła się nad emiterem projekcyjnym i Napier skinął głową na powitanie.

## Orbitsville

---

- Cliff, potrzebuję pewnych informacji o ruchach statków w układzie Gwiazdy Pengelly'ego - powiedział Garamond cicho i bez wstępów. - Czy wysłano ekspedycję na zewnętrzną planetę?

- Nie.

- Jesteś pewien?

Napier spojrzał w dół. na wyświetlacz informacji.

- Zdecydowanie.

- Dzięki, Cliff. To wszystko. - Garamond przerwał połączenie i pozornie materialna twarz Napiera rozmyła się w powietrzu wraz z malującym się na niej wyrazem zdziwienia. - Proszę bardzo, Aileen. Słyszałaś bezpośrednio, jednoznaczne stwierdzenie faktu. A teraz powiedz, skąd w takim razie wzięły się te zdjęcia?

- No, może w zasadzie to nic są prawdziwe zdjęcia. Mogą być...

- Impresjami jakiegoś artysty? Rekonstrukcjami?

- Co za różnica? Pokazali je...

Co za różnica? Garamond parsknął drżącym śmiechem, gdy pomiędzy nim i jego żoną otworzyła się mentalna przepaść, ale nie był na nią zły. Ich małżeństwo było proste i harmonijne i wiedział, że scalają je więzi głębsze niż te, które może zapewniać tylko podobieństwo zainteresowań czy poglądów. Jedną z pierwszych rzeczy, z którymi nauczył się godzić, była świadomość braków istniejących na pewnych poziomach ich związku, i zwykle wiedział, jak je rekompensować.

- To największa różnica na świecie - powiedział łagodnie, niemal jakby mówił do dziecka. - Czy nie rozumiesz. jak na twoje nastawienie do Klaunów wpłynęło to, co widzisz albo co

myślisz, że widzisz w telewizji? W taki sposób manipuluje się ludźmi. Manipulowanie było znacznie trudniejsze albo przynajmniej musiało być bardziej subtelne, kiedy umiejętność czytania i pisanin uważano za niezbędny element wykształcenia... - Nawet w jego własnych uszach słowa wydawały się nudne i nieistotne. Przestał mówić, gdy zauważył, że Aileen traci zainteresowanie, co było do przewidzenia. Jego żona chłonęła większość informacji na wpuł instynktownie, za pośrednictwem obrazów, u on nie miał żadnego obrazu, żeby jej pokazać. Opadł go niejasny smutek.

- Nie jestem głupia, Vance. - Aileen dotknęła jego ręki, kierując się intuicją.

- Wiem.

- Co chciałeś mi powiedzieć?

- Chciałem tylko, żebyś pamiętała, że Korporacja Starflight jest jak... - usiłował znaleźć odpowiednio żywy obraz jak kula śniegowa tocząca się w dół wzgórza. Staje się coraz większa i większa, pędzi coraz szybciej i nie może zwolnić. Nie może sobie pozwolić na to, żeby się zatrzymać. Nawet kiedy ktoś znajdzie się na jej drodze... i właśnie dlatego zamierza przetoczyć się przez Klaunów.

- Zawsze wydajesz się taki pewny wszystkiego.

- Wszędzie są znaki. Pierwszy krok polega na zaszczepieniu w ludzkich umysłach idei, że Klauni zasługują na rozwałkowanie. Kiedy to się stanie, reszta pójdzie łatwo.

- Nie lubię Klaunów - powiedział Christopher, przerywając długą ciszę. Jego złota jak tutejsze słońce twarz wyrażała determinację.

- Nie proszę, synu, żebyś ich polubił. Po prostu nie wierz, że wszystko, co widzisz w telewizji, jest prawdziwe.



## Orbitsville

---

Gdybym sam poleciał na zewnętrzną planetę, mógłbym... - Garamond umilkł na chwilę, gdy pomysł zawładnął jego umysłem.

- Dlaczego nic? Przecież właśnie do takiej pracy były przeznaczone statki DEG-u - powiedziała Elizabeth i w tym momencie się uśmiechnęła. - Jest pan na bezterminowym urlopie, kapitanie, ale gdyby pan wolał wrócić do czynnej służby i odwiedzić inny świat, nic będę miała zastrzeżeń.

- Dziękuję, pani - odparł Garamond, skrywając zaskoczenie.

Nieładny uśmiech Elizabeth stał się bardziej tajemniczy, bardziej triumfalny.

- Potwierdzone dane o tej planecie, zamiast wszystkich tych spekulacji, które krążą w powietrzu, z pewnością okażą się bardzo przydatne.

\*

Garamond przeanalizował tę krótką rozmowę wiele razy w czasie, kiedy *Bissendorf* rozkładał swoje niewidzialne skrzydła i odrywał się od formacji floty. Przyszło mu na myśl, że zaproponował lot badawczy częściowo jako wyzwanie dla prezes, mając nadzieję, że pojedynk z nią zmniejszy jego narastające napięcie psychiczne. Chętnie wyrażona zgoda na misję była ostatnią rzeczą, jakiej się spodziewał i, podobnie jak kilka uszczypliwych komentarzy ze strony Aileen, wzbudziła w nim uczucie rozczarowania i niepokoju.

Godzinami siedział na galerii w centrum kontroli, patrząc na ekrany i obserwując, jak inne statki Starflight wykonują cierpliwe manewry, podchodząc do wejścia Orbitsville,

żeby wyładować swój ładunek istot ludzkich albo zapasów. Kiedy *Bissendorf* wyszedł z tego ściśle kontrolowanego roju i nic prócz gwiazd nie leżało przed dziobem, Garamond został na posterunku, przyglądając się nieregularnym dźgnięciom głównego działka elektronowego, upiornemu ostrzu energii, które migotało w przestrzeni przed statkiem. Żniwo masy reakcyjnej nie było obfite w bezpośrednim sąsiedztwie Gwiazdy Pengelly'ego i na wczesnych etapach lotu musieli jonizować pył kosmiczny, żeby pomóc polom elektromagnetycznym w ich pracy. Jednak stopniowo, gdy statek posuwał się spiralnym torem, czarna jak noc równina powłoki Orbitsville przestała przysłaniać całą połowę widocznego wszechświata. Warunki w kosmosie stały się bardziej normalne i prędkość statku zaczęła wzrastać. Garamond znowu miał kłopoty w dostosowaniu percepcji do właściwej skali. Wszystkie jego minione doświadczenia jakby się uwzięły, żeby mu wmówić, że przebywa w małym statku, który mozolnie wznosi się na wysokość kilku kilometrów nad planetę i przeciętnym rozmiarze, podczas gdy w rzeczywistości musieli przelecieć sto milionów kilometrów, żeby po obróceniu głowy o dziewięćdziesiąt stopni zobaczyć przeciwległe skraje dysku Orbitsville.

Wielkość sfery w pewien sposób była dla niego bolesna, gdyż powodowała, że znajome pytania wrzały mu w głowic. Czy fakt, że była dostatecznie wielka, żeby pomieścić wszystkie istoty inteligentne w ojczyściej galaktyce, sugerował jej przeznaczenie? Dlaczego istnieje tylko jedno wejście do takiego ogromnego gmachu? Czy to własności i prawa fizyczne sfery wykluczają możliwość używania w jej wnętrzu łączności radiowej i skrzydłomigaczy? Czy Twórcy rozmyślnie zawarli te cechy w swoim projekcie, żeby pomysłowi technicy nie

## Orbitsville

---

przemienili sfery w globalną wioskę za pomocą statków o prędkości nadświatłowej i sieci telewizyjnych? I gdzie są teraz ci Twórcy?

Napier się zjawił z dwoma kubkami kawy i jeden podał Garamondowi.

- Sekcja pogodowa donosi, że lokalna średnia gęstość przestrzeni wzrasta zgodnie z przewidywaniami. To oznacza, że powinniśmy być zdolni do nabrania prędkości, która nam umożliwi dotarcie do zewnętrznej planety w niewiele więcej niż sto godzin.

Garamond z aprobatą pokiwał głową.

- Torpeda-sonda powinna być w tym czasie gotowa.

- Sammy Yamoto chce poprowadzić zejście na powierzchnię.

- To może być niebezpieczne. Zanim wyrazimy zgodę, musimy mieć bardziej szczegółowy raport o warunkach panujących na powierzchni. — Garamond zaczął sączyć kawę, potem ściągnął brwi i zapytał: - Jak sądzisz, dlaczego nasz naczelny astronom chciałby nadstawiać tam karku? Myślałem, że wciąż jest zamotany w globularny filigran pól siłowych.

- Jest, ale uważa, że może wydedukować nowe rzeczy o budowie Orbitsville, badając zewnętrzną planetę.

- Powiedz mu, żeby mnie informował. - Garamond popatrzył na Napiera znad krawędzi zamkniętego kubka z ustnikiem i zobaczył nietypowe wahanie na twarzy wielkiego mężczyzny. - Wynikło coś więcej?

- Shrapnel, jak się zdaje, poszedł na samowolkę.

- Shrapnel? Pilot promu?

- Zgadza się.

- No to poszedł. Czy nie tego się spodziewaliśmy?

## Orbitsville

---

- Spodziewałem się, że zrobi to raz, ale nie dwa razy. Zniknął na większą część dnia zaraz po tym, jak przybył tu tłum ze Starflight. W tym czasie przebywał wewnątrz sfery, więc doszedłem do wniosku, że pośpieszył do Starflight z opowieścią o swoim pechu i go spisałem na straty, ale wieczorem wrócił z powrotem na służbę.

- To cię zaskoczyło?

- Tak, zwłaszcza że już wcale nie był urażony. Jego postawa jakby się zmieniła na lepsze i od tej pory pracował jak mrówka.

- Może stwierdził, że nie lubi personelu w kwaterze głównej Starflight.

Napier nie wyglądał na przekonanego.

- Nie protestował ani nic próbował się wykręcać, kiedy otrzymał rozkaz uczestnictwa w tym locie, ale nie ma go na pokładzie.

- Chciałbym po prostu o nim zapomnieć.

- Ja staram się - powiedział Napier - ale *Bissendorf* nie jest żaglowcem zacumowanym w porcie. Człowiek, który bez pozwolenia przychodzi i wychodzi, musi mieć za sobą jakąś organizację i plany. To każe mi myśleć, że Shrapnel ma kontakty w Starflight.

- Napijmy się whisky - zaproponował Garamond. - Obaj robimy się za starzy do tego rodzaju roboty.

Jeszcze przed pozbawieniem światła i ciepła własnego słońca, zewnętrzna planeta układu Gwiazdy Pengelly'ego była ponura i jałowa.

O połowę mniejsza od Ziemi, bez atmosfery, była kula skały patrolująca samotną orbitę tak daleko, że jej słońce wyglądało jak jasna gwiazda, w której świetle martwe formy te-

## Orbitsville

---

renu rzucały ledwie dostrzegalne cienie. Zniknięcie słońca zrobiło niewielką różnicę. Powierzchnia planety stała się trochę zimniejsza i trochę ciemniejsza, ale spadek temperatury nie był na tyle duży, żeby spowodować jakieś spektakularne zjawiska, takie jak ruchy skorupy. W czerni nic się nic poruszało, z wyjątkiem nieczęstych obłoczków pyłu wzbijanego przez spadające meteory, i spokojne tysiąclecia wlekły się jak zawsze.

\*

Używając radaru jak wielki owad czułków, *Bissendorf* po omacku wszedł na orbitę niewidocznej kuli, która była martwym światem.

Statek miał formę trzech połączonych cylindrów, z centralnym prawic o pół długości wystającym przed boczne. Pokład dowodzenia, poziomy administracyjny i techniczny, kwatery mieszkalne i warsztaty znajdowały się w centralnym walcu. Ta wyeksponowana pozycja oznaczała, że zamieszkałe części statku mogą być narażone na silne bombardowanie podczas lotu z wysoką prędkością, kiedy - wskutek prędkości własnej statku - nawet nieruchome drobiny pyłu kosmicznego są rejestrowane jako cząstki o nadzwyczajnie dużej energii. Problem rozwiązano przez stosowanie tych samych metod odchylenia magnetycznego, które kierowało cząstki do reaktorów termojądrowych. Obie pompy strumieniowe *Bissendorfa* rozwijały linie pola magnetycznego w postaci tarczy ochronnej, wokół której naładowane cząstki nieszkodliwie spływały do silników.

Nieodłączną wadą systemu było to, że statek kosmicz-

ny nie mógł latać z wielką prędkością z wyłączonymi pompami strumieniowymi, gdyż załoga zostałaby usmażona przez samowzbudzone promieniowanie. Łączność z podróżującym statkiem również nie była możliwa, podobnie jak korzystanie z radaru. *Bissendorf* podszedł do mrocznej planety z niewielką prędkością międzyplanetarną i używał głównego napędu w krótkich wybuchach, pomiędzy którymi było możliwe sprawdzanie pozycji. Ponieważ został zaprojektowany do pracy eksploracyjnej w nieznanym układzie planetarnym, wyekwipowano go w konwencjonalne jądrowe silniki sterujące i niewielki zapas masy reakcyjnej, która mu zapewniała dodatkową zdolność precyzyjnego manewrowania. Zadanie wśliznięcia się na orbitę stulą zostało tym samym wykonane szybko i sprawnie, mimo że załoga nie widziała planety.

Wystarczyło jedno okrążenie, żeby dalekosiężne czujniki i sprzęt rejestrujący odpowiedziały na wszystkie pytania Garamonda.

- Szkoda - powiedział Sammy Yamoto, gdy sprawdził jarzące się liczby i symbole analizy wstępnej. – Planeta nic ma atmosfery i wygląda na to, że nigdy nic miała jej w przeszłości. Powierzchnia jest zupełnie jałowa. Miałem nadzieję na szczątki jakiegoś rodzaju życia roślinnego, które by nam powiedziały, czy dopływ promieniowania z Gwiazdy Pengelly'ego został odcięty nagle czy może stopniowo, w ciągu wielu lat.

- Możemy zebrać wiele próbek pyłu i skał z powierzchni - odezwał się naczelny oficer naukowy O'Hagan.

Yamoto bez entuzjazmu pokiwał głową.

- Chyba tak. ale dowody botaniczne byłyby znacznie bardziej precyzyjne. Pięknie. Nie mając niczego oprócz dowodów nieorganicznych, jaki będziemy mieli margines błędu?

## Orbitsville

---

Rzędu tysiąca lat czy więcej?

- W astronomicznej skali czasu to wcale nie tak źle.

- Nieźle, ale nie...

- Czy zdaniem grupy - wtrącił Garamond - schodzenie załogi jest warte zachodu?

O'Hagan popatrzył na innych oficerów naukowych, którzy się zgromadzili blisko wyświetlacza informacji, i pokręcił głową.

- Na tym etapie wystarczy zrzucić automatyczną sondę i pobrać trzy czy cztery rdzenie. Ktoś zawsze będzie mógł wrócić, jeśli rdzeń okaże się wyjątkowo interesujący, chociaż nic robiłbym sobie większych nadziei.

- W porządku, wysyłamy torpedę. - Garamond użył tonu sygnalizującego zakończenie zebrania. - Opuśćmy ją i ściągajmy jak najszybciej, i dołączcie do niej flary i holokamerę. bo chcę przedstawić pewnym ludziom naoczne dowody.

Denise Serra, fizyk, uniosła brwi.

- Obiło mi się o uszy, że Biuro Informacyjne Starflight rozpowszechnia jakieś brednie o pięknej cywilizacji wykończonych u szczytu rozwoju, ale w to nie uwierzyłam. Kto dalby wiarę takiemu pomysłowi?

- Byłaby pani zaskoczona - powiedział Garamond z żalem. - Nauczyłem się, że istnieją różne rodzaje naiwności. My jesteśmy narażeni na jeden rodzaj, to ryzyko zawodowe wynikające z tego, że połowę życia spędzamy w izolacji od wielkiej sceny, lecz są inne, równie niebezpieczne.

- Całkiem możliwe, ale żeby wierzyć, że Klauni stworzyli Orbitsville?

- Prawdziwa wiara nie jest konieczna. Ta historia jest tylko sposobem pozwalającym na przeprowadzenie pewnych

manipulacji. Wszyscy wiemy, że pierwiastek kwadratowy z liczby minus jeden jest wartością nierzeczywistą, a jednak wszyscy jej używamy, kiedy nam to odpowiada. Na tym polega mechanizm.

Denise rozbłysły oczy.

- To nie to sumo.

- Wiem, ale podany przeze mnie przykład ilustruje ogólną kategorię rzeczy, o jakich mówimy.

- Niezły manewr. - Denise się roześmiała. Garamond nagle i bez żadnego w tej chwili oczywistego powodu zdał sobie sprawę, że sumo patrzenie na nią sprawia mu przyjemność. Uważał wyrażenie „miły dla oka” za czystą metaforę, ale teraz z zaskoczeniem odkrył, że patrzenie na bladą, wrażliwą twarz fizyczki naprawdę wywołuje przyjemne wrażenie w jego oczach. Ten fenomen go urzekł i zaraz potem zaniepokoił.

Kiedy zabranie się skończyło, poszedł do swojej kwatery i przez kilka godzin oddawał się swojemu głównemu zajęciu w czasie wolnym, nagrywając wywiady telewizyjne dla Colberta Masona. Reporter po pierwotnych trudnościach w Orbitsville ustalił sobie względnie mocną pozycję i miał biuro w Beachhead, z którego wysyłał obfity strumień wiadomości do syndykatu w Dwóch Światach. Garamond nim współpracował, na ile to było możliwe, przede wszystkim dlatego, że osobista sława wciąż stanowiła najlepszą ochronę jego rodziny przed Elizabeth Lindstrom.

Czasami niemal ulegał Aileen, która go przekonywała, że się myli w swoich podejrzaniach co do prezes, ale przeciwko temu świadczyły uporczywe plotki, że zabiła członka swojego domowego personelu, odkrywcę zwłok jej syna. Garamond wciąż się umacniał na swoim stanowisku obronnym.



## Orbitsville

---

Układ polegał na tym, że Mason zaopatrzył go w tridiowe taśmy z nagranyimi pytaniami i Garamond w wolnych chwilach używał własnego sprzętu, żeby odpowiadać na pytania i komentarze. Przy wielu okazjach Mason wspominał, że robi fortunę na tym układzie i proponował podzielenie się zyskami, ale Garamond odmawiał przyjęcia pieniędzy, prosząc tylko, żeby Mason postarał się o zarezerwowanie godzin największej oglądalności. Wyglądało na to, że cel został osiągnięty, ponieważ narastało żądanie, żeby odkrywca Lindstromlondy osobiście zjawił się na Ziemi.

Garamond większą część obecnej sesji poświęcił podawaniu powodów, dlaczego nie może wrócić, i szczegółowemu opisowi tego, czego się dowiedzieli o niewidzialnej planecie. Zakładając, że materiał bezpiecznie trafi do Dwóch Światów i zostanie nadany przez sieci planetarne, przeszedł daleką drogę w kierunku zgaszenia wszelkich sugestii, że Klauni albo jakieś inne istoty powiązane z Orbitsville unicestwiły całą cywilizację.

Starannie schował nagrania, znów się zastanawiając nad wielką swobodą, na jaką mu pozwalała Elizabeth, i przypiął się w łóżku z zamiarem złapania trochę snu. Powoli dryfujące kostki kolorowego światła stapały się i migotały w powietrzu nad nim, tworząc hipnotyczne wzory. Po raz kolejny przyszło mu na myśl, że być może kompletnie się mylił co do Elizabeth Lindstrom, i nagle stwierdził, że żałuje, iż nie może beznamiętnie i intelektualnie porozmawiać na ten temat z żoną. Sennie zdecydował, że nie miałby problemu z porozumieniem się z taką kobietą jak Denise Serra, z którą łączyła go przeszłość zawodowa i zainteresowania, i której widok powodował dziwnie przyjemne wrażenie w oczach, kiedy...

Garamond zasnął.

Zbudził się dwie godziny później z niewytłumaczalnym wrażeniem niepokoju i postanowił zadzwonić do Aileen i Christophera, zanim pójdzie na mostek. Centrum łączności nawiązało połączenie i w niespełna minutę później Garamond patrzył na obraz swojej żony, ale mrugająca kula bursztynu mu powiedziała, że widzi i słyszy nagranie.

- Miałam nadzieję, że zadzwonisz, Vance. Wiem, to tylko krótka podróż, ule oboje z Chrisem tak bardzo się przyzwyczailiśmy, że nas rozpieszczasz, że bez ciebie czas mija bardzo wolno. Chociaż stało się coś bardzo ekscytującego. Nigdy nic zgadniesz. - Nierealna Aileen umilkła na chwilę, uśmiechnięta, żeby pokazać Garamondowi, że nie odgadnie, co będzie dalej.

- Dostałam osobisty telefon od prezes, tak, od samej Elizabeth Lindstrom, zapraszającą Chrisa i mnie do nowego Centrum Lindstrom na kilka dni...

- Nie idź! - Garamond nie zdołał się powstrzymać.

- ... wiedziała, że będę się czuła samotnie, gdy ty będziesz daleko - mówiła z zadowoleniem żona - ale tak naprawdę przekonała mnie wtedy, gdy powiedziała, że to ona odniesie największe korzyści z naszej wizyty. Nie ubrała tego w słowa, ale sadzę, że nic może się doczekać widoku dziecka. W każdym razie, Vance, muszę już iść, samochód prezes czeka na nas od kilku minut. Zanim usłyszysz to nagranie, będę się tarzać w luksusach i rozkoszować życiem na wysokim poziomie w Oktagonie, ale się nie martw, będę w domu, żeby gotować ci posiłki, kiedy wrócisz. Kocham cię, skarbie. Cześć.

Obraz się rozpuścił w obłoku gasnących gwiazd. Garamond siedział zlodowaciały, roztrzęsiony i zły na żonę.

- Ty głupia dziwko - szepnął do ulotnych punktów światła. - Dlaczego ty nigdy, ale to nigdy nic słuchasz tego, co do ciebie mówię?

Ostatnie gwiazdki zniknęły w ciszy. Torpeda-sonda oderwała się od martwej planety i poszybowała w górę grawitacyjnego wzgórza, żeby dostarczyć na *Bissendorfu* swój ładunek próbek pyłu i skał. Chociaż słońce płonęło tylko trzy jednostki astronomiczne dalej, jego światło było osłonięte i torpeda leciała przez czerń równa tej, jaka panuje w głębokiej przestrzeni międzygwiazdnej. W ciemności statek macierzysty dla niektórych czujników sondy jawił się jako nikłe skupisko światełek, ale inne detektory operujące w innych częściach spektrum elektromagnetycznego rejestrowały go jako jasną latarnię, której promieniowanie reprezentowało wiele głosów rozkazujących, naprowadzających, wabiących do domu. Reagując z coraz większą precyzją, gdy elektroniczne głosy nabierały siły, torpeda podchodziła do statku jak ryba pasożyt do wieloryba. W końcu nawiązała kontakt fizyczny i została przyjęta na pokład.

Podczas ostatnich manewrów Garamond z narastającą niecierpliwością czekał w galerii kontroli *Bissendorfa*. Gdy tylko otrzymano sygnał zamknięcia doku, wydał rozkaz aktywowania głównego napędu. Statek ruszył, napędzany przez stosunkowo słabe jonowe silniki sterujące, cały ten system został wyłączony, kiedy pole elektromagnetyczne rozpostarło się na maksymalny obszar połowy miliona kilometrów kwadratowych i zaczęło zgarniać masę reakcyjną z otaczającej przestrzeni. Gdy zgarniany wodór i inna materia zasiliły reaktory termojądrowe, statek popędził w kierunku słońca i przyspieszenie przywróciło grawitację zbliżoną do normalnej na

## Orbitsville

---

zamieszkałych poziomach centralnego walca.

Uczucie nacisku pokładu na podeszwy stóp pomogło Garamondowi odzyskać zimną krew. Zapewniał się, że gdyby Elizabeth zamierzała wykonać ruch przeciwko jego rodzinie, zrobiłaby to wszędzie, tylko nie w kryształowych krużgankach swojej nowej rezydencji. W dodatku do tego Elizabeth wiedziała, że Garamond za parę dni wróci z ciemnej planety, posiadając jeszcze większą - o ile to możliwe władzę zwaną sławą. Godziny i wachty mijały, a gdy Orbitsville wypełniło przednie panele widokowe swoją kompletną czernią. Garamond zdołał przekonać samego siebie, że panikował bez powodu.

*Bissendorf* wykonał obrót w połowie podróży powrotnej i upłynęły dwa dni w fazie zwalniania, kiedy w obu generatorach pola jednocześnie doszło do eksplozji, co pozbawiło statek możliwości zatrzymania się zanim uderzy w nieustępliwą skorupę Orbitsville.

## ROZDZIAŁ 12

- Sterburta bardziej ucierpiała - zameldował Napier no nadzwyczajnym zebraniu dowództwa *Bissendorfa*. – Wybuch

spowodował rozerwanie kadłuba ciśnieniowego w sąsiedztwie ramy S dwieście trzy. Aktywowane spadkiem ciśnienia grodzie zamknęły się jak trzeba i odcięły sektor pomiędzy ramą S sto dziewięćdziesiąt i dwieście dziesięć, ale w tym czasie przebywało tam pięciu techników i wszyscy zginęli.

O'Hagan -uniósł posiwiałą głowę.

- Wskutek wybuchu czy dekompresji?

- Nie wiemy. Ciała zostały wyrzucone w kosmos.

- Rozumiem. - O'Hagan skreślił notatkę w notesie, jednocześnie mówiąc: - Pięciu zaginęło, przypuszczalnie nic żyją.

Napier z jawną niechęcią patrzył na swojego starego antagonistę.

- Jeśli pan wie, jak zawrócić statek, żeby zabrać ciała, to doskonała chwila, żeby nam o tym powiedzieć.

- Ja tylko...

- Panowie! - Garamond uderzył w stół tak mocno, jak tylko było to możliwe w warunkach prawie zerowej grawitacji. - Czy mogę przypomnieć, że za około osiem godzin wszyscy zginiemy? To nie zostawia wiele czasu na sprzeczki.

O'Hagan uśmiechnął się upiornie.

- To daje nam osiem godzin na sprzeczki, kapitanie... nic innego nie możemy zrobić.

— O tym ma zdecydować zebranie.

- Niech tak będzie. - Naczelny oficer naukowy O'Hagan wzruszył ramionami i w geście rezygnacji rozłożył suche sękatę dłoń.

Garamond na przekór sobie podziwiał starszego mężczyznę, który wydawał się zdeterminowany do końca zachować swój egotyzm i prawo do zrędlowego wyrażania opinii. Co więcej, O'Hagan z reguły miał rację we wszystkim, co mó-

## Orbitsville

---

wił, i wydawało się, że także pod tym względem nie ma zamiaru się zmieniać. Chociaż w regionie Gwiazdy Pengelly'ego brakowało masy reakcyjnej, *Bissendorf* był wspomagany w drodze powrotnej przez jej przyciąganie i osiągnął średnie przyśpieszenie bliskie jednej grawitacyjnej. Przyśpieszenie i odległość były niewielkie, lecz mimo to w punkcie obrotu statek podróżował z prędkością tysiąca pięciuset kilometrów na sekundę i choć stopniowo zwalniał przez dwa dni przed wybuchami, w momencie zdarzenia pokonywał ponad sto kilometrów w ciągu sekundy. Przy takiej prędkości uderzą w Orbitsville zaledwie za osiem godzin i Garamond miał wrażenie, że ani on, ani nikt inny na pokładzie nie może nic na to poradzić. Ta myśl dudniła i łomotała we wszystkich głowach, a jednak czuł zaskakującą nieobecność strachu czy jakichś pokrewnych emocji. Zdecydował, iż jest to psychologicznym produktem ubocznym świadomości, że mają osiem godzin do dyspozycji. Pozostały im czas stwarzał iluzję, że jeszcze można coś zrobić, że jest szansa na zmianę biegu wypadków na ich korzyść, i - nie do wiary - ulegał jej nawet doświadczony skrzydłomigowiec, który aż nazbyt dobrze rozumiał zabójcze parametry swojego położenia.

- Rozumiem, że oba systemy napędu pomocniczego wciąż funkcjonują - mówił oficer administracyjny Mertz. Jego okrągła twarz płonęła jak różowy plastik. - Z pewnością to robi jakąś różnicę.

Napier pokręcił głową.

- Silniki jonowe właśnie pracują, co odpowiada za niewielki ciężar, jaki teraz odczuwamy, ale są przeznaczone tylko do zapewniania statkowi zdolności manewrowej i w nieznaczny sposób wpływają na naszą prędkość. Przypusz-

## Orbitsville

---

czam, że dzięki nim zderzymy się z Orbitsville minutę czy dwie minuty później. To jedyna różnica.

A co z dodatkowymi silnikami nuklearnymi? Myślałem, że służą do unikania kolizji.

- Bo służą. Wytrzymują maksymalnie dwadzieścia minut. Przy pełnym ciągu pod właściwym kątem do obecnego kursu możemy z łatwością uniknąć zderzenia z obiektem wielkości Jowisza, ale nie z czymś takim. -Napier wskazał na panele widokowe, które były jednolicie czarne. Orbitsville stało się wszechświatem.

- Rozumiem. - Twarz Mertza straciła nieco różowości. - Dziękuję.

W pokoju operacyjnym zapadła cisza, którą zakłócało tylko słabe, nieregularne szcęknięcie przenoszone przez konstrukcję statku. Daleko na rufie załoga remontowa zajmowała się wymianą zniszczonych części kadłuba. Garmnond patrzył w ciemność przed dziobem i próbował przyswoić sobie koncepcję, że reprezentuje ona mur w poprzek nieba, mur, który pędzi ku nim z prędkością stu kilometrów na sekundę, mur tak szeroki i wysoki, że uniknięcie zderzenia jest niemożliwe.

Yamoto chrząknął.

- Nie ma sensu spekulować, dlaczego statek został sabotowany, ale czy wiemy, w jaki sposób bomby znalazły się na pokładzie?

- Osobiście jestem przekonany, że podłożył je pilot oficer Shrapnel - odparł Napier. - Nie ma wielu dowodów, ale poszlaki wskazują na niego. Przekazaliśmy wszystkie informacje w naszym komunikacie do kontroli floty.

- Co powiedzieli?

- Obiecali, że zostanie przesłuchany. - W jego głosie

zabrzmiała twarda jak krzemień nuta goryczy. - Zapewnili, że podejmą wszystkie niezbędne kroki.

- Dobrze wiedzieć. Czy niedobrze? - Yamoto przycisnął grzbiet ręki do czoła. - Miałem jeszcze tyle pracy. Jeszcze tylu rzeczy nic wieża o Orbitsville.

Dzięki tej misji dowiedzą się przynajmniej jednej rzeczy, pomyślał Garmond. Dowiedzą się, jak materiał powłoki reaguje na uderzenie piętnastu tysięcy ton metalu poruszającego się z prędkością stu kilometrów na sekundę. I nawet nie będą musieli odchodzić daleko od otworu, żeby zobaczyć wielkie bum... Garamond poczuł lodowaty skurcz w żołądku, gdy wpadł mu do głowy załazek pomysłu. Przez chwilę siedział w idealnym bezruchu, gdy niewiarygodna myśl krystalizowała się do punktu, w którym mogła zostać ubrana w słowa. Zimny pot wystąpił mu na czoło.

- Czy ktoś - odezwała się Denise Serra spokojnym, czystym głosem - wziął pod uwagę możliwość zmiany naszego kursu w taki sposób, żebyśmy przeszli przez otwór w Beachhead?

W pokoju znów zapadła cisza. Garamond poczuł dziwny wtórny szok, gdy usłyszał słowa, które sam wciąż formułował, wypowiedziane przez drugą osobę. Cisza trwała może przez dziesięć sekund, kiedy przerwał mu drwiący śmiech O'Hagana.

- Czy pani zdaje sobie sprawę, że przy naszej prędkości uderzenie w mur powietrza będzie dokładanie tym samym, co uderzenie w lita skalę? Obawiam się, że pani pomysł niczego nie zmienia.

- Nie musimy uderzać w mur powietrza, wcale nie, jeśli znowu obrócimy statek dziobem do przodu i będziemy z pełną



## Orbitsville

---

mocą strzelać z działa elektronowego.

- Bzdura! - krzyknął O'Hagan. Przekrzywił głowę, jakby nasłuchiwał wewnętrznego głosu, i przez chwilę jego palce skakały po klawiaturze komputera. - A jednak wcale nie bzdura - poprawił się bez śladu zakłopotania, skinieniem głowy przepaszając Denise Serrę. Wszyscy obecni połączyli się z centralnym komputerem, korzystając ze swoich terminali.

- Dostarczenie mocy przeciżeniowej powinno zapewnić działu wystarczające napięcie na parę potrzebnych nam sekund. Tyle czasu powinno wystarczyć na wybitie tunelu w atmosferze.

- Na tym etapie możemy się przesunąć w bok na tyle, żeby wejść na kurs, który nas przeprowadzi przez otwór.

- Ale pamiętajcie, że nasz cel nie będzie kołem, tylko elipsą. Będziemy wchodzić pod kątem około siedemdziesięciu stopni.

- Mimo wszystko powinno pójść w miarę dobrze, dopóki żaden inny statek nie wejdzie nam w drogę.

- Mamy jeszcze czas, żeby dokonać strukturalnych wzmocnień na osiach podłużnych.

- Utracimy dość energii kinetycznej...

- Chwileczkę - polecił Garnmond, podnosząc głos, żeby go usłyszeli w tym nagle optymistycznym gwarze. - Musimy spojrzeć na problem ze wszystkich stron. Jeśli przelecimy przez otwór, jaki to będzie miało wpływ na Beachhead?

- Poważny - odparł z zadumą O'Hagan. - Wyobraźcie sobie piekielna błyskawicę wpadająca przez otwór, a zaraz potem eksplozję równą wybuchowi taktycznej broni jądrowej.

- Będą zniszczenia?

Nie ulega wątpliwości. Ale jest mnóstwo czasu na

## Orbitsville

---

ewakuację obszaru... nikt nic musi zginać.

- Ktoś wspomniał o kolizji z innym statkiem.

- To mniejszy problem, Vance. - O'Nagan przez chwilę miał zaskoczoną minę, bo po raz pierwszy w życiu zwrócił się do Garamonda po imieniu. - Możemy podać kontroli floty nasz dokładny kurs, a oni po prostu będą musieli dopilnować, żeby droga była wolna.

Garamond próbował rozważać za i przeciw, ale widział tylko twarze żony i dziecka.

- Zgoda! Zróbmy to. Chcę zobaczyć kopię planu, ale od razu przystąpcie do działania. Ja tymczasem porozmawiam z kontrolą floty.

Dziesięciu obecnych przy stole oficerów naukowych i inżynierskich natychmiast rozpoczęło wieloaspektowa dyskusję. Poziom hałasu w pomieszczeniu jeszcze bardziej wystrzelił w górę, gdy otworzono kanały łączności z innymi częściami statku. W ciągu minuty do udziału w dyskusji zgłosiło się może trzydzieści innych osób, wiele z nich obecnych w postaci miniaturowych, ale wyglądających jak prawdziwe głów, które w obłądny sposób zmieniały proporcje wnętrza.

Garamond niemal czuł grzywacz nadziei przewalający się przez wszystkie poziomy uszkodzonego statku. Kazał Napierowi powiadomić załogę o sytuacji przez ogólny system nagłaśniający, po czym poszedł do swojej prywatnej kabiny i nawiązał łączność z kontrolą floty. Wbrew jego oczekiwaniom odebrał nie kontroler ruchu, ale administrator ze Starflight, starszy sekretarz lord Nettleton. Przystojny srebrnowłose mężczyzna był znany jako wierny stronnik hierarchii Lindstromów. Elizabeth lubiła otaczać się ludźmi takimi jak on, prezentującymi wizerunek dobrotliwego ojca i trzymającymi

## Orbitsville

---

się z daleka od wewnętrznych mechanizmów systemu.

- Spodziewałem się kogoś ze strony operacyjnej - powiedział Garamond, rezygnując ze standardowych formalności.

- Pani prezes osobiście zajmuje się tą sprawą. Jest bardzo zatroskana.

- Nic wątpię.

- Słucham? - W dźwięcznym głosie Nettletona zabrzmiało zdziwienie, które jawnie prowokowało Garamonda do otwartego wyrażeniu swojego zdania.

Garamond znowu pomyślał o żonie i dziecku.

- Prezes jest dobrze znana z troski o dobro swoich pracowników.

Nettleton pełnym wdzięku ruchem skłonił głowę.

- Wiem, kapitanie Garamond, jak daremne są słowa w tych okolicznościach, chciałbym jednak osobiście wyrazić współczucie dla pana i pańskiej załogi w tych...

- Nawiązałem łączność w celu poinformowania, że *Bissendorf* ma wystarczającą sterowność boczną, żeby wejść przez otwór do wnętrza Orbit... Lindstromlandu, i właśnie to zamierzam zrobić.

- Niezupełnie rozumiem. - Wielkość wizerunku Nettletona uległa kilku drobnym, ale gwałtownym zmianom, które Garamondowi powiedziały, że do obwodu podłączyli się inni widzowie. - Zostałem powiadomiony, że lecicie z prędkością stu kilometrów na sekundę i nie macie możliwości zwolnić.

- Zgadza się. *Bissendorf* wpadnie do Beachhead jak bomba. Będziecie musieli ewakuować obszar wokół otworu. Mój personel naukowy pomoże w oszacowaniu zasięgu zniszczeń, ale na wszelki wypadek silnie zalecam natychmiastowe

## Orbitsville

---

wydanie ostrzeżenia. Macie mniej niż osiem godzin. - Garamond przeszedł do szczegółowych wyjaśnień planowanej akcji, a bezustanne zakłócenia obrazu świadczyły, że jego niewidzialna widownia powiększa się z każdą sekundą.

- Kapitanie, co będzie, jeśli pański statek nic trafi w otwór, tylko uderzy w powłokę bezpośrednio pod miastem?

- Jesteśmy pewni, że przejdziemy przez otwór.

- Mówi pan jedynie, że prawdopodobieństwu jest wysokie. ale założmy, że pan chybi?

- Naszym zdaniem powłoka nic ucierpi.

- Powłoka stanowi jedną z największych tajemnic naukowych wszechczasów, więc na czym pan opiera swoje prognozy jej zachowania pod wpływem takiego uderzenia?

Garamond pozwolił sobie na uśmiech.

- W ciągu ostatniej godziny nasza intuicja dotycząca takich spraw znacznie się rozwinęła.

- To nie pora na żarty. - Nettleton na chwilę odwrócił głowę, skinął do kogoś poza ekranem i kiedy znowu spojrzał na Garamonda, miał ponure oczy. - Kapitanie, czy pomyślał pan o możliwości, że Starllight może nie wyrazić zgody na próbę przelotu przez otwór?

Garamond rozważył pytanie.

- Nie, ale przyszło mi na myśl, że Starllight nie może absolutnie nic zrobić, żeby mnie powstrzymać.

Nettleton z królewskim smutkiem pokręcił głową.

- Kapitanie, połączę pana z prezes na bezpośrednim łączu.

- Nic mam czasu z nią rozmawiać - oznajmił Garamond.

- Proszę tylko powiadomić moją żonę, że wrócę do niej jak najszybciej to możliwe. - Przerwał połączenie i wrócił do po-

## Orbitsville

---

koju operacyjnego, mając nadzieje, że mówił z większą pewnością siebie niż ta, którą odczuwał.

\*

Skromne Centrum Lindstromów nic umywało się do swojego odpowiednika na Ziemi, ale było największą, najbardziej okazałą budowlą w Orbitsville. Zbudowano je na planie ośmiokąta na niewielkim wzniesieniu około dwudziestu kilometrów na wschód od miasta Beachhead, z którym zostało połączone kablami elektrycznymi i telekomunikacyjnymi rozpiętymi na niskich słupach. Jeszcze nie podjęto próby wyrzeźbienia wzgórza zgodnie z zamysłem prezes, więc szkła-no-akrylowa budowla stanowiła dziwną wyspę otoczoną przez morze trawy. Na pierwszych trzech poziomach mieściły się te elementy administracji Starflight, które kierownictwo przeniosło z Dwóch Światów, a najwyższe piętro było prywatną rezydencją Elizabeth.

Tego wieczora strażnicy, którzy patrolowali ogrodzenie. okazywali wyraźną nerwowość. Słyszeli, że jakiś szalony kapitan skrzydłomigacza zamierza podjąć próbę wdarcia się swoim statkiem przez otwór z prędkością międzyplanetarną i plotka podawała nawet dokładny czas tego wydarzenia - 20.06 Standardowego Czasu Lokalnego. W miarę, jak się ta chwila zbliżała, każdy z nich czuł przemożne pragnienie wbijania oczu w daleką garstkę zabudowań, tuż poniżej zakrzywionego w górę horyzontu, które tworzyły Beachhead. Powiedziano im, że większa część miasta została pośpiesznie ewakuowana, żeby uniknąć skutków zapowiadanego pokazu pirotechnicznego, i nikt nie chciał przegapić widowiska.

## Orbitsville

---

Ich oczy równie często wędrowały ku przezroczystej zachodniej ścianie apartamentu prezes. Mogli tam zobaczyć Elizabeth Lindstrom, przysłoniętą tylko przez odbicie nieba. Jej opięty jedwabiem brzuch połyskiwał jak perła - i było dobrze wiadomo, że czasami obserwuje swoich ochroniarzy przez powiększający ekran. Żadnego z nich nie cieszyła myśl, że może zostać odprawiony ze Starflight i odesłany z powrotem do zatłoczonych wież mieszkalnych na Ziemi, a jednak przymus spoglądania na zachód z każdą minutą sławni się coraz silniejszy.

Napięcie narastało również na najwyższym piętrze Oktagonu, ale w wypadku Elizabeth Lindstrom wrażenie było przyjemne, oszałamiające i stymulujące, podobnie do napięcia przed orgazmem.

- Moja droga - powiedziała prezes życzliwym tonem, zwracając się do Aileen Garamond - naprawdę pani uważa, że obserwowanie zdarzenia jest dobrym pomysłem?

- Jestem tego pewna, pani.

- Ale chłopiec...

- Jestem przekonana, że mój mąż wie, co robi - oświadczyła Aileen stanowczo i bez emocji, kładąc ręce na ramionach syna, odwracając go ku zachodowi. - Wszystko będzie dobrze.

- Podziwiam pani odwagę, zwłaszcza kiedy szanse są takie... - Elizabeth pohamowała się w ostatniej chwili. Ta stojąca obok niej pospolita, pozbawiona charakteru kobieta chyba szczerze wierzyła, że statek może wpaść w solidny mur powietrza z prędkością stu kilometrów na sekundę i nie ulec zagładzie. Elizabeth znała się na matematyce, która dobitnie wykazywała, że pomysł jest nierealny, ale wiedziała, że rów-

nania nic nie znaczą dla jej gościa. W każdym razie, nie miała ochoty podawać wiadomości z wyprzedzeniem - chciała obserwować twarz pani Garamond, gdy zobaczy stos pogrzebowy męża płonący na horyzoncie. Dopiero gdy zobaczy jej minę, otrzyma pierwszą spłatę niewyobrażalnego długu, który Garamond zaciągnął u jej rodziny.

Elizabeth często sobie mówiła, że niewielu ludzi może właściwie zrozumieć koncepcję rozpacz równoważącej rozpacz, bólu będącego pokutą za ból. Nawet ona sama nic doceniała takiej logiki, zanim mały posąg Haralda, odlany ze złoczonej przez słońce żywicy, nie stanął w kaplicy Liudstromów. Ale to było takie prawdziwe.

Nie było wad w systemie księgowania „winien” i „ma” - cierpienie przeciwko cierpieniu, miłość przeciwko miłości - i ta świadomość dawała jej siłę do działania, nawet kiedy wyglądało na to, że Garamond postanowił umrzeć w czarnych głębiach kosmosu. Ten epizod był ni mniej, ni więcej, jak tylko sposobem, w jaki Bóg jej mówił, że po prostu zwiększał kredyt Garamonda do wysokości, która umożliwi spłatę całego długu. Z perspektywy czasu miała szczęście, że nie mogła od razu wygzekwować spłaty, ponieważ saldo pozostałoby ujemne i spokój nigdy by nie zagościł w jej sercu. Dziecko jest ogniskiem; jest skarbnicą miłości dodawanej przez każdy kolejny rok jego życia, i było jasne jak słońce, że śmierci dziewięcioletniego chłopca nigdy nie zrekompensuje śmierć chłopca w wieku...

- Mam najnowsze obliczenia, pani. - Głos lorda Nettletona wdarł się w jej myśli. - Zderzenie nastąpi dokładnie za trzy minuty.

- Trzy minuty - powiedziała głośno Elizabeth, wiedząc,

## Orbitsville

---

że precyzyjnie wysłana wiązka nie dotarła do uszu kobiety. Nie okazując, że cokolwiek usłyszała, Aileen podniosła syna, który zasłonił jej twarz. Elizabeth szybko przeszła na drugą stronę, żeby ją widzieć, i czekała.

Czekała przez eony i całą wieczność.

Żebrowana kopała nieba przestała się obracać.

Czas umarł...

Najpierw pojawiła się błyskawica. Prosta jak strzełił piekielna linia, pędząca pod kątem ostrym ku niebiosom, była samotna przez pierwszą dostrzegalną chwilę. Dołączyły do niej poskręcane odgałęzienia, dopływy i delty fioletowego ognia, który zamigotał i zamarzył na siatkówce. Ledwo widoczne cienie przemknęły po niebie, gdy powietrze nad Beachhead popędziło w górę, zasysane przez fontannę energii. Choć już to widowisko budziło przerażenie, jego jądro - na progu widzenia - zawierało sugestię jeszcze większych, przeciwnie działających sil. Po wrażeniu katastroficznego ruchu w górę, na południowym zachodzie rozbłysła jasna gwiazda, która szybko zgasła w dali. Dzień wrócił do normalności, choć pozornie ciemniejszy niż wcześniej.

Elizabeth z drzeniem wzięła głęboki oddech - żadna śmierć, którą widziała, nie była równie ostateczna. Skierowała spojrzenie na twarz Aileen Garamond i z szokiem zobaczyła malujący się na niej niezmacony spokój.

- To było do przewidzenia - powiedziała.

- Wiem. - Aileen z zadowoleniem pokiwała głową i przytuliła dziecko. - Przecież pani mówiłam.

Elizabeth zrobiła wielkie oczy.

- Głupia! Chyba nie myślisz, że on żyje po tym, co właśnie... - Musiała przestać mówić, gdy znad Beachhead napły-



## Orbitsville

---

nęły fale grzmotu, wędrujące powoli w powietrzu o niskim ciśnieniu, i spowiły budynek. Odbicia światła rozciągały się i kurczyły, i znów się rozciągały, gdy przezryste ściany pochłaniały energię, i niewielkie przedmioty w pokoju niespokojne podskakiwały na swoich miejscach. Christopher schował twarz we włosach matki.

- Twój mąż nie żyje - oznajmiła Elizabeth, kiedy do pokoju powróciła cisza - ale ponieważ jesteś wdową po najwybitniejszym z moich kapitanów, zostaniesz tutaj jako mój gość. Żadne inne rozwiązanie jest nie do przyjęcia.

Aileen spojrzała na nią, blada, ale nieporuszona.

- Pani, jesień w błędzie. Rozumiesz, ja wiem.

Elizabeth z niedowierzaniem i lekkim smutkiem pokręciła głową. Planowała spędzić może rok na grze subtelności i sugestii, obserwując, jak ta kobieta powoli przechodzi od niedowierzania do pewności co do dostatecznego losu jej syna. Teraz jednak stało się oczywiste - biorąc pod uwagę charakter Aileen Garamond albo jego brak - że takie strategie nie odniosą pożądanego skutku. Elizabeth zrozumiała, że jeśli chce wyegzekwować pełną spłatę długu, zgodnie z zarządzeniem boskim, będzie musiała mówić prostymi słowami, jak do dziecka. Dotknęła pięknego pierścienia na lewej ręce, dzieła mikro-inżynierii gwarantującego, że w pobliżu nie będą działać żadne urządzenia podsłuchowe, a następnie wyjaśniła księgowość kary, z której wynikało, że Christopher Garamond ma przed sobą tylko trzy lata życia. Będzie żył tak samo długo, jak Harald Lindstrom - i ani dnia dłużej.

Kiedy skończyła, wezwała swojego lekarza.

- Pani Garamond wpadła w histerię po śmierci kapita-  
na Garamonda. Zaaplikuj jej odpowiedni środek uspokajający.

## Orbitsville

---

Aileen otworzyła usta do krzyku, ale doświadczony lekarz dotknął jej nadgarstka tak szybko, że ruch nawet nie zaniepokoił chłopca, którego trzymała w ramionach. Gdy chmura błyskawicznie działającego leku przeniknęła przez jej skórę, Aileen odprężyła się i pozwoliła wyprowadzić.

Znów sama. Elizabeth Lindstrom stała, patrząc na zachodnie prerie, i po raz pierwszy od ponad roku czuła coś w rodzaju szczęścia. Zaczęła się uśmiechać.

Integralność projektu *Bissendorfa* była tak wielka, a przygotowania na pokładzie tak kompleksowe, że w wyniku przejścia przez ucho igielne zginęło mniej niż dziesięć procent załogi.

Ludzie wolni od służby zostali dokooptowani do zespołów spawaczy, którzy zmienili konstrukcje statku zgodnie z modelem zaprojektowanym przez komputer, i tworzyli kanały odprowadzające w celu wykorzystania energii zderzenia do wzmocnienia pancerza. Jeszcze parę minut przed piekielnym przejściem inne brygady mrowiły się na zewnątrz statku, dodając setki skazanych na unicestwienie anod do tych już zamontowanych, służących jako punkty ogniskowe wymiany jonów, które bez nich przeżarłyby kadłub podczas normalnego lotu. Nowe anody, masywne sztaby czystego metalu, wytrzymały krótkie, ale niewiarygodnie silne tarcie błyskawicy, która spowiła statek podczas przelotu przez tunel atmosferyczny wybiły przez działo elektronowe. W trakcie wychodzenia z tej ciężkiej próby główne wymiary *Bissendorfa* się zmieniły, w niektórych wypadkach o kilka metrów, ale wszystkie grodzie pozostały hermetycznie zamknięte, więc w konsekwencji wielka jednostka przemieniła się w dziesiątki odrębnych, niezależnych statków kosmicznych i nikt nie zginął

wskutek dekompresji.

Cała załoga włożyła skafandry kosmiczne, które miały zapewnić podstawową ochronę. Każda osoba dostała zastrzyk z soli metalicznych. Pola ograniczające statku zwiększono do granicy przeciążeniu, tworząc środowisko, w którym każdy nagły ruch tkanki ludzkiej będzie hamowany przez wszechobecne galaretowate ciśnienie. Ten środek bezpieczeństwa, choć niewątpliwie był głównym czynnikiem decydującym o przeżyciu załogi, przyczynił się do nieuniknionej liczby zgonów. W kilku sektorach, gdzie doszło do poważnych zniszczeń konstrukcji, niektórzy z członków załogi „spadali”, podlegając różnym siłom ciężenia, i ciepło wytworzone przez interakcję elektromotoryczną zagotowało im krew. Ale dla ogromnej większości wewnętrzne wzmocnienie narządów przeciwko potężnym przeciążeniom oznaczało różnicę pomiędzy życiem i śmiercią.

Wszystkie przygotowania, cała gorączkowa aktywność równałyby się jednak niczemu więcej niż chwilowemu wstrzymaniu egzekucji, gdyby nie wyjątkowa natura samego Orbitsville.

Sztuczna grawitacja materiału powłoki oddziaływała na mniejszą odległość niż naturalne siły grawitacyjne planety. Wykreślona trajektoria lotu miała kształt paraboli, ale rzeczywisty tor lotu okazał się płaski, dzięki czemu załoga miała dość czasu, żeby kontrolować ponowne wejście w atmosferę z wewnętrznej próżni sfery. Napęd jonowy statku i silniki krótkiej reakcji skutecznie zadziaływały przeciwko słabemu przyciąganiu powłoki i *Bissendorf* skakał wzdłuż górnych obrzeży powietrznej tarczy, stopniowo wytracając prędkość. Co więcej, wykorzystanie skąpych rezerw masy reakcyjnej umożliwiło

## Orbitsville

---

sprowadzenie statku na dół w jednym kawałku, bez dalszych strat w załodze.

Niemożliwe natomiast było zmuszenie statku do lotu.

Wszystkie czujniki zewnętrzne zostały zmiecione z kadłuba i wiele wewnętrznych przyrządów nawigacyjnych uległo zniszczeniu, a nienaturalne warunki Orbitsville zakłóciły pracę pozostałych, ale zegary wciąż działały. Pięć dni minęło od przejścia przez otwór w mieście Beachhead do lądowania na zboczu wzgórza daleko we wnętrzu sfery. Mając na względzie ten podstawowy fakt i używając tylko kieszonkowego kalkulatora, wystarczyło zaledwie parę sekund, żeby obliczyć, iż statek pokonał odległość ponad piętnastu milionów kilometrów.

W porównaniu z całkowitym rozmiarem Orbitsville podróż była mikroskopijnie krótka - jeden skok, rzut kamieniem, spacer przez zalane słońcem łąki i lasy - ale z ludzkiego punktu widzenia odległość stanowiła znacznie większą barierę niż urwiste góry czy wartki nurt rzeki. Wiadomo, że na Ziemi wielu wiejskich listonoszy w ciągu swojego życia przeszło odległość równą podróży na Księżyc, ale to tylko 385 tysięcy kilometrów. Droga powrotna do Beachhead byłaby zadaniem, które kolejne pokoleniu musiałyby wypełniać przez tysiąc lat.

Wielkim nakładem pracy i środków warsztaty *Bissendorfa* mogłyby wyprodukować flotę pojazdów, które skróciłyby czas podróży zaledwie do stulecia - tyle że koła i inne części uległyby zniszczeniu w ciągu kilku miesięcy. Karawana nie byłaby w stanie zabrać odpowiedniej ilości materiałów i sprzętu do napraw i produkcji, żeby zagwarantować sobie pomyślne zakończenie podróży.

## Orbitsville

---

Kłopot polegał również na tym, że ani człowiek, oni przyrząd nie znalazł dokładnego kierunku, w którym należałoby podróżować. Można by określić przybliżone położenie na podstawie kąta żeber dnia i nocy na niebie, ale przybliżone położenie byłoby bezwartościowe. Przy wchodzącej w grę odległości odchylenie zaledwie o jeden stopień spowodowałoby, że karawana minęłaby Beachhead o setki tysięcy lśniących w słońcu kilometrów.

Dzień się zbliżał ku końcowi, kiedy pochowano zmarłych. Członkowie załogi *Bissendorfa* przestali być obywatelami Ziemi. Podlegali zmianie pod wpływem otaczającego ich bezkresu, doświadczając tęsknego, kojącego zadowolenia, które płynęło z nieruchomego słońca Orbitsville.

*... ta spokojna słoneczna niedziela trwa bez końca; nawet kochankowie wreszcie znajdują spokój,*

*a Ziemia jest tylko gwiazdą, która kiedyś świeciła.*

- Wracamy - oświadczył kategorycznie Garamond.

Uważnie się przyglądał twarzom swojego personelu kierowniczego, zwracając uwagę na ich reakcję. Niektórzy popatrywali na niego z jawnym rozbawieniem, inni wbijali oczy w trawę, wyraźnie zakłopotani. Za nimi, na zboczach, wielki okaleczony *Bissendorf* szokował oko swoją absurdalną obecnością, a jeszcze dalej mikroskopijne postacie biegały po równinie, zajęte rytuałami gry w piłkę. Słońce płonęło prosto nad głową, jak zawsze, tylko od czasu krzesząc iskrę diamentowego ognia na ciemnoniebieskich wodach jezior, które połyskiwały w dali. Garamond miał odczucie, że jego słowa zostały wchłonięte przez zieloną nieskończoność Orbitsville, wessane do czysta, zanim dotarły do nieregularnego kręgu, w jakim siedziała grupa. Mimo to zwalczył pragnienie powtórzenia

## Orbitsville

---

swojej wypowiedzi.

- To cholernie długa droga - odezwał się Napier, przezywając ciężką ciszę.

Garamond wiedział, że jego stwierdzenie rzeczy oczywistej zawierało niewypowiedziane pytanie.

- Zbudujemy samolot.

O'Hagan chrząknął.

- Już o tym myślałem. Vance. Mamy dość sprzętu i materiałów, żeby skonstruować znośny samolot poddźwiękowy, a mikropedia może nam podać wszystkie dane projektu, lecz odległość jest po prostu zbyt wielka.

Można się natknąć dokładnie na taki sam problem jak w przypadku pojazdów kołowych. Samolot mógłby pokonać tę odległość w trzy czy cztery lata, tyle że nie mamy środków, żeby zbudować samolot, który byłby sprawny przez taki długi czas. I nie moglibyśmy zabrać warsztatu, żeby dokonywać napraw. - O'Hagann z powagą powiódł wzrokiem po reszcie grupy, ganiąc ich za to, że został sam, żeby dyskutować ze zbłąkanym nienakowcem.

Garamond pokręcił głową.

- Kiedy powiedziałem, że wracamy, nie miałem na myśli nas wszystkich, całej załogi. Chodzi mi o to, że zamierzam wrócić razem z tymi, którzy są wystarczająco zdeterminowani, nawet gdyby było nas tylko sześciu.

- Ale...

- Zbudujemy dziesięć samolotów. Połączymy niezbędne minimum z dobrą aerodynamiką. Polecimy naszymi dziesięcioma maszynami w kierunku Beachhead, i za każdym razem, gdy któraś się zepsuje, zabierzemy najlepsze części, umieścimy je w innych i będziemy lecieć dalej.

## Orbitsville

---

- Nie ma gwarancji, że tam dotrzesz choćby ostatnim samolotem.

- Nie ma gwarancji, że nie dotrę.

- Obawiam się, że jest. - Zbolała mina O'Hagana stała się jeszcze bardziej wymowna. - Pozostaje problem nawigacji, który już omówiliśmy. O ile nie będziesz miał naprawdę dokładnych namiarów na Beachhead, nie ma sensu wyruszać.

- Nie martwią mnie dokładne namiary - powiedział Garamond, z rozmysłem mówiąc enigmatycznie. Zdawał sobie sprawę, że w tych bardzo szczególnych okolicznościach ostatniego lotu *Bissendorfa* cała koncepcja struktury dowodzenia, relacji kapitan-załoga, z łatwością może utracić swoją ważność. Na tym etapie konieczne było umocnienie władzy bez pomocy insygniów czy zewnętrznego autorytetu.

- A jak zamierzasz je uzyskać?

- Zamierzam polecić mojemu personelowi naukowemu, żeby przejął ode mnie ten obowiązek. Jest stare powiedzenie o bezsensie posiadania psa, gdy się samemu za niego szczeka. - Garamond zwrócił spokojne, ale wyzywające spojrzenie na Denise Serre. Z satysfakcją zauważył, że ludzie reagują tak, jak miał nadzieję. Już dostrzegał oznaki rozkojarzenia, wycofywania się na poziomy myśli umożliwiające im przemianę w myśliwych zarzucających sieci na zwierzynę, której wprawdzie nigdy nic widzieli, ale która od razu rozpoznają, gdy tylko ją zobaczą.

- Podczas gdy oni będą pracować nad problemem - podjął Garamond, mówiąc do Napiera, zanim ktokolwiek z personelu mógł wyrazić sprzeciw - zwołamy odrębne zebranie komitetu inżynierów. Trzeba przeciąć statek, żeby uzyskać dostęp do poziomu warsztatów, a w tym czasie ma powstać

## Orbitsville

---

projekt samolotu i chcę mieć przygotowane pierwsze taśmy produkcyjne. - Wstał i ruszył w kierunku skleconego na oczekaniu plastikowego baraku, który mu służył jako biuro. Idący obok niego Napier kaszlnął sucho i był to dźwięk, który zdecydowanie nic pasował do jego wielkiej jak beczka klatki piersiowej.

- Znowu masz nawrót gruźlicy? - zapytał Garamond z udawanym współczuciem.

- Sadzę, że posuwasz się za szybko, Vance. Koncentrujesz się na szczegółach i za mało uwagi poświęcasz elementowi ludzkiemu.

- Mów bardziej konkretnie, Cliff.

- Większość z załogi już ma syndrom Orbitsville. Nie widza żadnych szans na powrót do Beachhead i wielu nawet nie chce wracać. Nie widzą powodu, dlaczego nic mieliby tutaj założyć osiedla, wykorzystując *Bissendorfa* jako kopalnię niezbędnych surowców.

Garamond zatrzymał się, osłonił oczy i spojrzał poza statek w kierunku spłachetka ziemi oznaczonego srebrnym krzyżem, gdzie pochowano czterdzieścioro mężczyzn i kobiet.

- Potrafię zrozumieć ich uczucia i wcale nie proponuję stosowania przymusu wobec tych, którzy chcą zostać. Weźmiemy tylko ochotników.

- Może być ich mniej niż się spodziewasz.

- Z pewnością niektórzy, może nawet większość, mają powody, żeby wrócić.

- Rzecz w tym, że nie możesz im tego zapewnić. Samoloty nie pokonają całej drogi, więc jaki im dajesz wybór? Albo zostaną tutaj w silnej gromadzie z zapasami energii, materiałów i żywności, albo rozproszą się gdzieś pomiędzy tym miej-



## Orbitsville

---

scem a Beachhead w mniej niż dziesięcioosobowych grupach, za małych, żeby przetrwać.

- Każdy samolot zabierze na pokład żelazną krowę i mały zakład do produkcji tworzywa.

- Mimo wszystko żądasz zbyt wiele.

- I również gwarantuj ę, że misja ratunkowa wyruszy natychmiast po moim powrocie.

- O ile wrócisz.

Ponura myśl przemknęła Garamondowi przez głowę.

- A ty, Cliff? Idziesz ze mną?

- Idę z tobą. Próbuję tylko sprawić, żebyś rozumiał, iż w grę wchodzi coś więcej niż tylko znalezienie odpowiedniego rozwiązania technicznego.

- Już zdaję sobie z tego sprawę, ale w tej chwili mam na głowie więcej ludzkich problemów, niż mogę sobie poradzić.

- Inni mają żony i rodziny, do których chcą wrócić.

- W tym rzecz, ja nic mam.

- Przecież...

- Jak sadzisz, ile czasu Aileen i Chris przeżyją po uznaniu mnie za zmarłego? Tydzień? Dzień? - Garamond zmuszał się do mówienia spokojnym tonem, pomimo rozpacz, która już miarowo dudniła mu w głowie. - Zamierzam wrócić tylko z jednego powodu. Żeby zabić Liz Lindstrom.

*Bissendorf* był odpowiednio wyekwipowany i miał moc wystarczająca do wykonania jednego ładowania awaryjnego na powierzchni jakiejś planety, ale w Orbitsville siadał w nie-naturalnym ustawieniu, z osia podłużna pod kątem prostym do kierunku siły ciężenia. Wnętrze zaprojektowano w oparciu o założenie, że z wyjątkiem krótkich okresów nieważkości dzięki przyśpieszaniu albo zwalnianiu załoga będzie uważać

## Orbitsville

---

dziób za wskazujący “górze” i normalnie chodzić po wszystkich poziomach. Obecnie niezliczone pokłady statku stały się pionowymi ścianami, do których były przymocowane surrealistycznie skupiska pulpitów, postumentów, biurek, krzeseł, szafek, łóżek i stołów, a także kilkaset różnego rodzaju maszyn. Ponieważ z uwagi na okresy nieważkości większość małych przedmiotów, łącznie z dokumentami, była magnetycznie albo fizycznie umocowana, nie narobiły bałaganu na spoczywającym na ziemi boku kadłuba, ale nie zmieniało to faktu, że z większości zasobów statku będzie można korzystać dopiero po odpowiednim zorientowaniu kluczowych sektorów.

Zespoły wyposażone w noże walencyjne i specjalnie w tym celu skonstruowane żurawie cięty *Bissendorfa* na części i ustawiały je w pozycji horyzontalnej. Prace były spowalniane przez konieczność rozcinania i pionowego łączenia linii zasilających, ale w ciągu tygodnia cylinder centralnego kadłuba został w znacznej mierze przekształcony w skupisko niskich budynków, okrągłych albo w kształcie klina. Każdy miał dach z plastikowej membrany i był połączony kablami ze źródłami mocy na ziemi albo wewnątrz rozmontowywanego statku. Wokół kompleksu stał krąg namiotów i improwizowanych plastikowych baraków, nadających całości wygląd obozu wojskowego.

Garamond położył maksymalny nacisk na projekt i warsztaty, które miały wyprodukować jego samoloty, i prace posuwały się w tempie, które nie byłoby możliwe choćby sto lat wcześniej. Linia montażowa już miała postać dziewięciu zestawów płóz, na których tkwiły szkielety w kształcie krzyża.

Po przeanalizowaniu wszystkich możliwości komputery ze statku zdecydowały, że pokrycie pracujące w kon-

strukcji samolotu, uniwersalne w awiacji, powinno zostać zarzucone na rzecz szkieletu obciążonego płótnem, jak w epoce braci Wright. To pozwoliło skoncentrować większość najnowocześniejszego sprzętu i myśli inżynierskiej na produkcji stopów, i frezarki z danymi zapisanymi na taśmach perforowanych wycięły potrzebne części ze świeżych sztab w niecały dzień. Wyprodukowano plastikowe poszycie, dorównujące jakością tapicerce z wysokiej klasy sklepu meblowego, i zamontowano dostępne od ręki silniki, standardowe magnetyczne motory impulsowe. Liczba silników, których łącznie było dwadzieścia jeden na pokładzie *Bissendorfa*, w głównej mierze zdecydowała o tym, że należy zbudować flotę złożoną z dziewięciu dwusilnikowych maszyn, które wyruszą w podróż z trzema napędami w zapasie.

\*

Garamond, siedząc samotnie w pryzmatycznym zmirzchu przy wejściu do swojego namiotu, był w połowie butelki whisky, kiedy usłyszał, że ktoś się zbliża. Pod pasiastą kopułą nieba Orbitsville nigdy nie zapadały zupełne ciemności, więc z daleka rozpoznał drobną sylwetkę Denise Serry. Jego złość, że ktoś mu przeszkadza, nieco zmaląła, lecz mimo to dalej siedział w idealnym bezruchu, nie czyniąc żadnego powitalnego gestu. Whisky była jego gwarantem snu, ale żeby odniosła pożądany skutek, należało ją spożywać systematycznie w precyzyjnie odmierzonych dawkach, bez żadnych przerw w rytuale. Denise podeszła do namiotu i przez chwilę stała w milczeniu, oceniając jego nastrój, potem usiadła na trawie po drugiej stronie wejścia. Wdzięczny za jej milczenie,

## Orbitsville

---

Garamond czekał, aż instynkt mu podpowie, kiedy na łyknąć kolejną miarkę zimnego ognia. Podniósł butelkę do ust.

- Picie niekoniecznie musi być dla ciebie dobre - powiedziała Denise.

- Przeciwnie, jest bardzo dobre.

- Nigdy nie lubiłam whisky. Zwłaszcza tej, którą robi Burton.

Garamond pociągnął lekko spóźniony łyk.

- Wszystko jest w porządku, jeśli wiesz, jak ją stosować.

- Stosować? Czy picie nie powinno ci sprawiać przyjemności?

- Ważniejsza dla mnie jest wiedza, jak ja stosować.

Westchnęła.

- Przepraszam. Słyszałam o twojej żonie...

- Czego chcesz, Denise?

- Dziecka, jak sadzę.

Garamond wiedział, że z pewnością uważają go za emocjonalnie sterylne z powodu rozpacz po stracie rodziny, ale zachował dostatecznie dużo ludzkich uczuć, żeby się poczuć zobowiązany do zakręcenia butelki i odstawienia jej na bok.

- To zła chwila - powiedział.

- Wiem, ale tok właśnie czuję. Na pewno przez to miejsce. To musi być len syndrom Orbitsville. o którym tyle mówi Cliff. Jesteśmy tutaj, na zawsze, i wszystko wokół nas sprawia, że to, co kiedyś uważałam za ważne, teraz wydaje się błahe. I po raz pierwszy w życiu chcę mieć dziecko.

Garamond patrzył na dziewczynę przez woale miękkiego błękitnego powietrza, i część jego umysłu - pomimo

## Orbitsville

---

dudniącego chaosu reszty - była intensywnie świadoma jej bliskości. Trudno byłoby wybrać jeden wyjątkowy atrybut Denise Serry, ule jako całość nie budziła zastrzeżeń. Była kwintesencją kobiecości, inteligencji i ciepła, i było mu wstyd, że sam nie ma niczego, co mógłby jej zaoferować.

- Mimo wszystko to zły czas - powtórzył.

- Wiem. Wszyscy wiemy, ale niektóre kobiety przestają się zabezpieczać. Zajście w ciążę jest tylko kwestią czasu. - Spoglądała na niego spokojnie i wspomniał, jak w tamtym poprzednim życiu patrzenie na nią sprawiało mu przyjemność.

- Masz już partnera, Denise?

- Wiesz, że nie.

Gra w otwarte karty, pomyślał. Żeby wiedział, że Denise Serra jako jedyna z kobiet w załodze nie miała romansów, i przez to zbudzić moje wyjątkowe zainteresowanie jej osobą.

- Chyba wiedziałem. - Garamond się zawahał. - Denise, czuję się...

- Zaszczycony?

- Chyba tego słowa bym użył.

- Nic więcej nie mów, Vance. Wiem, co to oznacza, kiedy ktoś zaczyna od tego, że czuje się zaszczycony. Sama to robiłam. - Podniosła się jednym płynnym ruchem.

Garamond spróbował wstać znacznie wolniej i wiedział, że wypadł niezdarnie.

- Może za rok, za kilka miesięcy...

- Wtedy wyjątkową niepowtarzalną ofertą już nic będzie obowiązywać - powiedziała Denise z nietypową szorstkością w głosie. - Myślałeś o tym, co zrobisz, jeśli nie zlokalizujemy Bcachhead, jeśli twoje samoloty nigdy się nie oderwą od ziemi?

## Orbitsville

---

- Liczę na ciebie, że podasz namiary.
- Nie licz! - Szybko się odwróciła, zrobiła parę kroków, zawróciła i uklękła blisko niego. - Przepraszam, Vance.
- Nie masz za co przepraszać.
- Chyba mam. Widzisz, znaleźliśmy całkiem dobre rozwiązanie problemu. Dennis O'Hagan nie chciał, żeby ci cokolwiek mówić, dopóki wszystkiego nie sprawdzi.
- Ale... - W pełni przykuła jego uwagę. - Co chcecie zrobić?
- Mike Moncaster, nasz spec od czystek, wpadł na pomysł. Wiesz coś o cząstkach delta?
- Słyszałem o promieniach delta.
- Nie, to historia. Cząstki delta, deltony, są składnikiem promieni kosmicznych odkrytym zaledwie kilka lat temu. Podczas ostatniego urlopu Mike załąpał się do zespołu badającego refrakcję promieni kosmicznych przez pole siłowe, które zamyka otwór Deachhead. Przyjęli go z zadowoleniem, ponieważ jest całkiem dobry w zasadzie zachowania dziwności i...
- Denise! Zaczęłaś mi mówić, jak zamierzacie zdobyć namiar.
- Właśnie to robię. Deltony rzadko wchodzą w interakcje. Dlatego tyle czasu nam zabrało ich znalezienie, ale to również oznacza, że mogą przebywać odległości dziesięciu czy piętnastu milionów kilometrów. Mike jest całkiem pewien, że są załamywane przez soczewki pola siłowego, jak inne składniki promieni kosmicznych, więc zamierzamy zbudować duży wykrywacz deltonów. Dwa, ściśle mówiąc. Jeden za drugim, żeby podały nam koordynaty. Wystarczy, że wyłapiemy delton, tylko jeden, i odtworzenie jego toru lotu wskaże nam pro-

stą drogę do domu.

- Myślisz, że się uda?

- Tak sędzę - odparła miłym tonem Denise. - Musimy tylko określić, jak długo będziemy musieli czekać, zanim cząstka do nas przyleci. To może trochę potrwać, jeśli będziemy mieć pecha, ale możemy zwiększyć szanse, konstruując jak największe wykrywacze albo cały szereg par.

Garamond poczuł, że odległość pomiędzy nim a Elizabeth Lindstrom odrobinę maleje, i wezbrała w nim chorobliwa radość.

- To... dobra wiadomość.

- Wiem - powiedziała Denise. - Mój posag.

- Nie rozumiem.

- Po raz pierwszy zwróciłeś na mnie uwagę na pokładzie statku, kiedy przekazałam ci takie wiadomości, jakie chciałeś usłyszeć, o przejściu przez otwór. - Zaśmiała się niewesoło. - Będąc pragmatyczką, musiałam zdecydować, że jeśli udało się raz, to powiedzie się drugi.

Garamond niepewnie uniósł rękę w ciemności i dotknął jej policzka.

- Denise...

- Przestańmy się bawić, Vance. - Odepchnęła jego rękę i wstała. - Byłam dziecinna, to wszystko.

Później, czekając na sen, który miał z niego zdjąć brzemień tożsamości, Garamond był dotkliwie świadom - po raz pierwszy od miesięcy - że twarda, zła próżnia kosmosu zaczyna się kawałek pod jego łóżkiem. Uczucie trwało w surrealistycznych snach, w których miał wrażenie, że ryzykownie balansuje na brzegu przepaści z czymś w rodzaju moralnego zawrotu głowy ciągnącego go poza skraj.

W drodze na pas startowy Garamond z zaskoczeniem zauważył, że ktoś z jego załogi ma na głowie coś, co można by opisać tylko jako kapelusz chińskiego kulisa. Z zaciekawieniem przyjrzał się młodemu człowiekowi, który zsalutował bez większego entuzjazmu, i zdecydował, że niezwykle nakrycie głowy z pewnością jest osobista, pamiątką z podróży na Daleki Wschód. Minutę później, mijając teren warsztatów, zobaczył dwóch następnych mężczyzn w podobnych kapeluszach, które, jak teraz zrozumiał, zostały uplecione ze świeżej srebrno-zielonej trawy. Starożytny chłopski fason budził w nim niechęć z uwagi na wszystko, co symbolizował w historii Ziemi, i miał nadzieję, że w przeciwieństwie do innych dziwactw nie stanie się krzykiem mody, który czasami omywał pokłady załogi. Kiedy dotarł do poligonu doświadczalnego, połyskujące niskie zielone stożki mu powiedziały, że co najmniej połowa ludzi, którzy wrywali trawę na dalekim końcu pasa startowego, nosi kapelusze.

Cliff Napier czekał na niego przy drzwiach do baraku, jego masywna sylwetka zapełniała wejście.

- Dzień dobry, Vance, Jesteśmy prawie gotowi do lotu.

- Dobrze. - Garamond szacująco popatrzył na pierwszy samolot, po czym skierował spojrzenie na pas.

- Wygląda jak pole ryżowe... dlaczego ludzie noszą te kapelusze?

- Uwierzyłybyś - zaczął z niezmałym spokojem Napier - że dla ochrony przed słońcem?

- Ale dlaczego akurat takie? - Garamond zignorował sarkazm.

- Pewnie dlatego, że są lekkie i nietrudno je zrobić. I taki kształt doskonale się sprawdza, gdy przez cały dzień pra-



## Orbitsville

---

cy słońce wisi prosto nad głową.

- Mimo wszystko mi się nic podobają.

- Nie pracujesz przez cały dzień pod gołym niebem. -  
Tym razem z tomu wielkiego mężczyzny bił wyraźny chłód.

Garamond zwarł się z nim wzrokiem i był wstrząśnięty, czując chwilową falę złości i antypatii. To niemożliwe, pomyślał. Na głos powiedział:

Czego się po mnie spodziewasz? Uważasz, że nadmier-  
nie wykorzystuję siłę roboczą?

- Ze swojego punktu widzenia, nie.

- A z ich punktu widzenia?

- Niebawem zacznie się zimna pora roku. Większość  
załogi zostaje tutaj, pamiętaj. Ludzie woleliby budować domy i  
przetwarzać trawę na ciastka proteinowe.

Garamond zdecydował, że nie odpowie od razu, żeby  
nie zepsuć ich dobrych relacji. Spojrzał w niebo i zobaczył, że  
najszerze żebra jasnego błękitu, niewyraźnie widoczne za  
tarczą Jasności, przeważają na zachodzie. To oznaczało, że lato  
zbliży się do przeciwległego punktu wewnątrz powłoki Or-  
bitsville, a po ich stronie kończy się jesień.

- Ten twój syndrom Orbitsville - odezwał się w końcu. -  
Jednym z pierwszych objawów jest to, że w człowieku wy-  
kształca się niechęć do wykonywania rozkazów, prawda?

- Wydaje się, że do tego doszło.

- W takim razie usiądźmy razem i opracujmy wspólny  
zestaw celów. W ten sposób...

- W ten sposób robilibyśmy wszystko, co chcesz, a ty  
nawet nie musiałbyś wydawać rozkazów - powiedział ostro  
Napier, ale tym razem z uśmiechem.

Garamond odwzajemnił uśmiech.

## Orbitsville

---

- Jak sądzisz, dlaczego to zaproponowałem? - Mały kryzys minął, ale uznał, że miał szczególne znaczenie dla ich przyszłych relacji, i był zdecydowany podjąć odpowiednia działania. - Wieczorem otworzymy butelkę i uporządkujemy nasze pomysły.

- Myślałem, że whisky się skończyła.

- Nie. Jest mnóstwo.

- Pijesz to, co robi Burton?

- Dlaczego nie?

Dziwnie pruderyjna mina przemknęła po ciemnej twarzy Napiera.

- Może później coś zorganizujemy. Chcesz obejrzeć samolot?

- Jasne. - Ruszyli ku czekającej maszynie w beżowym kolorze surowego plastiku. Jednopłat ze skrzydłami umieszczonymi na kadłubie, stojąc z zadartym nosem na płozach, wyglądał jak eksponat z muzeum aeronautyki, ale Garamond nie miał wątpliwości co do jego potencjału. Niezgrabny samolot z pięcioosobową załogą będzie leciał z maksymalną prędkością pięciuset kilometrów na godzinę przez pięćdziesiąt dni, a potem wyląduje, żeby uzupełnić zapasy żywności i wody. Etapy podróży zostały wymuszone przez to, że ponad dwie trzecie ładunku będą stanowić części wymienne, żelazna krowa i inne zapasy.

Garamond przeniósł spojrzenie ze świeżo ukończonej maszyny na inne, na linii produkcyjnej pod gołym niebem, a z nich na czarny prostokątny ekran detektora deltonów na zboczach wzgórz. Poczul lekki skurcz trwogi na myśl, w jak wielkim stopniu jego przyszłość zależała od takich skomplikowanych urządzeń, ale uczucie zostało zatarte przez tęskny głód,

który go trzymał przy życiu i stanowił siłę napędową wszystkich jego działań. To ironia, często myślał w godzinach przed zaśnięciem, że Elizabeth Lindstrom - pozbawiając go wszystkiego, co miało dla niego wartość w poprzednim życiu - samą sobą zapewniła mu jedyny cel jego nowej egzystencji. Dała mu również sposób na jej zakończenie, nie mógł bowiem sobie wyobrazić długiego życia po tym, jak gołymi rękami rozedrze klatkę piersiową prezes, chwyci mozolnie pulsującą czerwień i...

- Wiem, o czym myślisz, Vance.

- Tak? - Garamond spojrział w twarz nieznanego, który do niego przemówił, i nic bez wysiłku skojarzył ją z Cliffem Napierem. Psychiczne szarpnięcie ściągnęło go z powrotem do tego świata, gdzie szedł w kierunku samolotu ze swoim starszym oficerem.

- Nie trzymaj mnie w niepewności. - Usłyszał swoje słowa.

- Sądzę, że w skrytości ducha jesteś zadowolony, iż laboratorium elektroniczne nic da rady zbudować autopilotów. Jeśli zamierzamy pokonać tę odległość, to ze sterem w dłoniach. Chcemy móc powiedzieć ludziom, że dokonaliśmy tego własnymi rękami.

Garamond pokiwał głową. Własnymi rękami, pomyślał. Jeden mężczyzna w grupie stojącej przy samolocie miał stożkowy kapelusz i kiedy się odwrócił, żeby się przywitać, Garamond z zaskoczeniem zobaczył mokrą od potu twarz Troya Litmana, starszego kierownika produkcji. Litman był niskim grubaskiem, który zawsze kompensował swoje fizyczne niedoskonałości nadzwyczajną troską o schludność munduru i ubrań cywilnych. Był jednym z ostatnich, po których Gara-

mond by się spodziewał, że włożą na głowę prymitywny kapelusz upleciony z trawy. Garamond zaczął wątpić w swoje wcześniejsze przekonanie, że stożkowy fason miał znaczenie symboliczne, a nie praktyczne.

- Samolot wygląda dobrze - powiedział. - Jest gotów do startu?

- Lepiej być nic może.

Jak kapelusz, odpowiedź kłóciła się z wizerunkiem dawnego Litmana.

- To znaczy?

- Wyluzuj, Vance. - Litman wyszczerzył zęby w kolumnie cienia rzucanego przez kapelusz. - Zabierze cię tak daleko, jak będziesz chciał.

- Jestem gotów oderwać maszynę od ziemi, panie kapitanie - odezwał się w samą porę Braunek, stojący z drugiej strony grupy.

- Jesteś z niej zadowolony?

- Jeśli komputer jest zadowolony, ja jestem zadowolony, panie kapitanie. W każdym razie, wczoraj trochę pokołowałem i sprawiała się świetnie.

- W takim razie ruszaj. - Garamond patrzył, jak młody człowiek wspina się do kokpitu i zapina pasy. Parę sekund później śmigła zaczęły się obracać, napędzane bezdźwięcznie przez silniki rezonansu magnetycznego, i gdy obroty wzrosły, na pulpicie rozbłysły światła. Ludzie odeszli od dysz, brygady pracujące na dalekim końcu pasa rozproszyły się. Samolot ruszył i zabrzmiało kilka okrzyków podekscytowania, co oznaczało, że poza komputerami i automatycznymi urządzeniami ludzie też uczestniczyli w jego powstaniu.

Bez ładunku statek powietrzny nie potrzebował całego

## Orbitsville

---

pasa, żeby się wzbić w powietrze. Przeleciał w linii prostej około kilometra, stopniowo zwiększając wysokość, zawsze nad cieniem pomykającym po trawie bezpośrednio pod nim, potem wszedł w leniwy skręt i okrążył obóz. Zdawało się, że bezgłówny lot nie wymaga wysiłku, jak szybowanie mewy na bryzie, ale przy trzecim okrążeniu Garamond pomyślał, że coś małego oderwało się od samolotu i trzepocząc poleciało ku ziemi.

- Co to było? - zapytał Napier, oceniając oczy. - Widziałem, że coś spadło.

- Nic nie spadło - zapewnił bardzo szybko Litman.

- Ja też coś widziałem - wtrącił Garamond. - Lepiej zapakujmy medyka do ciężarówki, po prostu na wszelki wypadek.

- To nic nie da, musieliśmy wyjąć skrzynię biegów.

- Co? - Garamond z niedowierzaniem spojrzał w niepokojną, ale wyzywającą twarz Litmana. - Przecież uzgodniliśmy, że ciężarówka ma być w gotowości podczas lotów próbnych. To jedna z podstawowych procedur.

- Chyba zapomniałem.

Garamond poderwał rękę, zrzucając Litmanowi kapelusz.

- Nie jest pan wieśniakiem - powiedział szorstko. - Nie jest pan kulisem. Jest pan oficerem Starflight i zamierzam dopilnować, żeby...

- Braunek wraca - przerwał mu ktoś z grupy.

Garamond skierował uwagę na samolot. Pilot nie próbował albo nie był w stanie ustawić się w linii z pasem i leciał równolegle do niego, zauważalnie się wznosząc i opadając, gdy walczył z wiatrem. Garamond ocenił, gdzie wyładuje i lekko

się odprężył, gdy zobaczył, że nastąpi to spory kawałek na północ od budynków i namiotów, które się skupiały wokół kadłuba Bissendoru. Samolot zmniejszył wysokość lekko przechylony, ale całkiem dobrze trzymał się kursu.

- Mówiłem, że nie ma się o co martwić - powiedział Litman z wyrzutem w głosie.

- Lepiej, żebyś miał rację. - Garamond nie odrywał oczu od maszyny. Jej przechył był teraz bardziej widoczny, ale Braunek zbliżał się do linii środkowej oczyszczonego pasa i Garamond miał nadzieję, że jest dość dobry w swoim fachu, by robić to celowo. Wiedział jednak, iż w każdej katastrofie lotniczej jest. taka chwila, ściśle określona chwila, kiedy widz na ziemi jest zmuszony pogodzić się, że pilot przegrał swoją walkę z prawami aerodynamiki i że się rozbije. Samolot skręcił, jakby prawe skrzydło uderzyło w niewidzialny słup, i runął z niebezpiecznego nieba w kierunku ziemi. W kierunku, co Garamond nagle zrozumiał, czarnego prostokąta detektora deltonów na zboczu wzgórza. Oddech uwiązł mu w gardle na kilka ostatnich sekund, kiedy skazana na zgubę maszyna, kiwając skrzydłami, stała się sylwetką na tle już nie nieba, lecz ziemi, a potem się zderzyła z ekranem wykrywacza. Dopiero gdy dotarł do niego trzask, otrząsnął się z osłupienia i zaczął biec.

\*

Pilot przeżył dzięki temu, że lekkie ramy ekranów detektora pochłonęły energię kinetyczną. W chwili zderzenia niemal łagodnie złożyły się wokół samolotu, rozciągając się i skręcając, a potem wlokąc za nim jak pędy winorośli. Gdy Garamond dotarł na miejsce katastrofy, inni już pomogli Braun-

## Orbitsville

---

kowi wydostać się z wraku i posadzili go na trawie. Otaczali go technicy, którzy w małym baraku obsługiwali urządzenia podłączone do ekranów, i jeden spryskiwał szczeliwem tkanowym ranę na jego nodze.

- Cieszę się, że wyszedłeś cało - powiedział Garamond z wrażeniem, że jest tu niepotrzebny, - Jak się czujesz?

Braunek pokręcił głową.

- W porządku, ale wszystko inne jest do chrzanu. - Spróbował się podnieść z ziemi.

Garamond pchnął go z powrotem.

- Nic ruszaj się. Niech cię obejrzą medycy. Co się stało?

- Odpadł środkowy panel prawego skrzydła.

- Tak po prostu?

Braunek pokiwał głową.

- Zabrał ze sobą część układu sterowania silnikiem, w przeciwnym wypadku wylądowałbym Jak trzeba.

Garamond skoczył na równe nogi.

- Litman! Znajdź ten panel i przynieś go tutaj. Szybko!

Litman, który właśnie się zjawił na miejscu zdarzenia, zrobił zirytowaną minę, ale odwrócił się bez słowa i pobiegł w dół zbocza. Garamond został i rozmawiał z Braunkiem, dopóki nie przybył medyk, żeby go zbadać, a potem obejrzał zniszczony ekran. Gdzieś w środku rumowiska silnik uszkodzonego samolotu wciąż emitował impulsy elektromagnetyczne i nieszkodliwe iskry pełgały po metalowej ramie niczym ognie świętego Elma. Tam, gdzie dochodziło do przypadkowego rezonansu, powstawała słaba silu napędowa i połamane rozporzki konstrukcji podrygiwały jak odnóża umierającego owada. Garamond uznał, że zniszczenia wyglądają na nieodwracalne, ale mimo to postanowił porozmawiać z O'Haganem. Oficer

## Orbitsville

---

naukowy potwierdził, że ekran nadaje się tylko na źródło materiałów.

- Kiedy będziecie mieć drugi?

- Może za tydzień - odparł O'Hagan. - Tym razem postawimy na konstrukcję modułową. To oznacza, że już za parę dni niektóre elementy będą sprawne, i powiększymy powierzchnię do użytecznej wielkości zanim twoje samoloty będą gotowe do startu.

- Tak zróbcie. - Garmond zostawił swojego naczelnego oficera naukowego, ponuro patrzącego na rumowisko, i poszedł na dół na spotkanie z grupą, która niosła urwaną część skrzydła. Ludzie położyli przed nim plastikowy płat i cofnęli się bez słowa. Garamond przebiegł wzrokiem po panelu i natychmiast spostrzegł, że na dwóch dłuższych krawędziach, które powinny zostać solidnie przy-spawane pod nakładkami, są tylko spawy pozycjonujące.

Odwrócił się w stronę Litmana.

- No tak... kto był odpowiedzialny za przyspawanie tego płata i kto miał to skontrolować?

- Trudno powiedzieć - odparł Litman.

- Trudno powiedzieć?

- Tak właśnie powiedziałem.

- W takim razie proszę to sprawdzić na kartach pracy - polecił Garamond z obraźliwą uprzejmością.

- Jakich kartach pracy? - Litman, nagle zmęczony tym poganiem, uniósł czerwoną, pełną urazy twarz. - Gdzie się pan podziewał, panie Garamond? Czy nikt panu nie powiedział, że mamy tylko szcątkowy warsztat? Czy nikt panu nie powiedział, że nadchodzi zima i że po prostu nie stać nas na to, żeby marnować czas i materiały na te pańskie latające zabaw-



ki?

- Podejmowanie decyzji nie wchodzi w zakres pańskich kompetencji.

- Oczywiście, że nie! - Czerwień rozlała się w oczach Litmana, gdy spojrzał na gromadzący się tłum. - Jestem tylko robotnikiem, Jestem po prostu jednym z tych roboli, którzy muszą bez cholernego sprzętu zrealizować pańskie wydumane fantazje. Ale chyba pan o czymś zapomina, panie Garamond. Człowiek umiejący używać swoich rak jest wart dwudziestu dowódców Starllight, którzy nie mają czym dowodzić.

- Co pan robi, jeśli postanowimy nie ukończyć pańskich samolotów? - Za Litmanem podniósł się niski pomruk zaciekawienia.

Cliff Napier wkroczył na arenę.

- Jak na tak zwanego robotnika - powiedział - dużo robisz gęba, Litman. Proponuję, żebyś...

- W porządku - wtrącił Garamond, kładąc rękę na ramieniu Napiera. Podniósł głos, żeby go usłyszeli wszyscy w okolicy. - Wiem, że większość z was myśli o osiedleniu się tutaj i chce w najlepszy możliwy sposób wykorzystać zaistniała sytuację. Wiem, że chcecie sobie zapewnić możliwość przetrwania, zanim pogoda się zmieni. Co więcej, podzielał wasze zdanie o dowódcach Starllight, ale pozwólcie, że jedno wam powiem. Odleczę stąd z flotą samolotów i samoloty będą zbudowane jak trzeba, zgodnie z najwyższymi wymaganiami. Jeśli się przekonam, że działają gorzej niż powinny, po pomstujecie zawrócę i przylecę prosto do was. Dlatego jedynym sposobem, podkreślam, jedynym sposobem, żeby się mnie pozbyć na stałe, jest zbudowanie porządnych samolotów. I nie przychodźcie do mnie ze skargami na terminy czy niedostatek sprzętu. Nie

## Orbitsville

---

zapominajcie, widziałem jak umiecie pracować, kiedy wam zależy. Jaki termin mi wyznaczycie, kiedy szykowaliśmy się do wybicia dziury w środku Beachhend? - Garamond umilkł i zmiażdżył spojrzeniem stojącego najbliżej człowieka.

- Niezłe zakończenie - szepnął Napier. - O ile jeszcze mają dumę.

- Pal diabli - mruknął ktoś z tylnych szeregów. - Równie dobrze możemy skończyć tę robotę tak, jak kiedyś większość innych zadań. - Rozległ się pomruk generalnej aprobaty i tłum po chwili wahania zaczął się rozchodzić. Reakcja nie była tak entuzjastyczna jak Garamond mógłby sobie życzyć, ale czuł ulgę. że jego decyzja przeważała nad zdaniem Litmana. Kierownik produkcji odwrócił pozbawioną wyrazu twarz, żeby odejść wraz z innymi.

- Troy - odezwał się do niego Garamond - możemy o tym porozmawiać na osobności.

Litman wzruszył ramionami.

- Jestem zadowolony, że poszło tak, a nie inaczej.

- Naprawdę? Kiedyś byłeś znany jako najlepszy kontroler produkcji we flocie DEG u.

- To wszystko należy do przeszłości, Vance. Teraz mam na głowie ważniejsze rzeczy.

- Ważniejsze niż ludzkie życie? Braunek mógł zginąć przez tę fuszerkę.

- Przykro mi, że młody Braunek został ranny, i cieszę się, że nic mu nic będzie. - Litmon podszedł do Garamonda. - Ludzie stanęli za tobą z tego powodu, że dałeś im Orbitsville, i to jest dla nich ważne. Rozproszą się po Orbitsville, Vance. Ten obóz przetrwa rok, może dwa lata, o później najprawdopodobniej zostanie opuszczony.

## Orbitsville

---

- Rozmawialiśmy o katastrofie samolotu.

- Już nie jesteśmy zjednoczeni. Każdy, kto powierza swoje życie maszynie, której nie zbudował własnymi rękami i osobiście nie sprawdził, jest głupcem. Powinieneś

O tym pamiętać. - Litman się odwrócił i ciężkim krokiem ruszył na dół. pewnie z zamiarem odzyskania swojego kapelusza. Garamond patrzył za nim. Zakłopotany i przepełniony niechęcią, jaką jeden człowiek zawsze czuje do drugiego, który wydaje się mieć lepszy kontakt z realiami danej sytuacji. Podczas południowego posiłku głęboko rozmyślał nad słowami Litmana i w konsekwencji postanowił mianować się jednoosobowym zespołem inspekcji i kontroli jakości, biorąc na siebie pełną odpowiedzialność za stan swoich samolotów.

Narzucone zadanie - obejmujące wizualne i fizyczne kontrolowanie każdego aspektu produkcji zajmowało mu dziewięć dziesiątych czasu pracy, i przyniosło odkrycie, że nie utracił zdolności zasypiania bez alkoholu otumaniającego jego organizm.

Garamond leżał rozpostarty na ogonie siódmego samolotu, sprawdzając zawiasy steru wysokości, kiedy ktoś go klepnął po ramieniu. Było późno gorące popołudnie - w tej części Orbitsville temperatura nadal rosła w ciągu dnia, a potem gwałtownie spadała w nocy - i miał nadzieje, że bez przeszkód skończy to zadanie. Nie wysunął głowy z żywicznej ciemności luku inspekcyjnego, ale poczuł drugie, bardziej nagłe klepnięcie. Usiadł i stwierdził, że patrzy w pomarszczoną twarz O'Hagana. Naukowiec nigdy nie wyglądał na szczęśliwego, ale teraz jego mina wyrażała większą ponurość niż zwykle, i Garamonda ogarnęło zatroskanie.

Wyłączył światło inspekcyjne i zsunął się na ziemię.

## Orbitsville

---

- Coś się stało, Dennis?

O'Hagann z niechęcią skinął głową.

- Zarejestrowaliśmy cząstkę delta.

- Zarejestrowaliście... - Garamond przycisnął grzbiet dłoni do czoła, starając się zapanować nad rudością. - Czy właśnie nie o to wam chodziło? Co cię gryzie?

- Odbudowaliśmy tylko około osiemdziesięciu procent oryginalnego ekranu.

- I?

- To się stało za szybko, Vance. Porę razy sprawdziłem obliczenia Mike'a Moncastera i nie mam do nich zastrzeżeń. Mając dwa kompletne ekrany o powierzchni pięciuset metrów kwadratowych, powinniśmy czekać osiemdziesiąt czy dziewięćdziesiąt dni, żeby...

- Dopisało nam szczęście - przerwał mu ze śmiechem Garamond, zdumiony, gdy sobie to uświadomił, że wciąż pamięta, jak się śmiać. - Właśnie to pokazuje, że prawa prawdopodobieństwa są w końcu zobowiązane dać człowiekowi szansę, śmiało, Dennis, sam to przyznaj.

O'Hagan pokręcił głową z ponurym przekonaniem.

- Prawa prawdopodobieństwa nie są do niczego zobowiązane, przyjacielu.

\*

Ósmy samolot wystartował o brzasku, gdy powietrze było chłodne i gęste, i wznosił się miarowo na tle błękitnych luków nieba Orbitsville. Na uzgodnionej wysokości przelotowej pięciuset metrów niezdarne ptaki o sztywnych skrzydłach wyrównały lot i nawiązały krótką łączność z innymi, wymienia-

## Orbitsville

---

jąc impulsy modulowanego świata. Samoloty ustawiły się w formacji V i zrobiły jedno okrążenie nad bazą. ich cienie padały pionowo na resztki *Bissendorfa*, metaliczne jajo. które przyczyliło się do ich powolnych, bolesnych narodzin. Później bez dalszej zwłoki obrały kurs w kierunku pryzmatycznych mgieł, które leżały na wschodzie.

*Dzień 8. Szacowana odległość: 94 350 kilometrów.*

Tytułem wstępu: postanowiłem unikać skrótów tradycyjnie stosowanych przez kronikarzy - ich celem jest skracanie koniecznego zadania, podczas gdy moim jak największe przedłużanie. (Może określenie "dziennik pokładowy" jest lepsze niż "kronika", ale przecież dziennik jest zapisem wypadków podróży, podczas gdy moje codzienne zapiski prawdopodobnie będą dotyczyć tylko pseudowypadków w kontinuum czystej monotonii. ) (Jeśli nie skończę z tym dzieleniem włosa na czworo w kwestii precyzyjnego znaczenia słów, nigdy nie wyjdę poza pierwsze zdanie, muszę jednak zaznaczyć, że nawiązanie do skrótów nie jest do końca zgodne z prawdą. Zamierzam używać litery "O" zamiast pisać za każdym razem „Orbitsville”. O jest znacznie krótsze niż Orbitsville, ale to czysty przypadek - ważniejsze, że również lepiej wyraża rzeczywistość. )

Cliff Napier miał rację, kiedy powiedział, że się cieszę, iż wyprodukowanie autopilotów wykracza poza nasze możliwości materiałowe. Doszedłem do wniosku, że sterowanie ręczne da nam zajęcie i pomoże zabić nudę. Ale nie zadziałało w ten sposób. Jest nas pięciu na pokładzie i zmieniamy się przy sterach zgodnie z grafiką, który został ułożony w taki sposób, żeby dwaj najbardziej doświadczeni piloci - Braunek i ja - przebywali w kokpicie o świcie i o zmierzchu. Tylko wtedy

## Orbitsville

---

sterowanie samolotem staje się trudniejsze niż prowadzenie samochodu. Ponieważ dzień i noc są powodowane przez pasma światła i ciemności przesuwane się po ziemi z prędkością orbitalną, nie ma świtu ani zmierzchu z prawdziwego zdarzenia i zachodzą wtedy pewne gwałtowne procesy meteorologiczne.

„Rankiem” zimne powietrze, które miarowo opadało przez godziny, nagle się znowu rozgrzewa i podnosi, wywołując różne zjawiska atmosferyczne, od przejrzystego powietrza po ulewne deszcze. O zmroku sytuacja się odwraca, a przy tym pogorszą, ponieważ powietrze, które stygnie i zaczyna opadać, zderza się z prądami wnoszącymi z wciąż rozgrzanej powierzchni.

Wszystko to sprawia, że przez dwu półgodzinne okresy trzeba używać drążka sterowego. To za mało. Jak się obawiam, żeby nas zająć przez następne trzy do czterech lat, chociaż my w samolocie prowadzącym mamy nieco więcej szczęścia niż pozostali pod względem posiadania dodatkowej pracy. Na przykład musimy monitorować nawigację inercyjną, która pomaga nam określić położenie. Na pierwszy rzut oka to zwyczajna czarna skrzynka, skonstruowana przez O'Hagana i jego zespół, zawierająca monomaniakalny elektroniczny mózg, który myśli wyłącznie o podanym mu zamiarze. Za każdym razem, gdy zaczynamy zbaczać z kursu, licznik cyfrowy każe nam odbić w prawo albo w lewo, i reszta eskadry bierze z nas przykład.

Do czarnej skrzynki podłączony jest detektor deltonów o powierzchni metra kwadratowego, który za rok czy dwa, gdy znacznie się zbliżymy do Beachhead, powinien zacząć wyłapywać cząstki delta i umożliwić nam potwierdzenie kursu.

## Orbitsville

---

Czasami go obserwuję - tak na wszelki wypadek albo po prostu dla zabicia czasu - chociaż w zasadzie nie ma ku temu żadnej potrzeby. Automatycznie podałyby nowy namiar do nawigacji, a poza tym jest również wyposażony w sygnalizator dźwiękowy. Mimo wszystko go obserwuję... i marzę o spotkaniu z E. L. Żadnych skrótów - Elizabeth Lindstrom.

*Dzień 23, Szacowana odległość: 278. 050 kilometrów.*

Mamy za sobą może jedną czterdziestą podróży, pokonawszy odległość równą w przybliżeniu siedmiokrotnemu okrążeniu Ziemi. Bez międzylądowania. Inne porównanie mówi, że w ciągu dwudziestu trzech dni lotu przebyliśmy dystans równy temu, jaki światło pokonuje w ciągu jednej sekundy. To przygnębiające dla kogoś, kto był przyzwyczajony do arthuriańskiego lotu z prędkością wielokrotnie wyższą od świetlnej. Bardziej pozytywny aspekt jest luki, że dowiadujemy się całkiem sporo o O.

Nie wiedzieć czemu zawsze myślałem, że tutaj jest tylko i wyłącznie nudna preria, ale się myliłem. Może od tego się zaczęło, od trawiastych równin, eony temu, i późniejsza działalność wiatru doprowadziła do powstania gór, które widzieliśmy. Nie są zbyt wysokie, nie więcej niż kilkaset metrów, ale powierzchnia równa pięciu miliardom kul ziemskich jeszcze nie została zbadana, więc kto może powiedzieć, co się na niej znajduje? W każdym razie są góry, niektóre zwieńczone śniegiem, ponieważ wlatujemy do sektora zimowego, i rzeki, i niewielkie morza. Nasza formacja przelatuje nad nimi prosto jak strzeł, cicho i jednostajnie, i czasami widzimy przez lunety stada pasących się zwierząt. Może osadnicy nic będą zdani wyłącznie na białko roślinne.

Niespodziewane urozmaicenie terenu sprawia, że po-

dróż jest trochę łatwiejsza do zniesienia, ale po jakimś czasie wszystkie morza stają się takie same, wszystkie wzgórza wyglądają podobnie...

Kiedy wcześniej napisałem, że nasza piątka jest szczęśliwsza niż pozostali, gdyż ma więcej do zrobienia, nie myślałem o członkach personelu naukowego. Sammy Yamoto w czwórce wydaje się w pełni zajęty odczytami astronomicznymi, łączne z precyzyjnymi pomiarami szerokości pasm dnia i nocy, gdy je przecinamy - albo gdy one przecinają nas. Właśnie mówi, że nawet z improwizowanym sprzętem mógłby prawdopodobnie podać nam namiar na Beachhead z dokładnością do jednego stopnia. Podejrzewam, że wymusza swoją kolej przy sterach, żeby mógł kontynuować swoją pracę. Mam nadzieję, że nie o to chodzi, ponieważ jest jednym z najmniej doświadczonych pilotów i potrzebuje praktyki. Chociaż pięć osób na pokładzie to wystarczająco liczna załoga, liczba może zostać zredukowana na przykład przez chorobę, a ja nie uwzględniłem nieprzewidzianych przystanków. Każdy statek skazany na długie uziemienie zostanie ogołocony z części i pozostawiony. Razem z załogą.

Cliff Napier w dwójce zapełnia wolny czas, pomagając Denise Serze w seriach eksperymentów powiązanych z rejestrowaniem promieniowania i fluktuacji grawitacyjnych.

Czasami - prawdę mówiąc, całkiem często, żałuje, że Denise nie leci w moim samolocie. Mogłem to załatwić na samym początku, oczywiście, ale chciałem grać z nią fair. Odrącając ją tamtej nocy czułem, że najmniej, co mogę zrobić, to jej unikać. Ale teraz... Teraz, kiedy śnię o Aileen i Chrisie, widzę ich martwych, co oznacza, że zaczynam się godzić z ich śmiercią, i z tą akceptacją moje pragmatyczne, wiarołomne ciało



zdaje się nominować następczynię Aileen. Wstydzę się tego, ale może mój pociąg nie jest tak czysto fizyczny, jak przypuszczałem.

Na pokładzie jest Delia Liggett, która była kierowniczką aprowizacji im „Bissenhofie”, i dwóch pozostałych mężczyzn ma z nią dobre praktyczne stosunki - ja jednak nie mogę wypracować większego zainteresowania systemem zmianowym w koi. Jestem przekonany, że nie jest to dziwną pozostałością podejścia kapitana do załogi, nie jest to myśl, że powinienem mieć ją wyłącznie dla siebie, ponieważ mam więcej srebrnych sznurów na mundurze.

Poza uzgodnionymi celami tej misji, prawdopodobnie z pewną pomocą narastającego wpływu Wielkiego O, zupełnie zarzuciłem dawną strukturę dowodzenia. Pamiętam jednak uczucie pewnego zaskoczenia, gdy zgłosiło się trzydziestu dziewięciu ochotników gotowych ze mną lecieć i poznałem skład tej grupy. Zakładałem, że wszyscy będą oficerami, ludźmi nastawionymi na zrobienie kariery, zdecydowanymi spokojnie podejść do epizodu *Bissendorfa*. Stwierdziłem, że ponad połowę siedemdziesięciu ochotników stanowią szeregowi członkowie załogi. Tych pozostałych po selekcji, która zmniejszyła liczbę do wymaganej, uważam i traktuję dokładnie jak równych sobie,

O czyni nas równymi sobie.

W porównaniu z O jesteśmy zredukowani do podstawowych ludzkich elektronów, zbyt małych, żeby robić jakąkolwiek różnicę w wielkości.

*Dzień 54. Szacowana odległość: 620 000 kilometrów.*

Zakończyliśmy pierwsze zaplanowane lądowanie i znowu lecimy. Po pięćdziesięciu dniach w powietrzu myśl o

trzech dniach pobytu na ziemi była porywająca. Usiedliśmy w formacji na równinie, ośmiu w pełni kompetentnych pilotów za sterami, i praktycznie cały czas spędziliśmy na zbieraniu trawy i ładowaniu jej do maszyn przetwórczych. Wokół panuje to, co w O uchodzi za zimę. Słońce wciąż świeci prosto nad głową, co jest dość naturalne, ale dni są krótsze, temperatura nie wzrasta tak wysoko i ma znacznie więcej czasu, żeby spaść w nocy. Skutkuje to w zasadzie niczym więcej niż rzeźkością powietrza za dnia, chociaż noce są znacznie chłodniejsze. To sprawia, że się zastanawiam, dlaczego projektanci zawracali sobie głowę wbudowaniem mechanizmu powodującego zmianę pór roku. Jeśli koncepcja galaktycznego hotelu jest prawdziwa, przypuszczalnie projektanci przeprowadzili badania inteligentnych form życia w swoim regionie przestrzeni, żeby zobaczyć, jakie są wymogi ich środowisk. I jeśli to prawda, większość zamieszkaných planet musi przypominać Ziemię, łącznie z lekkim nachyleniem osi i następstwem pór roku. Czy z jakiegoś niepojętego dla mnie powodu może to być uniwersalnym warunkiem wstępnym rozwoju inteligencji? )

Wydaje się, że podczas dalszych przystanków pogoda nic będzie stanowić problemu - w przeciwieństwie do naszej kondycji fizycznej. Proste zadanie cięcia i zbierania trawy okazało się dla wielu z nas wyczerpujące i teraz wprowadzamy programy ćwiczeń, które można wykonywać na pokładzie samolotu.

*Dzień 86. Szacowana odległość; 1 038 000 kilometrów.*

Po pokonaniu ponad miliona kilometrów zaczynało wyglądać na to, że podróżujemy szybciej niż przewidywaliśmy, ale wystąpiły pierwsze problemy natury mechanicznej. Prawe śmigło w maszynie numer 7 zaczęło wykazywać zmę-

czenie. Powoduje wibracje podczas maksymalnej prędkości, dlatego musieliśmy zwolnić o dwanaście kilometrów na godzinę. Spadek prędkości jako taki nie jest zbytnio znaczący, ponieważ może go wynagrodzić przedłużona żywotność silnika, ale zatrważające jest to, że panwie wału napędowego we wszystkich samolotach miały być zrobione ze stopu magne-smaru stopnia E. To niepojęte, żeby panew wykonana zgodnie z tą specyfikacją zaczęła wykazywać zmęczenie zaledwie po osiemdziesięciu trzech dniach bezustannej pracy -i przyszło mi na myśl podejrzenie, że Litman mógł użyć magnesmaru D albo nawet C. (Nie wierzę, że zrobiłby to z czystej złośliwości, ale jeśli brakowało sztab metalu najwyższej klasy, a ja bym to odkrył, mógłbym rozkazać przerobienie projektu albo roze-branie głównych maszyn *Bissendorfa*, żeby wytoczyć z nich panwic. Tak czy inaczej, Litman miałby na głowic mnóstwo dodatkowej pracy, a człowiek, jakim się stal. nie byłby tym zachwycony. ) Obecnie musimy uważnie obserwować panwie wału, ponieważ nie mamy zapasów stopu magnesmaru, a gdybyśmy nawet mieli, nic moglibyśmy wyprodukować części z powodu braku odpowiedniego sprzętu. Juk archeolodzy wkopujący się coraz głębiej w przeszłość, tuk my się cofamy przez różne poziomy możliwości technicznych.

Tymczasem lot trwa bez przeszkód. Nad preriami, jeziorami, górami, rzekami, lasami - a potem znowu nad tym samym. Milion kilometrów jest niewidocznym ułamkiem ob-wodu O, a jednak oglądanie ich w ten sposób mnie oszałamia. W szkole się nauczyłem, że mózg człowieka nie jest w stanie pojąć, co oznacza rok świetlny - teraz wiem, że nie możemy pojąć nawet sekundy świetlnej. Na razie w czasie tej podróży okrążyliśmy Ziemię dwadzieścia pięć razy, ale moje serce i

## Orbitsville

---

umysł pozostały zawieszony, jak ptaki w sieci, gdzieś nad trzecim czy czwartym pasmem górskim. Wpadły na barierę zrozumienia, podczas gdy moje ciało podróżuje dalej, nie bacząc na to, jaką cenę przyjdzie mu zapłacić.

*Dzień 93, Szacowana odległość: 1 080 000 kilometrów.*

Jak Litman, jak inni, tak i ja staję się innym człowiekiem,

Czasami mija mi cały dzień bez myślenia o Elizabeth Lindstrom. I mogę myśleć o Aileen i Chrisie bez doświadczenia zbyt wielkiego bólu. Jest tak, jakbym ich zamknął w mentalnej szkatułce. Mogę ich wyjmować, oglądać, odczuwać przyjemność - a potem wkładać z powrotem i zamykać wieczko. Przyszło mi na myśl, że życie ukochanych należy rozważać algebraicznie - zestawiać dodatnia sumę szczęścia i zadowolenia z wartością ujemną reprezentowaną przez ból i śmierć. Ten proces, nawet dla bardzo krótkiego życia, daje wynik dodatni. Chciałbym przedyskutować tę koncepcję z kimś, kto mógłby ją zrozumieć, ale Denise jest w innym samolocie.

*Dzień 109. Szacowana odległość: 1 207 000 kilometrów.*

Straciliśmy samolot Taymana, numer sześć. Stało się to podczas lądowania na nasz drugi planowany przystanek, gdy siadaliśmy w formacji na idealnie wyglądającej równinie. Niewidoczna w trawie skalna ostroga zniszczyła płożę, wskutek czego maszyna przechyliła się na skrzydło. Nikt. nie został ranny, ale szóstka została spisana na straty.

(W przyszłości będziemy lądować kolejno na śladach zrobionych przez poprzednie samoloty, żeby zmniejszyć ryzyko powtórzenia podobnych incydentów. ) Tayman i jego załoga - w tym dwie kobiety - z filozoficznym spokojem podeszli do tego niefortunnego wypadku i spędziliśmy dodatkowy

dzień na ziemi, żeby ich przygotować na przedłużony pobyt. Wśród części, które zabraliśmy z szóstki, były panwie i jedną natychmiast zainstalowaliśmy w prawym silniku siódemki.

Przypuszczam, że to zdarzenie można uważać za coś w rodzaju premii - flota odzyskała maksymalną prędkość - ale trudno jest się pogodzić ze stratą bezustannego optymizmu Jacka Taymana. Co dziwne, jego samolotu najbardziej brakuje mi w nocy. Nie mamy wysokościomierzy radiowych ani ich odpowiedników, ponieważ warunki w O nie pozwalają na transmisję elektromagnetyczną, a nietypowe środowisko sprawia, że odczyty ciśnienia z barometru są zbyt niepewne, więc wykorzystujemy starożytny pomysł. W każdym samolocie są dwa nachylone reflektory punktowe, po jednym na obu końcach kadłuba. Wiązka lasera dziobowego ma kolor czerwony, a rufowego biały, i gdy obie się krzyżują, tworząc na ziemi jedną różową plamę, to oznacza, że maszyna leci na pięćset metrach. Patrząc w dół w ciemności, widzimy naszą formację V sunącą po ziemi, godzina po godzinie, eskadrę milczących księżyców, i zniknięcie jednego z nich jest aż nazbyt oczywiste.

*Dzień 140. Szacowana odległość: 1 597 000 kilometrów.*

W ciągu dziesięciu dni problemy z panwiami wystąpiły w pięciu samolotach i eskadra zwolniła do pięćdziesięciu kilometrów na godzinę. Prognozy mówią, że ten stan się pogorszy, z progresywnym spadkiem prędkości. Wszyscy są przerażeni, ale chyba wykrywam skrywaną ulgę na myśl o możliwości, że tak wiele maszyn padnie w tym samym czasie, tym samym zapewniając powstanie większej i silniejszej wspólnoty. Omówiłem sytuację z Cliffem Napierem przez światłofon i odniosłem wrażenie, że nawet on upada na duchu.

Jedynym „optymistycznym” aspektem tej sytuacji jest to, że problemy z panwiami wystąpiły w samolotach od numeru trzeciego do ósmego, co odzwierciedla kolejność, w jakiej schodziły z linii produkcyjnej. Pierwszy i drugi statek - mój i Napiera - są w porządku i to może oznaczać, że Litman miał dość metalu stopnia E na nasze panwie. Umieściłem słowo optymistyczny w cudzysłowie, ponieważ po zastanowieniu doszedłem do wniosku, że w tym kontekście po prostu nie jest stosowne. Ograniczenie do dwóch samolotów na tym etapie misji będzie katastrofalne, a tylko naprawdę porządne zaplecze techniczne pozwoliłoby nam odzyskać siły. Zaplecze, które nic jest dostępne.

Pisze w nocy, głównie dlatego, że nie mogę spać, i stwierdzam, że to utrudnia walkę z poczuciem porażki. Wielkie O jest zbyt...

Garamond odłożył rysik, gdy Joe Braunek, który pełnił wachtę w kokpicie jako drugi pilot, pojawił się w przejściu obok jego koi. Twarz młodego człowieka kryła się w cieniu, ale oczy, okolone ciemnymi łatami jak ślepia pandy, jaśniały nie-normalną ilością bieli.

- O co chodzi, Joe? - Garamond zamknął dziennik.

- Panic kapitanie...

- Vance.

- Przepraszam, wciąż... Przyjdiesz na chwilę do kabiny, Vance?

- To prowadzi nas do punktu wyjścia. Co się stało? Próbuję odpocząć i nie chcę wstawać bez ważnej przyczyny.

- Są światła, których nie umiemy wyjaśnić.

- Na którym pulpicie?

Braunek pokręcił głową.

## Orbitsville

---

- Nie takie światła. Na zewnątrz, blisko horyzontu. Wygląda na to, że przed nami jest jakieś miasto.

Z początku światła budziły rozczarowanie. Błękitne i ciemniejsze łukowate pasma, które oznaczały dzień i noc w innych częściach Orbitsville, w miarę opadania po wschodnim nieboskłonie stawały się coraz węższe i coraz bardziej zbite, stapiając się w opalizująca mgiełkę tuż nad zakrzywionym czarnym horyzontem. Nawet kiedy Braunek pokazał, gdzie patrzeć, Garamond musiał przez kilka sekund lustrować wzrokiem ciemność, zanim dostrzegł cienką linię opalizującej jasności, jak cięcie brzytwą tuż poniżej skraju kartonowej sylwetki.

Delia Ligett, która siedziała za sterami, uniosła ku niemu twarz.

- Czy jest jakaś szansa, że...?

- To nie Beachhead - powiedział Garamond. - Postawmy sprawę jasno.

- Myślałam, że może źle oceniliśmy odległość.

- Przykro mi. Delio. Odległość, jaką przebył *Bissendorf*, obliczyliśmy w przybliżeniu, ale nie z aż takim błędem. Możesz zacząć wypatrywać Beachhead za parę lat. - W kabinie zapadła cisza, maćcona tylko przez jednostajny szum powietrza za burta samolotu.

- W takim razie co to jest?

Garamond uparcie starał się tłumić podniecenie.

- Wygląda jak odbicie nieba na jeziorze.

- Niewłaściwy kolor - powiedział Braunek. podając mu lornetkę. - Proszę spojrzeć.

- To z pewnością osiedle obcych - zgodził się Garamond, gdy przez szkła zobaczył paciorki światła dalekiego

## Orbitsville

---

miasta. - Tak daleko od wejścia do sfery...

W tej chwili usłyszeli głos Napiera ze światła fonu.

- Mówi dwójka, czy to Vance'a widzę w kabinie?

- Słyszę cię, Cliff.

- Widzisz to, co my?

- Tak. A czy ty się zastanawiasz nad tym, nad czym ja się zastanawiam?

Napier się zawahał.

- Chodzi ci o to, co robi tu miasto obcych? Przypuszczam, że przybyli do Orbitsville bardzo dawno temu. Może tak daleka wędrówka zajęła im setki czy tysiące lat.

- Ale dlaczego mieliby zadawać sobie ten trud? Widziałeś, jak wyglądu Orbitsville, jedna część jest równie dobra jak każda inna.

- Dla nas, Vance. Obcy mogą postrzegać to w odmienny sposób.

- Sam nic wiem - rzucił z powątpiewaniem Garamond. - Zawsze mówisz takie rzeczy. - Opadł na wolny fotel i wbił oczy w linię horyzontu, czekając na ścianę świniła pędzącą ku nim ze wchodu. Kiedy przybyła około godziny później, mknąc po ziemi z paraliżującą myśli prędkością, osiedle obcych nagle stało się jeszcze mniej zauważalnym elementem krajobrazu. Chociaż teraz dzieliło ich od niego zaledwie sto kilometrów, oglądane przez lornetkę „miasto” zostało zredukowane do warstewki różnorodnych cętek niemal zagubionych w zieleni. Podczas rozmów światłofonicznych pomiędzy samolotami ktoś powiedział, że może tam dostaną nowe panwie albo będą mogli zmodyfikować obecne. Garamond, nie kwapiąc się do wyrażania szybkich opinii na tak ważny dla niego temat, żywił skryte nadzieje co do poziomu technicznego obcych - ale jego



## Orbitsville

---

optymizm zaczął zamierać. Osiedle widoczne przed dziobem jego maszyny przypominało mu dziewiętnastowieczne miasteczko na amerykańskim Zachodzie.

- Dla mnie wygląda rustykalnie. - Ralston, tele-geolog, pożyczył lornetkę i patrzył.

- Kraina Marka Twaina?

- Właśnie.

Garamond pokiwał głową.

- To kompletnie nielogiczne, oczywiście. Nie możemy przykładać do innych kultur własnej miary, ale mam wrażenie, że to społeczność rolnicza na niskim poziomie rozwoju technicznego. Może dlatego, że wierzę, iż każda rasa, która zamieszka w Orbitsville, przeradza się w rolników. Nic ma potrzeby robić niczego innego.

- Chwileczkę, Vance - przerwał mu Ralston z napięciem w głosie. Może jednak dostaniesz te paliwie. Chyba widzę samolot.

Oniemiały z zaskoczenia Garamond wziął od niego lornetkę i wycelował tam, gdzie pokazał Ralston. Po chwili poszukiwań wypatrzył nieregularną białą plamkę wiszącą w dolnych warstwach atmosfery. Brak ruchu bocznego sugerował, że tamten samolot leci prosto na nich albo się od nich oddala, a intuicja mu podpowiadała, że w grę wchodzi to pierwsze. Przez potężne szkła ze stabilizatorem żyroskopowym dostrzegł, jak z ziemi wznoszą się inne cętki kolorowej jasności, niepewnie krążą, a następnie zastygają w pozornym bezruchu, co oznaczało, że lecą im na spotkanie. Ralston zaalarmował sześć pozostałych maszyn formacji.

- Komitet powitalny, zgadza się - powiedział, gdy nieznanne statki powietrzne stuły się widoczne gołym okiem - a

my nie mamy broni. Co zrobimy, jeśli nas zaatakują?

- Musimy założyć, że są przyjaźnie nastawieni albo przynajmniej nic wrogo. - Garamond poprawił ostrość lornetki. - Poza tym... wiem, że znów oceniani według naszych standardów... ale dla mnie nie wyglądają na siły zbrojne. Samoloty są w różnych kolorach.

- Jak starożytni rycerze ruszający do boju.

- Możliwe, choć nic sędzę. Samoloty są małe i różnych typów. - Zbłąkana myśl wpadła mu do głowy. Skierował uwagę na miasto, z którego wystartowały samoloty, i patrzył z narastającą konsternacją, kiedy dwie floty spotkały się i przemieszały.

Zielono-żółty jednopłat ze skrzydłami umieszczonymi pod kadłubem zajął pozycję obok maszyny Garamonda i pomachał skrzydłami w czymś, co za sprawą ograniczeń natury aerodynamicznej musiało być uniwersalnym pozdrowieniem lotników. Obcy samolot miał małą osłonę kabiny w kształcie babia, przez który widać było sylwetkę humanoida. Braunek, teraz za sterami, zaśmiał się z radości i powtórzył sygnał. Małeńki samolot w pobliżu ich skrzydła zrobił to samo, podobnie jak niebieski dwupłat za nimi.

- Łączność! - krzyknął Braunek. - Są inni niż Klauni, Vance, zdołamy się z nimi porozumieć.

- Dobrze. Sprawdź, czy dostaniesz zgodę na lądowanie - powiedział drwiąco Garamond.

- Racja. - Braunek, nieświadom ironii, zajął się wykonywaniem szeregu skomplikowanych gestów, podczas gdy Garamond obrócił się w fotelu, żeby obserwować jak najwięcej obcych maszyn. Wcześniej zauważył, że nie było dwóch jednakowo pomalowanych; teraz stwierdził, że wszystkie rady-

## Orbitsville

---

kalnie się różnią pod względem projektu. Większość miała śmigła, ale dostrzegł też dwa z turbinami gazowymi, a jeden, który wyglądał jak wyścigowy, przypominał wykonany domowym sposobem statek o napędzie raketowym. Ogólnie rzecz biorąc obce statki powietrzne miały konwencjonalną, uniwersalną sylwetkę krzyża, chociaż widział w przelocie co najmniej jeden śmigłowiec i samolot dwukadłubowy.

- Niezły miszmasz - skomentował Ralston i z nutą rozczarowania w głosie dodał: - Widzę mnóstwo silników wewnętrznego zapłonu. Jeśli są na takim poziomie, nie na wiele się nam przydadzą.

- Maja złoża paliw kopalnych?

- Możliwe, zależy od wieku Orbitsville. - Ralston z profesjonalnym niesmakiem przyjrzał się terenowi. - Tutaj moje szkolenie jest niewiele warte. Zwyczajne zasady nic mają zastosowania.

- Chyba możemy lądować - oznajmił Braunek. - Nasz przyjaciel kilka razy opuścił nos.

- Zgoda. Przekaż wiadomość.

Gdy peryferie osiedla obcych zaczęły przemykać pod dziobem samolotu, Braunek wyprostował się w fotelu i szybko pokręcił głową z boku na bok.

- Nie widzę lotniska. Zrobimy okrążenie.

Garamond poklepał go po ramieniu.

- Chyba stwierdzisz, że nie mają centralnego portu lotniczego.

Samolot skręcił, kładąc się na skrzydło, co zapewniło im dobry widok ziemi. Miasto obracające się pod skrzydłem miało co najmniej dwadzieścia kilometrów średnicy, ale bez rozpoznawalnych dróg, fabryk czy innych budynków więk-

## Orbitsville

---

szych niż średniej wielkości domy mieszkalne. Garamond miał wrażenie, że patrzy na tysiące domków myśliwskich rozproszonych w lesie. Gdzieś tam, przypadkowo rozmieszczone, leżały nieregularne polany mniej więcej wielkości boisk futbolowych. Kolorowe samoloty obcych się rozproszyły, zmierzając ku polanom, przecinając tory lotu w niekontrolowany sposób, co sprawiało, że Braunek ze świstem wciągał powietrze. Wylądowały bezceremonialnie, każdy na swoim lotnisku, zostawiając maszyny ludzi wciąż krążące po niebie.

- To obłąd... nie chcę nas posadzić na czymś podwórku - powiedział Braunek.

- Znajdź dobre miejsce za miastem i wylądujemy kolejno jak zaplanowaliśmy - polecił Garamond. Usiadł w swoim fotelu i zapał pasy. Samolot zmniejszył wysokość. zakończył drugie okrążenie na niskim pułapie i wylądował, podskakując na płozach, na rozległej łące. Braunek ustawił go z boku i patrzył, jak sześć pozostałych statków ich floty siada na tych samych śladach i tworzy nierówny szereg pod lasem. Śmigła powoli przestały się obracać i osłony kabin uniosły się jak pokrywy skrzydłowe owadów.

Garamonda zalało pachnące zielenią powietrze i przez chwilę siedział odprężony, ciesząc się wrażeniem odpoczynku. Rozkoszna reakcja ciała na ciszę zbudziła wspomnienia czegoś, co przypominało powrót do domu na krótki urlop po długiej misji. Życie w ekstazie było fenomenem dobrze znanym personelowi DEG-u, podobnie jak towarzyszące mu niebezpieczeństwa. Podczas urlopu każdy musiał sobie narzucać surową dyscyplinę, żeby zapobiec ekstazie wynikającej z utraty samokontroli, bo to powodowało silną negatywną reakcję na początku następnej misji. Ale w tym przypadku, gdy odetchnął

## Orbitsville

---

chłodnym rześkim powietrzem, zrozumiał, że dał się podstępem skłonić do opuszczenia gardy...

Nic zdołam kontynuować lotu przez następne dwa lata, w dzień i w nocy, napłynęła myśl. Nikt tego nie zniesie.

- Chodź, Vonce, rozprostuj nogi! - zawołał Braunek, gdy zeskoczył no trawę. W jego ślady poszło Delia Ligett, Ralston i Pierre Tarque, miody medyk, który kompletował załogę jedynek. Garamond pomachał do nich ręką i z wysiłkiem zmusił się do rozpięcia pasów.

Całe dwa lata drogi - co najmniej! - i co osiągnie?

Z zewnątrz napłynął śmiech i wesołe głosy, gdy załogi siedmiu maszyn się spotkały. Słyszał przyjacielskie kuksańce i drwiące pogwizdywania, które prawdopodobnie były reakcją na wymianę pocałunków.

Jeśli nawet zbliżę się do prezes na tyle, żeby ją zabić, co zresztą jest mało prawdopodobne, co to da? Jest za późno, żeby zrobić cokolwiek dla Aileen i Chrisa. Czy chcieliby, żebym sam się skazał na śmierć?

Garamond wstał, przepełniony pełnym winy podnieceniem, i wyszedł z kokpitu. Z tej wysokości osiedle obcych wyglądało jak senna wioska leżąca wśród ogrodów. Rozejrzał się, chłonąc zielony jak limonka bezkres, i zeskoczył na ziemię, gdzie czekali na niego Cliff Napier i Denise Serra. Denise powitała go ciepłym, bezpośrednim spojrzeniem. Miała na sobie regulaminowe czarne spodnie, ale zamiast bluzy pomarańczową bluzkę i nagle stwierdził, że jest piękna. Prawie natychmiast dołączyli do nich O'Hagan i Sam my Yamoto, obaj jakby bardziej siwi i starsi niż Garamond ich pamiętał. O'Hagan nie tracił czasu za wymianę uprzejmości.

- Stoimy w obliczu poważnej decyzji - zaczął. - Pan-wie

w pięciu naszych maszynach są poniżej normy i jeśli nie zdołamy ich poprawić, kontynuowanie lotu nie ma sensu. - Przekrzywił głowę i zrobił taką minę, jaką miał zawsze, gdy się szykował do wysłuchania sprzeciwu.

- Muszę się z tobą zgodzić. - Garamond pokiwał głową, ponownie stwierdzając, że patrzenie na Denise sprawia prawdziwą przyjemność jego oczom.

O'Hagan z zaskoczeniem uniósł brwi.

- W takim razie w porządku. Pierwszą rzeczą, jaką należy zrobić, kiedy spotkamy tych obcych, jest ocena ich możliwości technicznych.

- Nic osiągnęli poziomu zasilania żyromagnetycznego ani panwi magnetycznych. Widziałeś ich samoloty.

- To prawda, ale sądzę, że żywotność panwi z magne-smaru można znacznie przedłużyć przez umieszczenie jej w drugiej panwi nawet tak prymitywnej jak łożysko kulkowe. Wystarczyłoby zlecić obcym wyprodukowanie około dwudziestu dużych konwencjonalnych panwi, które będzie można złożyć wokół naszych.

- Musiałyby być standardowej wielkości.

O'Hagan parsknął głośno.

- To się rozumie samo przez się.

- Myślisz, że znajdziesz... - Garamond urwał, gdy załogi nagle umilkły. Odwrócił się i zobaczył fantastyczny pochód zbliżający się ku nim od strony miasta. Obcy byli humanoidami - z daleka ich sylwetki zaskakująco przypominały ludzkie - i cechowało ich ludzkie upodobanie do okrywania ciał ubraniami. Wśród strojów dominowały odcienie żółcień i brązów, a ponieważ harmonizowały one ze skórą w kolorze piasku, utrudniały określenie szczegółów ich anatomii. Jedni szli pie-

szo, drudzy jechali na rowerach, trójkołowcach, motocyklach, w różnego rodzaju kabrioletach i sedanach, łącznie z dwukołowym żyroautem, a jeszcze inni lecieli na najdziwniejszych poduszkowcach. Zatrzymali się w odległości dwudziestu metrów od zaparkowanych samolotów. Gdy ucichła kakofonia warkotu, pokastywania i terkotania siników ich pojazdów, Garamond stał się świadom, że obcy emitują łagodne brzęczenie. Była to mieszanina wielu różnych tonów, bez przerwy modulowanych, i wyciągnął niepewny wniosek, że tak brzmi ich mowa. Obcy nie mieli owłosienia, ale posiadali rozpoznawalne odpowiedniki oczu, uszu i ust w wizualnie przyjemny sposób rozmieszczone na głowach. Garamond nie umiał zdecydować, jakie cechy anatomiczne mają zasłaniać ich lekkie stroje, ani też nie dostrzegł dowodów na zróżnicowanie płciowe. Czuł dziwną obojętność do obcych pomimo tego, że ten pierwszy kontakt wydawał się nieskończenie bardziej obiecujący niż jego bezowocne spotkanie z niemymi Klaunami. Żadna przygoda w zewnętrznym wszechświecie nie miała większego znaczenia w porównaniu z odkrywczą podróżą, jaką odbywał w sobie.

- Chcesz spróbować z nimi porozmawiać? - zapytał O'Hagan.

Garamond pokręcił głową.

- Twoja kolej, Dennis, na zamieszczenie swojego nazwiska w książkach historycznych. Proszę bardzo.

O'Hagan wyglądał na zadowolonego.

- Gdyby z uczynkiem skończyło się wszystko, byłoby dobrze czyn wykonać naukowo. - Podszedł do najbliższych obcych, którzy jakby przyglądali mu się z zainteresowaniem, i ruch jego ramion świadczył, że próbuje się porozumieć gestami.

mi.

- Nie ma potrzeby - powiedział cicho Garamond.

Yamoto odwrócił głowę.

- Co powiedziałaś?

- Nie, Sammy. Mówiłem do siebie.

- Powinieneś uważać, do kogo mówisz.

Garamond z roztargnieniem pokiwał głową. Dennis

O'Hagan nie zdaje sobie sprawy, pomyślał, że ci ludzie nigdy nie zrobią, czego chce. Przeoczył wszystkie znaki.

W porządku - zakładając, że nie zdołamy ich nakłonić do skonstruowania panwi, czy kontynuowanie lotu ma jakikolwiek sens? Odpowiedź brzmiała: nie. To nie tylko osobista reakcja. Komputery potwierdzają, że dwa samoloty nic stanowią wystarczająco elastycznego i niezawodnego systemu transportu. Dlatego po prostu nie mogę wrócić do Beachhead. To jasne jak słońce. Zawsze było za późno, żeby cokolwiek zrobić dla Aileen i Chrisa, a teraz nie zostało nic, co mógłbym choćby spróbować zrobić.

Narodziłem się na nowo.

Obcy zostali może przez godzinę, a potem stopniowo, lecz bez maruderów, odeszli w kierunku swojego miasta. Przypominali Garamondowi dzieci, które spędziły popołudnie w lunaparku i tak zgłodniały, że nie mogą znieść myśli o spóźnieniu się na posiłek czekający w domu. Kiedy ostatni wesoło pomalowany pojazd zniknął za drzewami, na łące przez chwilę panowała absolutna cisza. Zakończył ją wybuch gwaru i krzyków, gdy załogi uwalniały się od napięcia. Wyprodukowano butelki syntetycznego alkoholu i urządzono imprezę nad pobliskim jeziorem.

- To było dziwne - stwierdził Joe Braunek. kręcąc głó-



## Orbitsville

---

wą. - Staliśmy w dwóch szeregach, gapiąc się jedni na drugich jak chłopcy i dziewczęta na wiejskiej potańcówce na Terranovej.

- Poszło dobrze - zapewnił go Garamond. - Nie ma etykiety, więc co miałbyś zrobić?

- Mimo wszystko było dziwnie.

- Wiem, ale tylko pomyśl, jak by to wyglądało, gdyby w pobliżu byli jacyś dyplomaci czy wojskowi. Spotkaliśmy się z nimi, pogapiliśmy się na nich, oni pogapili się na nas, nikt nie próbował zabrać niczego, co należało do tych drugich, i nikt nie został ranny. Mogło być gorzej, wierz mi.

- Chyba masz rację. Widziałeś, w jaki sposób liczyli nasze maszyny?

- Zauważyłem. - Garamond przypomniał sobie gest powtarzany przez gapiów, wyciągnięte długie złote palce, przesuwanie się wzdłuż szeregu samolotów.

- Wydawało się to dla nich ważne. Jakby nigdy nie widzieli..,

- Zrobiliśmy prawdziwe podstępny, Vance. - O'Hagan podszedł z plikiem odręcznych notatek i magnetofonem. - Zidentyfikowałem co najmniej sześć rzeczowników albo rzeczowników - dźwięków w ich mowie i jestem przekonany, że sprawiłbym się lepiej, gdybym miał przygotowanie muzyczne.

- Czy ktoś nie może ci pomóc?

- Może. Zabieram Paskudę i Shelleyu do miastu. Nie zostaniemy długo.

- Masz tyle czasu, ile będziesz potrzebować - rzucił bez troski Garamond.

- W porządku, Vance. - O'Hagan przyjrzał mu się badawczo. - Chcę jak najszybciej zobaczyć, jakie mają maszyny.

## Orbitsville

---

To chyba dobry pomysł, prawda?

- Wyborny. - Garamond dostrzegł błysk oranżu dalej przy rzędzie samolotów i nie mógł oderwać od niego oczu. Szybko zakończył rozmowę z O'Haganem i ruszył w kierunku Denise Sony, ale się zawahał, gdy zobaczył, że rozmawia z sześcioma kobietami z załóg. Odwracał się, kiedy go zauważyła i dała mu znać, żeby zaczekał. Minutę później podeszła do niego: życzliwa, kompetentna, upragniona i posiadająca wszystkie cechy, jakich oczekiwał po kobiecie. Myśl o położeniu się z nią przyprawiła go o bolesne klucie w podbrzuszu, gdy reaktywowały się mechanizmy gruczołowe, zbyt długo hamowane. Denise się rozejrzała, ściągnęła brwi, niezadowolona z bliskości innych mężczyzn, i ruszyła pierwsza ku niezdeptanej wysokiej trawie. Quasi intymność jej zachowania sprawiła mu przyjemność.

- Dobrze cię znowu widzieć - powiedział.

- Dobrze cię widzieć, Vance. Jak się teraz czujesz?

- Lepiej. Wracam do życia.

- Cieszę się. - Denis popatrzyła na niego z namysłem. -

To było oficjalne zebranie Ligi Kobiet Orbitsville, sekcja odłączona.

- Tak? Mów dalej, siostrze Denise.

Uśmiechnęło się przelotnie.

- Vance, przegłosowałyśmy odpadnięcie z lotu.

- Jednomyślnie?

Tak. Pięć samolotów będzie musiało się w końcu poddać, a równie dobrze same możemy wybrać miejsce. Te Kolibry wydają się przyjazne, a studiowanie ich kultury zapewni nam zajęcie. To znaczy, poza wychowywaniem dzieci.

- Wiesz, ilu mężczyzn będzie chciało zostać?

## Orbitsville

---

- Większość. Przykro mi, Vance.
- Nikt nie musi przeproszać za kierowanie się prostą logiką.
- Ale w ten sposób zostają ci tylko dwa samoloty, a to za mało.
- Nic nie szkodzi. - Garamond się zastanawiał, jak długo będzie odgrywać rolę męczennika, zanim powie Denise, że już się ze sobą pogodził.
- Złapała go za rękę.
- Wiem, jak bardzo musisz być rozczarowany.
- Dzięki tobie to łatwe - mruknął. Denise w jednej chwili puściła jego rękę i zdał sobie sprawę, że palnął głupstwo. Czekał niewzruszenie.
- Czy Cliff ci nie powiedział, że będę miała dziecko? - Denise wpatrywała się w niego z natężeniem. - Jego dziecko?
- Garamond zmusił się do sformułowania stosownej odpowiedzi.
- Nie musiał.
- To znaczy, że nie powiedział? Czekaj, niech tylko dorwę tego wielkiego...
- Nie jestem zupełnie ślepy, Denise. - Garamond uśmiechnął się z przymusem. - Wiedziałem, gdy tylko dziś rano zobaczyłem was razem. Po prostu jeszcze się nie zebrałem, żeby mu pogratulować.
- Dzięki, Vance. Tutaj będziemy potrzebować tylu chrzestnych, ilu się da.
- Niestety, nic mogę ci pomóc... w tym czasie będę parę milionów kilometrów stąd.
- Och! - Denis odwróciła wzrok. - Myślałam...
- Że rezygnuję? Nie, dopóki nie będę musiał, a ty wiesz

## Orbitsville

---

lepiej niż ja, że komputery nic wykazały jednoznacznie, że dwa samoloty nie mogą dotrzeć do Beachhead. To tylko kwestia szans, prawda?

- Tak jak rosyjska ruletka.

- Do zobaczeniu, Denise. - Garamond odwrócił się, ale chwyciła go za ramię.

- Nie powinnam tego mówić. Przepraszam.

- Daj spokój, proszę. - Ścisnął jej dłoń, zanim ją zdjął ze swojego ramienia. - Naprawdę się cieszę, że ciebie i Cliffa łączy coś dobrego. A teraz wybacz, mam mnóstwo pracy.

Garamond od kilku godzin mozolił się nad planem rozlokowania ładunku w dwóch pozostałych samolotach, kiedy zapadły ciemności. Zapalił wewnętrzne światła i kontynuował pracę w chłodnym skupieniu, nie zwracając uwagi na odgłosy świętowania, które wieczorny wiatr przynosił do kabiny. Jego palce bez przerwy wędrowały po klawiaturze kalkulatora, gdy analizował dziesiątki możliwości, próbując wybrać najlepsze rozwiązanie. Krótki półcieniowy zmierzch uleciał, kiedy poczuł wibracje, które mu powiedziały, że ktoś wchodzi na pokład. Uniósł głowę i zobaczył O'Hagana przeciskającego się w kierunku małego, zasłanego planami stołu.

- Właśnie odkryłem, jak bardzo przywykłem do polegania na komputerach - powiedział.

O'Hagan niecierpliwie pokręcił głową.

- Właśnie spędziłem najbardziej fantastyczny dzień w moim życiu i muszę się napić, żeby dojść do siebie. Gdzie zapasy? - Siedział cicho, a gdy Garamond znalazł plastikową butelkę i mu podał, pociągnął krótki ostrożny łyk. - Ta gorzalka jest za mało dojrzała.

- W przeciwieństwie do człowieka, który ją robi.

## Orbitsville

---

- I nas wszystkich. - O'Hagan znowu się napił, po czym najwyraźniej zdecydował, że poświęcił już zbyt wiele

czasu na wstępy. - Nic mamy żadnych szans, żeby dostać od tych ludzi potrzebne nam panwie. Wiesz, dlaczego?

- Do nie mają narzędzi mechanicznych?

- Bo wyrabiają wszystko ręcznie. Wiedziałeś?

- Domyślałem się. Maja parę samolotów, ale ani zakładów lotniczych, ani lotniska. Maja parę samochodów, ale ani fabryki, ani dróg.

- Brawo, Vance... pod tym względem zdecydowanie mnie wyprzedziłeś.

O'Hagan bębnił palcami po stole, dźwięk wypełniał wąską przestrzeń kabiny. W jego głosie brakowało zwykłej energii, gdy podjął:

Wybrali zupełnie inną drogę od naszej. Nie ma specjalizacji pracy, nie ma produkcji masowej, nie ma standaryzacji. Każdy, kto chce mieć samochód albo robot kuchenny, buduje go sobie od zera. jeśli ma czas i talent. Zauważyłeś, że nie mają dwóch jednakowych samolotów czy samochodów?

- Owszem. Zauważyłem też. jak liczyli nasze maszyny.

- Tak, ale wtedy nie wiedziałem, co się dzieje w ich głowach. Musieli być zdumieni, widząc siedem identycznych modeli.

- Nie zdumieni - powiedział Garamond. - Może umiarkowanie zaskoczeni. Mam wrażenie, że zbyt ciekawość nie leży w ich charakterze. Jeśli przyjmiemy, że w jednym domu mieszka tylko jeden obcy, to miasto musi liczyć ze dwadzieścia tysięcy mieszkańców, ale wątpię, czy dwustu z nich się dzisiaj wybrało, żeby nas obejrzeć, i praktycznie wszyscy mieli własne środki lokomocji.

## Orbitsville

---

- Chodzi ci o to, że mieliśmy wizytę tutejszych jajogłowych.

- A przynajmniej gadźeciarzy, pewnie bardziej zainteresowanych naszymi samolotami niż nami. Mogliby być frustrujący juko sąsiedzi.

O'Hagan popatrzył znacząco na papiery rozrzucone na stole.

- Więc zamierzasz lecieć dalej?

- Tak. - Garamond zadecydował, że jedno słowo sprawi się lepiej niż setki, których mógłby użyć.

- Masz załogę?

- Jeszcze nie wiem.

O'Hagan westchnął ciężko.

- Robi mi się niedobrze na samą myśl o lataniu, Vance. To mnie wykańcza. Ale bym zwariował, gdybym musiał zamieszkać obok kogoś, kto za parę lat wynajdzie silnik parowy. Polecę z tobą.

- Dzięki, Dennis. - Garamonda zapiekły oczy. - Ja...

- Daj sobie spokój z wdzięcznością - rzucił energicznie O'Hagan. - Zobaczmy, jaki bałagan robisz z rozmieszczeniem ładunku.

Na przekór oczekiwaniom Garamond zdołał skompletować dwie czteroosobowe załogi, żeby kontynuować lot. Wykorzystując prądy wstępujące, dwie maszyny wystartowały o świcie i cicho odleciały na wschód bez krążenia czy dawania jakiegoś lotniczego sygnału pożegnania.

*Dzień 193. Szacowana odległość: 2 160 000 kilometrów.*

Być może to mój ostatni wpis. Słowa zdają się tracić sens, sam akt ich zapisywania traci całe znaczenie i zauważyłem, że dosłownie przestaliśmy ze sobą rozmawiać. Milczenie

## Orbitsville

---

nie implikuje ani nie prowokuje izolacji - nasza ósemka stała się jednością. Po prostu jest coś krępującego w obserwowaniu, jak człowiek zadaje sobie ten absurdalny trud. żeby odpowiednio ułożyć usta i język w celu wypchnięcia wibracji dźwięku w powietrze. To dziwne, jak wymówione słowo rozkłada się na bezsensowne sylaby I jak jedna sylaba może dźwięczeć w powietrzu, w umyśle, na długo po tym, jak mówiący się odwrócił.

Czasami fantazjuję, że ten sam fenomen odnosi się do obrazów. Przelecieliśmy naszymi samolotami nad tysiącem mórz, nad dziesięcioma tysiącami pasm górskich, i każde z nich obiecywało, że będzie inne - ale wszystkie stają się takie same. Wyróżniający się szczyt czy zakole rzeki, ciekawa grupa wysp, koloryt lesistej doliny - elementy krajobrazu pojawiają się przed nami z zapowiedzią czegoś nowego, a następnie, po oszukaniu nas, zostają w tyle. Gdyby nie pewność nawigacji inercjalnej z łatwością mógłbym sobie wyobrazić, że zataczamy kręgi. Nie, źle się wyraziłem, bo już umiemy sami nawigować na podstawie pasów nieba. Mam wrażenie, że istniejemy zatopieni w wielkim kryształowym przycisku do papierów i jedną z korzyści, być może jedyną, jest to, że możemy powiedzieć, dokąd lecimy, na podstawie millefiori jego projektu. Gdy uważnie obserwuję mleczno błękitne krzywizny, gdy przecinają dziób i owiewkę, potrafię sterować przez trzydzieści minut, zanim czarna skrzynka zapiszczy i skieruje mnie w lewo czy w prawo. Druga czarna skrzynka, przenośny detektor deltonów, milczy jak zaklęta. (Dennis miał rację, kiedy powiedział, że dopisało nam szczęście, gdy tak szybko wykryliśmy pierwszą cząstkę. ) Zakrzywiająca się w górę linia horyzontu zapewnia stale odniesienie do poziomemu lotu. Niedawno przy-

## Orbitsville

---

szło mi na myśl, że Orbitsville jest takie wielkie, że nie powinniśmy zauważać żadnej krzywizny na horyzoncie. Jak zwykle, Dennis był w stanie wyjaśnić, że to złodzenie optyczne - linia horyzontu jest prosta, lecz wskutek sztuczki percepcji zdaje się zwisać na wysokości oczu. Powiedział mi, że starożytni Grecy kompensowali to złudzenie, kiedy budowali swoje świątynie.

Dwa samoloty sprawiają się tak dobrze, jak można się spodziewać z ograniczeniami narzuconymi przez projekt. W każdym jest rezerwowa siłownia, która zajmuje dużą część ładowni, ale to nieuniknione. Silnik żyromagnetyczny jest niewiele więcej niż blokiem metalu, w którym większość atomów tworzy idealnie zgraną orkiestrę. Bez wątplenia jest jedną z najlepszych uniwersalnych średniej wielkości siłowni, jakie kiedykolwiek stworzono, ale ma swoją wadę - bez ostrzeżenia i bez żadnego wyraźnego powodu orkiestra może wpaść w dysonans i moc wyjściowa spada do zera. Kiedy tak się dzieje, nie ma innej możliwości, jak zainstalować nowy silnik, więc w naszym wypadku może się to stać tylko dwa razy. Mamy również drobniejsze kłopoty mechaniczne. Na razie nie zdarzyło się nic na tyle poważnego, żeby spowodować nieplanowane lodowanie, ale nie można tego wykluczyć i prawdopodobieństwo rośnie z dnia na dzień.

Największą przyczyną zmartwień jest jednak maszyneria biologiczna na pokładzie - nasze własne ciała. Wszyscy z wyjątkiem młodego Braunka cierpią na bóle i zawroty głowy, zaparcia i mdłości. Wiele objawów jest prawdopodobnie skutkiem przedłużonego stresu, ale, ponieważ samolot jest coraz mniej niezawodny, nie uciekamy się do środków uspokajających. W szczególności stan Denisa budzi moje obawy i równe



## Orbitsville

---

im poczucie winy, że go ze sobą zabrałem. Z dnia na dzień staje się coraz bardziej siwy, coraz bardziej zmęczony, coraz mniej zdolny do wacht za sterami. Proteiny i ciastka drożdżowe, którymi się żywimy, nie są apetyczne nawet w najbardziej sprzyjających okolicznościach, ale Dennis niemal nie może utrzymać jedzenia w żołądku i szybko traci na wadze.

Dochodzę do wniosku, że powinniśmy przerwać misję, i tym razem żadne emocjonalne podteksty nie mają wpływu na tok mojego rozumowania. Wiem, że misja nic jest warta ceny ludzkiego życia.

Jeszcze niedawno nic mógłbym uczynić takiego wyznania - ale było to zanim zaczęliśmy płacić za nasz błąd polegający na rzuceniu wyzwania Wielkiemu O. Podróż, na którą się porwaliśmy, stanowi być może tylko jedną setną obwodu O, a z tego maleńkiego ułamka pokonaliśmy zaledwie ułamek. Moją osobistą karą za tę bezczelność jest to, że O zabrało mi duszę. Mogę myśleć o mojej martwej żonie i dziecku, mogę myśleć o Denise Serze, mogę myśleć o Elizabeth Lindstrom... i nic się nie dzieje.

*Nic nie czuję.*

*To mój ostatni zapis w kronice.*

*Nie zostało nic więcej do napisania.*

*Nie zostało nic więcej do powiedzenia.*

\* \* \*

Kłęcząc na mrużącym pokładzie obok koi O'Hagana, Garamond powiedział:

- Na dole panuje lato, Dennis. Wlecieliśmy prosto w lato.

## Orbitsville

---

- Nie obchodzi mnie to. - Okryte prześcieradłami ciało naukowca wydawało się tak kruche i bezcielesne jak zmumifikowanej kobiety.

- Jestem pewien, że znajdziemy jakieś drzewa owocowe.

O'Hagan uśmiechnął się jak szkielec.

- Wiesz, co możesz zrobić ze swoimi drzewami owocowymi.

- Ale gdy będziesz mógł coś zjeść, wydobrejesz.

- Nic mi nie jest. potrzebuję tylko odpoczynku. - O'Hagan złapał Garamonda za nadgarstek. - Vance, nie odwołasz lotu z mojego powodu. Obiecuj mi to.

- Obiecuję. - Garamond jeden po drugim oderwał z ręki białe, niemal przejrzyste palce i wstał. Decyzja, teraz, gdy przed nią stanął, okazała się dziwnie łatwa do podjęcia. - Odwołam go z własnego powodu.

Nie zwracając uwagi na protesty OHagana, poszedł wąskim przejściem do oślepiającej areny kokpitu. Braunek siedział za sterami, a fotel drugiego pilota zajmował Sammy Yamoto. Zdjął osłonę wykrywacza deltonów i grzebał w skrzynce. Garamond poklepał go po ramieniu.

- Dlaczego nie śpisz, Sammy? Czuwałeś prawie przez całą noc.

Yamoto poprawił ciemne okulary.

- Zaraz się przekimam, gdy tylko przestanę się głowić nad tą kupą złomu.

- Złomu?

- Tak. To chyba nie działa.

Garmond spojrzał na pulpit detektora.

- Według światełek działa.

## Orbitsville

---

- Wiem, ale spójrz na to. - Yamoto kilka razy pstryknął włącznikiem głównego zasilania skrzynki detektora. Pomarańczowe litery oznajmiające SYSTEM FUNKCJONUJE płonęły bez zmian w ciemnych zagłębieniach.

- Ale szmelc - mruknął z goryczą Yamoto. - Wiesz, może nigdy bym na to nie wpadł, gdyby generator się nie wyłączył w nocy. Siedziałam tu jakieś dwie godziny później, kiedy nagle wpadło mi do głowy, że światełka na detektorze nie zgasty ze wszystkimi innymi.

- Czy to dowodzi, że nie działa?

- Niekoniecznie, ale każe mi wątpić w jakość całego urządzenia. Litman zasłużył na rozstrzelanie.

- Nie ma się czym przejmować. - Garamond opadł na dodatkowy fotel. - W każdym razie nie na tym etapie. Musimy odwołać misję.

- Przez Dennisa?

- Tak. To go zabija.

- Nie chcę wyjść na bezdusznego, ale... - Yamoto urwał, żeby wcisnąć wtyczkę na miejsce. - Nie sądzisz, że i tak może umrzeć?

- Nie mogę ryzykować.

- Teraz będę bezduszny. Jest siedmiu innych ludzi... - Yamoto przestał mówić, gdy z detektora dobiegło ostre stuknięcie, jakby stalowa kulka spadła na metalową płytę. Odruchowo odsunął rękę od odsłoniętych przewodów.

Garmond uniósł brwi.

- Co zrobiłeś?

- Naprawilem. - Yamoto zaprezentował mu drżący, triumfalny uśmiech, gdy prawie jednocześnie zabrzmiały dwa trzaski.

## Orbitsville

---

- W takim razie co to za hałasy?

- To, przyjacielu, cząstki delta przechodzące przez nasz ekran. - Słowa astronoma zaakcentowały dalsze hałasy urządzenia. - A ich częstotliwość wskazuje, że jesteśmy blisko źródła.

- Blisko? Jak blisko?

Yamoto wyjął kalkulator i przebiegi po nim palcami.

- Powiedziałbym, że około dwudziestu, trzydziestu tysięcy kilometrów.

Chłodny powiew znikąd musnął czoło Garamonda.

- Chyba nie mówisz o Beachhead?

- Beachhead jest jedynym źródłem, jakie znamy. I właśnie o to chodzi.

- Przecież...

Nowe staccato trzasków popłynęło z detektora. Garamond, wiedząc, że powinien być podekscytowany, spojrzał przez przednią szybę samolotu na pasmo niskich gór odległych może o godzinę lotu. Wydawały się ani bardziej, ani mniej znajome niż wszystkie inne, które widział.

- To możliwe? — zapytał. - Mogliśmy zawyżyć czas lotu o dwa lata?

Yamoto przekręcił gałkę no detektorze, zwiększając głośność nieregularnego bębnienia.

- W Orbitsville wszystko jest możliwe.

Pod koniec następnego dnia niezdarne ptaki o sztywnych skrzydłach zaczęły zwiększać wysokość, żeby przelecieć nad ostatnimi zielonymi pasmami. Wszyscy członkowie załogi, łącznie z chorym O'Haganem, zebrali się w kokpicie, żeby obserwować, jak szczyty gór zaczynają opadać, posłuszne ich połączonej woli. Zmienne paralaksy sprawiały, że leżące pod

## Orbitsville

---

nimi wzniesienia zdawały się przesypywać jak piasek.

Yamoto teatralnym gestem wyłączył bezustannie hałasujący detektor.

- Już nic jest nam potrzebny. Astronomicznie rzecz biorąc, dotarliśmy do celu podróży.

- Jak daleko według ciebie, Sammy?

- Sto kilometrów. Może mniej.

Joe Braunek wiercił się w fotelu, ale jego ręce i stopy pewnie spoczywały na przyrządach.

- W takim razie zobaczymy Beachhead, gdy tylko przelecimy nad tym pasmem.

Garamond poczuł, że przekonanie, które w nim narastało, osiąga ciężar ołowiu.

- Nie będzie go tam - oznajmił. - Nic przypominam sobie, żebym widział pasmo górskie tak blisko miasta.

- Jest całkiem niskie - powiedział niepewnie Yamo-to. - Nie zwróciłbyś na nie uwagi, o ile nie miałbyś konkretnego...

Jego głos się wyciszył, gdy zbocza gór opadły i uciekły spod samolotu, odsłaniając jedną z wyciszających umysł prerii Orbitsville. W twardym przejrzystym świetle słońca nad oceanami trawy i krzaków mogli zobaczyć skraje nieskończoności, lecz ani śladu Beachhead.

- Co teraz zrobimy? - zapytał Braunek z dziwną nieśmiałością, gdy spojrzął na trzech mężczyzn. Odporność psychiczna, która towarzyszyła mu podczas miesięcy lotu, teraz jakby zaczęła go opuszczać. - Po prostu lecimy dalej?

Garamond, niezdolny do odczuwania szoku czy rozczarowania, zwrócił się do Yamota:

- Włącz detektor.

- Racja. - Astronom uruchomił urządzenie i z czarnej

## Orbitsville

---

skrzynki natychmiast popłynął ryk. - Ale nie możemy zmienić tego, o czym nas informuje. Jesteśmy przy źródle.

- Jest kierunkowe?

- Tak. - Yamoto spojrzał na O'Hagana, który ze zmęczeniem pokiwał głową na znak potwierdzenia.

- Skręć w lewo - polecił Garamond Braunkowi. - Niezbyt szybko. - Samolot powoli skręcił na północ i gdy to robił, dźwięk stopniowo cichł, aż w końcu detektor zupełnie zamilkł.

- Trzymaj kurs! Teraz lecimy pod kątem prostym do źródła bombardowania cząstek. Racja, Sammy?

Yamoto podniósł lornetkę i spojrzał w kierunku wskazywanym przez prawe skrzydło samolotu.

- To na nic, Vance. Tam nic nie ma.

- Coś musi być. Zostało parę godzin światła, obierz nowy kurs i będziemy nim podążać do zmroku.

Podczas gdy Yamoto używał światłofonu, żeby poinformować drugą załogę, co się dzieje, Joe Braunek wszedł na nowy kurs i zmniejszał wysokość, aż weszli na pułap przelotowy. Dwie maszyny leciały przez godzinę, od czasu do czasu schodząc z kursu, żeby zaktualizować dane dotyczące kierunku. Pod koniec godziny O'Hagan stracił siły i trzeba mu było pomóc wrócić na koję.

- Zawaliliśmy - powiedział do Garamonda, kładąc się.

Garamond pokręcił głową, gdy okrył chude ciało starszego mężczyzny.

- To nie twoja wina.

- Nasze podstawowe założenie było złe. a to jest niewybaczalne.

- Daj spokój, Dennis. Poza tym to ty mi mówiłeś, że nie mieliśmy prawa tak szybko wyłapać tej pierwszej cząstki. Jak

## Orbitsville

---

zwykle, miałaś rację.

- Nie próbuj mi kadzić. Jestem zbyt... - O'Hagan zamknął oczy i wydawało się, że od razu zasnął.

Garamond wrócił do kokpitu i usiadł, żeby rozważyć różne względy dotyczące zakończenia misji. Wyczuwał, że opór pozostałych, którzy wcześniej go zaskoczyli, już nie wchodzi w rachubę. Zbyt szybko zaczęli sobie robić nadzieję i Orbitsville ich za to ukarało. Teraz pozostała tylko decyzja, gdzie wykonać ostatnie lądowanie. Sam wolałby podnóżyć łańcucha górskiego, które zapewniłyby im rzeki, różnorodną roślinność i psychologiczne ważne bogactwo scenerii. Może najlepiej zawrócić do pasma, nad którym niedawno przelecieli, zamiast podróżować dalej nad tym, co wydawało się największą równiną, jaką dotychczas napotkali. Istniało ryzyko, że któryś samolot ulegnie awarii, kiedy będą daleko w głębi tego bezkresu trawy; była pewność, że to, co znajdą po drugiej stronie, nie będzie się różnić od tego, co zostawili za sobą. Chyba że dotrą do morza, przypomniał sobie Garamond. Morze dodałoby jeszcze więcej...

- Chyba dotarliśmy do źródła! - zawołał Braunek przez ramię. - Widzę coś przed nami.

Garamond stanął za pilotem i spojrzał na płaską prerię pod baldachimem nieba.

- Nic nie widzę.

- Prosto przed nami. Jakies dziesięć kilometrów.

- To coś małego?

- Ma ego? Jest ogromne! Spójrz, Vence, tam!

Garamond przeszedł wzrokiem linię będącą przedłużeniem palca wskazującego Braunka i opadł go zimny strach, gdy potwierdził swoje przekonanie, że patrzą na monotonną

równinę.

Yamoto wcisnął się do kokpitu.

- Co się dzieje?

- Prosto przed nami - powiedział Braunek. - Jak myślisz, co to jest?

Astronom osłonił oczy, żeby lepiej widzieć, i zagwizdał przeciągle.

- Nie wiem, ale warto wylądować, żeby się lepiej przyjrzeć. Zanim usiądziemy, chcę to sfotografować w podczerwieni.

Garamond po raz kolejny rozejrzał się po gładkiej jak piasek równinie i już otwierał usta, żeby zaprotestować, kiedy zobaczył zjawę. Szukał jakiegoś obiektu, który formą i teksturą wyróżniałby się na tle otoczenia, ale to ogromny obszar trawy odcinał się od reszty tylko odrobinę ciemniejszym kolorem. Mogliby to uznać za naturalne zjawisko, spowodowane może przez inny skład gleby, gdyby nie idealnie okrągły kształt. Z pokładu zbliżającego się samolotu obszar wyglądał jak widmowa elipsa zieleni na tle zieleni, jak projekt w eksperymentalnym obrazie. Yamoto otworzył prywatną szafkę, sięgnął po aparat i sfotografował powiększający się powoli krąg. Wyjął zdjęcie, spojrzał na mnie przelotnie i przekazał pozostałym. Koło trawy wyróżniało się ciemną barwą na pomarańczowym tle.

- Jest o kilka stopni chłodniejszy - oznajmił Yamoto. - Powiedziałbym, że ten cały obszar oddaje ciepło w kosmos.

- Co to oznacza?

- Trawa ma nieco inny kolor w porównaniu z resztą, co może znaczyć, że gleba skądś wchłania takie czy inne minerały. Ponadto następuje utrata ciepła. Co więcej, przenika tu



## Orbitsville

---

promieniowanie z zewnętrznego wszechświata... Razem wzięwszy, to wszystko wskazuje tylko na jedną rzecz.

- Jaką?

- Znaleźliśmy drugie wejście do Orbitsville.

- Jak to możliwe? - Garamond czuł powoli narastające niespodziewane ożywienie. - Przecież dokładnie obejrzelśmy z zewnątrz rejon równikowy, a poza tym... w powłoce nie ma dziury.

- Jest dziura - powiedział spokojnie Yamoto. - Ale bardzo dawno temu ktoś ją uszczelnił.

\*

Wylądowali blisko skraju kręgu i chociaż ciemność napłynęła ze wschodu tylko parę minut później, zaczęli kopać rów eksploracyjny. W tej okolicy gleba miała kilka metrów grubości, ale po niespełna godzinie łopaty napotkały opór, co im powiedziało, że dotarli do soczewkowatego pola. Niedługo później odsłoniли masywną płytę rdzewiejącego metalu. Przecięli go niewidzialnym ostrzem noża walencyjne go.

Dwaj mężczyźni podważyli wycięty kwadrat, a potem, nie mówiąc nic pozostałym, kolejno spojrzeli w dół na gwiazdy.

- To North Ten, najnowocześniejsze z naszych centrów dystrybucyjnych - powiedziała Elizabeth Lindstrom z ciepłą nutą dumy w głosie. - Może pan od razu zobaczyć, ile wysiłku i jakiej organizacji wymagało jego stworzenie.

Charles Devereaux podszedł do murku obrzeżającego dach budynku administracji i spojrział na równinę. Czteryście kilometrów na południe stąd leżało miasto Beachhead i bie-

## Orbitsville

---

gnąca prosto jak strzełił autostrada upstrzona była małymi kołowymi środkami lokomocji osadników. Gdzieś wśród nich wyróżniały się większe sylwetki transporterów z zapasami. Autostrada kończyła się w kompleksie North Ten, skąd liczne drogi gruntowe rozbiegały się wachlarzem w prerię. Przez kilka pierwszych kilometrów drogi prowadziły przez obszar przemysłowy, gdzie żniwiarki kosiły trawę wykorzystywaną jako źródło celulozy do produkcji plastiku dla celów budowlanych. Dalej za fabrykami tworzyw octanowych zaczynały się farmy z rozproszonymi grupami zabudowań, które skrzyły się bielą w promieniach słońca.

- Jestem pod wrażeniem wszystkiego, czego dokonało tu Starflight, pani - powiedział Devereaux, z profesjonalną starannością dobierając słowa. - Proszę zrozumieć, że kiedy pytam, robię to wyłącznie jako przedstawiciel rządu Dwóch Światów.

Myślisz, że traciłabym czas na rozmowę, gdyby było inaczej? Elizabeth zdusiła tę myśl i skupiła się na narzuceniu sobie samokontroli, co było dla niej trudnym i obcym zadaniem.

- Rozumiem - zapewniła z uśmiechem eleganckiego siwowłosego mężczyznę. - Pańskim obowiązkiem jest sprawdzenie, czy zrobiliśmy wszystko, co możliwe, żeby otworzyć Lindstromland dla rzesz osadników.

- Zgadza się. Widzi pani, ludzie na Ziemi i Terranovej słyszeli o fantastycznym ogromie Lindstromlandu i nie potrafili zrozumieć, dlaczego, skoro jest tam nieograniczona przestrzeń do życia, rząd po prostu nie wdroży programu budowy statków kosmicznych na skalę globalną i nie przywiezie ich tutaj.

## Orbitsville

---

- To całkowicie zrozumiąły punkt widzenia, ale...  
-Elizabeth rozłożyła ręce, wskazując linię horyzontu, i na jej palcach błysnął ogień klejnotów - tu nowa ziemia, którą dałam ludzkości, rządzi się własnymi prawami i nie mamy innego wyboru, jak ich przestrzegać. Lindstromland jest niewyobrażalnie wielki, lecz tworząc tylko jedno wejście, a także wprowadzając ograniczenia dotyczące podróżowania i łączności, jego budowniczowie skutecznie uczynili go małym. Jestem przekonana, że w ten sposób postanowili wymusić procedurę selekcji. Jeśli Lindstromland ograniczy się do przyjmowania imigrantów tylko w regulowanych liczbach, jakość materiału ludzkiego będzie znacznie wyższa.

- Gzy pani sądzi, że była im znajoma koncepcja selekcji i dyskryminacji?

- Możliwe, że nie. - Elizabeth zdała sobie sprawę, że użyła niefortunnego słowa kluczowego, które spowodowało wrogą reakcję tego parweniuszowskiego urzędnicy.

Przyszło jej na myśl, że sprawy zaszły o wiele za daleko, skoro ona, prezes Starflight, była zmuszona do ugłaskania niewiele znaczącego pracownika najniższego rządu w historii ludzkości. Zaczęła zdawać sobie sprawę, że okoliczności związane z odkryciem Lindstromlandu były złymi omenami.

Devereaux najwyraźniej nic był usatysfakcjonowany.

- Byłoby tragedia, gdyby Ziemia eksportowała takie postawy, jak nacjonalizm i...

- Mówię - przerwała mu Elizabeth - że będzie jeszcze większa tragedia, jeśli opróżnimy wszystkie slumsy i rynsztoki na Ziemi, kierując szumowiny do tego zielonego kraju.

- Dlaczego? - Devereaux spojrzał jej prosto w oczy i Elizabeth stwierdziła, że ich szarość na stalowy odcień. - Dla-

tego, że zadanie przerosłoby możliwości przewozowe prywatnego koncernu?

Elizabeth poczuła, że zaschło jej w ustach, gdy walczyła o zachowanie zimnej krwi. Nikt wcześniej nie ośmielał się mówić do niej w taki sposób, może z wyjątkiem kapitana Garamonda - a on już za to zapłacił. Doprowadzało ją do szału, jak ci mali ludzie, te zera, robią się bezczelni w chwili, kiedy tylko poczują, że są bezpieczni.

- Oczywiście, że nie - powiedziała, zdumiona spokojem swojego głosu. - Jest wiele logicznych powodów, żeby wprowadzić regulacje napływu ludności. Proszę wziąć pod uwagę kłopoty, do jakich doszło, kiedy pierwsi osadnicy napotkali te stworzenia nazywane Klaunami.

- Tak, ale tych kłopotów można było uniknąć. Co więcej, uważamy, że być może zostały sprowokowane.

Przez jedną oszałamiającą chwilę Elizabeth zastanawiała się, czy nie przeciąć Devereaux laserem na dwoje, nawet gdyby miało to doprowadzić do poważnego incydentu, nawet gdyby miało to oznaczać obrócenie Lindstromlandu w fortecę. Później wpadło jej do głowy, że Devereaux - porzucając wszystkie zasady normalnej dyplomacji - wykładał karty na stół. Przyjrzała mu się uważnie, próbując zdecydować, czy oferuje siebie na sprzedaż. Pracownicy rządowi byli znani ze stosowania takich sztuczek, choć w wielce zmodyfikowanej formie - pokaż, że jesteś groźny, i tym samym proporcjonalnie drogi. Uśmiechnęła się i podeszła bliżej do Devereaux, rozmyślnie przekraczając granicę jego przestrzeni osobistej, stosując manewr psychologiczny, którego się nauczyła w młodym wieku. Jego twarz momentalnie zeszywniała, zgodnie z jej przewidywaniami, i już miała go dotknąć, kiedy na szczycie

## Orbitsville

---

schodów pojawił się sekretarz Robard. Niósł słuchawki z przewodem, który rozwijał z rolki, gdy szedł.

Elizabeth spojrzała na niego gniewnie.

- O co chodzi, Robard?

- Najwyższy priorytet, pani. Twój okręt flagowy odbiera wiadomość radiową, której musisz wysłuchać.

- Proszę poczekać. - Odeszła od Devereaux. Szorstkość głosu podwładnego, tak bardzo nic pasująca do jego normalnego zachowaniu, powiedziała jej, że stało się coś ważnego. Przeklęła w duchu nietypowe środowisko Lidstromlandu, uniemożliwiające jej łatwe nawiązanie kontaktu radiowego z zewnętrznym wszechświatem. Założyła słuchawki i usłyszała głos - beznamienny, nacechowany nieludzką pewnością. Natychmiast go rozpoznała i nogi się poci nią ugięły. Elizabeth Lindstrom osunęła się na kolana i słuchała.

- ... wykorzystując materiały i narzędzia z warsztatów *Bissendorfa* zbudowaliśmy samoloty, którymi planowaliśmy polecieć do Beachhead. Okazały się nieodpowiednie na wchodzącą w grę odległość, ale ośmiu z nas dotarło do miejsca, z którego nadaję, do miejsca, gdzie odkryliśmy drugie wejście do sfery. Nie znaleziono go podczas rekonesansu równikowego, ponieważ zostało zapieczętowane metalową płytą. Zastosowany tu metal nic ma nic wspólnego z materiałem powłoki Orbitsville. Przypuszczam, że jest produktem cywilizacji nie bardziej zaawansowanej niż nasza. Tezę tę potwierdza fakt, że nic mieliśmy problemów z wycięciem w nim otworu, przez który wysunęliśmy antenę radiową.

Przez chwilę słychać było trzaski, potem głos powrócił, silny, w miarowo odmierzanych tonach.

- Pakt, że pomimo ograniczonych możliwości tak

## Orbitsville

---

szybko znaleźliśmy drugie wejście, z pewnością oznacza, że istnieje wiele innych otworów. Wiele setek. Wiele tysięcy. Logicznie jest założyć, że wszystkie inne zostały w podobny sposób zablokowane, i równie logiczne jest przyjęcie założenia, że nie zrobili tego budowniczowie sfery. To podnosi pytanie o tożsamość i motywy tych, którzy zapieczętowali wejścia. Dowody sugerują, że praca została wykonana przez rasę istot, które znalazły Orbitsville na długo przed nami. Być może nigdy się nie dowiemy, jak wyglądali ci obcy, ale możemy powiedzieć, że posiadali niektóre wady naszej rasy. Postanowili, przynajmniej niektórzy z nich, zmonopolizować Orbitsville, kontrolować je i eksploatować, i wybrana przez nich metoda miała na celu ograniczenie dostępu do wnętrza sfery. Dowody świadczą również o tym, że się im powiodło... i że w końcu ponieśli porażkę. Być może zostali unicestwieni w bitwie, która, jak wiemy, rozegrała się przy wejściu do Beachhead. Może w końcu przegrali z samym Orbitsville. Zostali wchłonięci i zmienili się, tak jak my zostaniemy wchłonięci i ulegniemy zmianie. To dla nas wszystkich lekcja, że cała organizacja Starflight, mająca własny interes w ograniczeniu naturalnej ekspansji ludzkości, musi zostać odstawiona na boczny tor. Całe Orbitsville jest dla nas otwarte. Jak mówię, jest dostępne...

Elizabeth zdjęła słuchawki, odcinając się od tego straszliwie dydaktycznego głosu. Położyła ręce na gładkiej powierzchni dachu i opuściła się, aż legła płasko na brzuchu, przyciskając twarde usta do plastiku poznaczonego śladami stóp.

Vance'ie Garamondzie, pomyślała, gdy jej umysł zapadał się coraz głębiej przez kolejne poziomy kriogenicznego zimna. Muszę cię kochać... ponieważ jesteś jedynym, który mi

## Orbitsville

---

zadał prawdziwy ból, jedynym, który mnie zranił i rani. Poruszyła biodrami z boku na bok, trąc wzgórkami łonowym o dach. Teraz, gdy wszystko inne się kończy... moja kolej... kochać się... z tobą.

- Pani, jesteś chora? - Głos dotarł do niej z posępnej nieskończoności. Elizabeth uniosła głowę i z wysiłkiem rozpoznała szarą, zaniepokojoną twarz Charlesa Devereaux. Wstała.

- Jak śmiesz! - rzuciła zimnym tonem. - Co sugerujesz?

- Nic, tylko...

- Dlaczego wpuściłeś tego... padalca do mojej kwatery?

- Elizabeth odwróciła się i spojrzało oskarżycielsko na Robarda, który spokojnie podniósł słuchawki i zwijał przewód. - Wyrzuć go stąd!

- Idę... dość widziałem. - Devereaux pośpieszył w kierunku schodów. Elizabeth patrzyła za nim, przekręcając rubinowy pierścień na palcu. Obrócił się łatwo na łożysku potu.

Robard nerwowo się uklonił.

- Jeśli mi wybaczysz...

- Jeszcze nie - warknęła Elizabeth. - Połącz mnie z doktorem Killopsem.

- Tak, pani. - Robard zamruczał do mikrofonu, przez chwilę słuchał i podał jej urządzenie. Chciał odejść, ule gestem rozkazała mu zostać.

Elizabeth podniosła komunikator do ust.

- Doktorze Killops, czy pani Garamond już dostała środki uspokajające? Nie? W takim razie proszę niczego jej nie podawać. Kapitan Garamond wraca, cały i zdrowy, i chcemy, żeby jego żona była w pełni przytomna, kiedy się z nim spotka. - Rzuciła urządzenie i Robard pochylił się, żeby je podnieść.

## Orbitsville

---

- Daj sobie z tym spokój - powiedziała cicho. - Mój samochód za pięć minut ma być gotowy do odjazdu. Mam do załatwienia pilną sprawę w Beachhead.

\*

Gdy Garamond przez radio usłyszał, że jego żona i syn żyją, szok wstrząsnął jego organizmem jak nuklearna kula ognia. Później nadeszła ulga, radość, wdzięczność, zdumienie, odrodzony optymizm - i na koniec, jako skutek emocjonalnego przeładowania, silna reakcja fizyczna. Przez kilka godzin doświadczał zimnych potów, nieregularnego bicia serca i zawrotów głowy, i wszystkie te objawy osiągnęły szczyty, kiedy przybyła mała łódź tranzytowa z kwatery głównej floty.

Jak kiedyś, gdy po raz pierwszy wszedł do sfery, poczuł dezorientację i przestrah na widok postaci w skafandrze kosmicznym wyłazącej z czarnej dziury w ziemi. Za pierwsza pojawiły się inne z pustymi kombinezonami. Nawet kiedy przybysze zdjęli hełmy i obie grupy się spotkały, wciąż wyglądali dla niego dziwnie. Dawno temu przyjął za normę niechlujny wygląd swojej wymizerowanej załogi i teraz członkowie grupy ratowniczej wydawali się zbyt foremni i lśniący, zbyt obcy.

- Kapitanie Garamond? - Młody oficer Starflight podszedł do niego i zaszutował, jego gładka twarz płonęła z zadowolenia i zdrowia. - Jestem porucznik Kenny z „Westmorlnnda”. To dla mnie wielki zaszczyt, panie kapitanie.

- Dziękuję. - Garamond czuł się niezręcznie, odwzajemniając salut.

Spojrzenie Kenny'ego zbłądziło na przechylone syl-



wetki dwóch samolotów i szczęka mu opadła.

- Powiedziano mi, że zdołał pan przelecieć parę milionów kilometrów w tych namiastkach. To musiało być fantastyczne.

Garamond stłumił nielogiczna urazę.

- Można tak to nazwać. „Westmorland”? Czy nic dowodzi nim Hugo Schilling?

- Kapitan Schilling postanowił lecieć z nami. Czeka na pana na pokładzie łodzi tranzytowej. Muszę sfotografować te samoloty, panie kapitanie, są po prostu takie...

- Nie teraz, poruczniku. Mój naczelny oficer naukowy jest ciężko chory i natychmiast musi zostać hospitalizowany. Pozostali też nie są w szczytowej formie. -Garamond starał się mówić stanowczym głosem, mimo że paraliżowało go odrętwienie i miał wrażenie, że jego głowa unosi się w powietrzu jak balon.

Kenny z elastycznością reakcji, która jeszcze bardziej skonsternowała Garamonda, natychmiast stał się zatroskany. Zaczął wykrzykiwać rozkazy i w ciągu paru minut ośmiu członków załogi *Bissendorfa* zostało przygotowanych do przeniesienia na czekającą łódź. Umysł Garamonda pękał od myśli o Alleen i Chrisie, gdy odbywał krótki spacer kosmiczny wśród rozkołysanych widoków gwiazdnych rzek, oddychając pachnącym gumą powietrzem. Gdy tylko przeszedł przez śluzę, ruszył do przedziału na dziobie, który wydał się nieprawdopodobnie przestronny po miesiącach spędzonych w wąskim kadłubie samolotu. Postać w skafandrze kosmicznym podniosła się na powitanie.

- Dobrze cię widzieć. Vance - powiedział Hugo Schilling. Niebieskooki, srebrnowłosa mężczyzna od dwudziestu lat

## Orbitsville

---

służył w Dywizji Eksploracji i traktował swoją pracę wędrowania po nieznanym kosmosie tak, jakby był pilotem lokalnego promu.

- Dzięki, Hugo. Dobrze cię... - Garamond pokręcił głową na znak, że zabrakło mu słów.

Schilling przyjrzał mu się surowo.

- Niezbyt dobrze wyglądasz. Vance. Ciężka podróż?

- Ciężka podróż.

- Nic musisz nic więcej mówić. Nie zdejmujemy kombinizonów, ale się przypnij i odpręż. Niedługo będziesz w domu. Spróbuj się przespać.

Garamond z wdzięcznością skinął głową.

- Widziałeś moją żonę i syna?

- Nie. W przeciwieństwie do ciebie jestem tylko pracującym skrzydłomigaczem i nie dostałem zaproszenia do Oktagonu.

- Do Oktagonu? Co oni tam robią?

- Mieszkają u prezes, odkąd... ach... zniknąłeś. Są ważnymi osobistościami, wiesz, nawet jeśli tylko pławią się w odbiciu twojej chwały.

- Ale... - W ciele Garamonda zaczęło się tworzyć nowe jądro zimna. - Powiedz mi, Hugo, czy prezes przysłała cię tutaj, żebyś nas zabrał?

- Nie. Była to automatyczna reakcja ze strony dowództwa floty. Prezes jest w North Ten, to jeden z dworców towarowych, który zbudowaliśmy.

- Czy już słyszała moją pierwszą wiadomość?

- Prawdopodobnie. - Schilling wskazał na niego palcem. - Zaczynasz się pocić z powodu pewnych rzeczy, które powiedziałeś o Starflight? Nic przejmuj się, wszyscy wiemy, że

## Orbitsville

---

byłeś w stresie. Możesz wyjaśnić, że dałeś się porwać chwili.

Garamond odetchnął głęboko.

- Czy w Beachhead są samoloty albo jakieś inne szybkie środki lokomocji?

- Jeszcze nie. Cała produkcja koncentrowała się no samochodach i domach.

- Ile czasu zajmie prezes powrót do Oktagonu?

- Trudno powiedzieć, względy prędkości nie są najważniejsze podczas konstruowania samochodów. Może osiem godzin.

- A my kiedy wrócimy?

- Przyjmuję pięć godzin z uwagi na stan pana O'Hagana.

- Przyśpiesz, Hugo - poprosił Garamond, - Muszę wrócić przed prezes, a ona ma kilka godzin przewagi.

Schilling spojrzał na tablicę informacyjną, na której zmieniające się kolorowe konfiguracje pokazywały. Iż statek jest hermetyczny i prawie gotowy do lotu.

- To będzie oznaczać naprawdę duże przeciążenia. Dla chorego...

- Nie będzie miał nic przeciwko. Idź go zapytać.

- Nie rozumiem...

- A gdybym powiedział, że to sprawa życia i śmierci?

- Nie uwierzyłbym ci, ale... - Schilling mrugnął krzepiąco, połączył się z kabiną pilota i poinstruował, że z uwagi na stan zdrowia O'Hagana należy odbyć podróż powrotną w jak najkrótszym czasie. Garamond mu podziękował i spróbował odprężyć się w fotelu, żałując, że nic mógł zaufać drugiemu człowiekowi. Schilling był miły i nieskomplikowany, z wielkim szacunkiem do władzy. Garamond postawiłby się w

trudnej, a nawet fatalnej w skutkach sytuacji, gdyby spróbował mu powiedzieć, że jego zdaniem Elizabeth Lindstrom jest psychopatką, która z przyjemnością zamorduje niewinną kobietę i dziecko. Schilling mógłby zripostować pytaniem, dlaczego Elizabeth tego nie zrobiła, kiedy miała okazję, a wówczas on nie byłby w stanie udzielić odpowiedzi. Nie wystarczyłoby powiedzieć, że czuł to w kościach. Zamknął oczy, gdy zaczęły działać siły przyspieszenia, ale narastająca pewność, że jego bliskim grozi niebezpieczeństwo, nie pozwalała mu się zrelaksować. Po trzydziestu minutach lotu pewien pomysł wpadł mu do głowy.

- Myślisz, że zgotują nom publiczne powitanie, kiedy wrócimy?

- Na pewno - odparł Schilling. - Wciąż o tobie mówią w wiadomościach. Nawet kiedy byłeś daleko, reporter o nazwisku Mason, jak się zdaje, prowadził kampanię na rzecz podjęcia poszukiwań twojego statku. Stawiano pięćdziesiąt do jednego, że nie żyjesz, więc nie odniósł większego powodzenia.

Garamond zapomniał o reporterze z Ziemi.

- Mówiłeś, że moja żona i syn leż są dobrze znani. Chcę się z nimi spotkać w tubie tranzytowej w Beachhead. Dasz radę to załatwić?

- Z pewnością, okręt flagowy prezes ma bezpośrednie połączenie z Oktagonem. - Schilling zagadał do mikrofonu w skafandrze kosmicznym, zczekał, znów coś powiedział, a potem wdał się w długą wymianę zdań. Z otwartego hełmu tylko od czasu do czasu napływał szept, ale Garamond słyszał, że rozmowa staje się coraz bardziej burzliwa. Kiedy się skończyła, Schilling przez chwilę trwał zupełnie nieruchomo. W końcu się odezwał.

## Orbitsville

---

- Przykro mi, Vance.

- Co się stało?

- Najwyraźniej prezes wysłała instrukcje z North Ten, że twoja rodzina ma czekać w Oktagonie, dopóki się tam nie zjawisz. Jest teraz w drodze i nic mogą się z nią skontaktować, więc nikt nie może wyrazić zgody na przewiezienie twojej żony do miasta. Nie rozumiem tego.

- Ja chyba rozumiem - powiedział Garamond cicho, wpatrując się w przedni panel z widokiem wszechświata, który był podzielony na pół przez kosmiczny ogrom Orbitsville, jedna połowa w świetle, druga w kompletnych ciemnościach.

Wysiłek poruszania się w warunkach nakładających się sił ciężenia był dla Garamonda prawie zbyt wielki, ale wszedł do ciasnej śluzi, oddychając powietrzem z butli, zanim łódź tranzytowa dotarła do łap dokujących. Otworzył zewnętrzne drzwi w chwili, gdy zapaliło się zielone światło, wyszedł z łodzi i znalazł się w oświetlonej tubie w kształcie litery L. Były tam poręcze i na zaokrąglonym zakręcie, gdzie zaczynała działać grawitacja sfery zaczynało się antypoślizgowe przejście.

Garamond za pomocą rąk przeciągnął się przez sekcję, w której panował stan nieważkości, przełazi przez niewidzialny syrop pola soczewki, wyprostował się i poszedł do hali dla przybywających. Natychmiast napotkał mur twarzy i ciał. a gdy tylko otworzył hełm, runęła na niego fala okrzyków i wiatów. Ludzie tłoczyli się wokół niego, klepiąc go po plecach, zabierając przewody, rurki i złączki z jego skafandra jako suweniry.

Z tyłu tłumu stali ludzie z kamerami i gdy powiódł wzrokiem po ich twarzach, niekontrolowany impuls kazał mu

unieść rękę w geście dwudziestowiecznego astronauty, który powrócił z misji orbitalnej. Sklął w duchu samowolną kończynę, przerażony jej zachowaniem, i skoncentrował się na znalezieniu właściwej twarzy w oszałamiającej masie ludzi, świadom, jak bardzo zawsze polegał na Cliflie Napierze w nietypowych okolicznościach. W tłumie było wielu mężczyzn z mundurach wysokich urzędników Starflight i każdy z nich mógł zorganizować transport do Oktagonu, ale nie miał pojęcia, którzy z nich są członkami wewnętrznej kadry Elizabeth i tym samym wrogami. Wypatrzył barczystego młodego człowieka z przedwcześnie siwiejącymi włosami, przedzierającego się w jego stronę, i rozpoznał Colberta Masona. Chwycił w rękawice jego wyciągniętą dłoń.

- Kapitanie Garamond - krzyknął Mason w panującym gwarze. - Brak mi słów, żeby powiedzieć, jak bardzo...

Garamond pokręcił głową.

- Pogadamy później. Masz samochód?

- Na zewnątrz.

- Muszę natychmiast się stąd wydostać.

Mason się zawahał.

- Jest oficjalny transport Starflight.

- Pamiętasz dzień, kiedy się poznaliśmy, Colbercie?

Potrzebowałeś samochodu i ja...

- Idziemy. - Mason spuścił głowę i ruszył przez tłum jak lodołamacz, a Garamond, którego spowalniał skafander, szamotał się w jego kilwaterze. Parę sekund później stanęli przy białym pojeździe z pomarańczowym napisem „AGENCJA INFORMACYJNA DWÓCH ŚWIATÓW”. Wsiedli, obserwowani przez świtę, która wyległa za nimi z hali, i Mason ruszył.

- Dokąd? - zapytał.

## Orbitsville

---

- Do Oktagonu, jak najszybciej.

- Dobra, ale nie jestem tam mile widziany. Straże nie przepuszcza tego samochodu.

- Ja też nie jestem mile widziany, ale mimo to tam wejdziemy. - Garamond zaczął rozpinąć skafander.

Dobry tekst dla prasy, pomyślał, już wstrząsany przez pierwsze dreszcze paniki. Słowa autentycznego człowieka czynu. Dlaczego ja to robię? Dlaczego mu nic powiem, że sram ze strachu? Może byłoby łatwiej...

Mason garbił się nad kierownicą, jadąc przez przemysłowe dzielnice miasta.

- Tę część pan splantował, ale ją odbudowali, równie brzydką jak zawsze.

- Pewnie.

- Może mi pan powiedzieć, co się dzieje?

Garamond się zawahał.

- Przykro mi, Colbercie, jeszcze nie.

- Tylko się zastanawiałem.

- Tak czy siak, będziesz miał kolejny wielki lemat.

Do licha, to już wiem. Po prostu się zastanawiałem... jako przyjaciel.

- Doceniam przyjaźń, ale nie mogę powiedzieć, dopóki nie będę pewien.

- W porządku - ustąpił Mason. - Będziemy na miejscu za niespełna dziesięć minut.

Do końca krótkiej jazdy Garamond skupiał uwagę na zdejmowaniu skafandra. We wnętrzu samochodu było to męczące, frustrujące zadanie, z czego się cieszył, bo chroniło jego umysł przed falami strachu. Gdy w końcu się uwolnił, na wzgórzu wprost przed sobą ujrzał ośmioboczny gmach Cen-

## Orbitsville

---

trum Starflight i ogrodzenie z patrolującymi je strażnikami. Gdy samochód wjechał na zbocze i w polu widzenia ukazały się większe połączenie okolicznej prerii, zobaczył, że do Oktagonu dochodzi również droga z północy. Pędził nią drugi pojazd, odległy o kilka kilometrów, wlokąc za sobą pióropusz szafra nowego pyłu. Był za daleko, żeby rozpoznać czarno-srebrne barwy Starflight, ale w tej chwili odniósł wrażenie, że stalowa obręcz ścisnęła mu klatkę piersiową, pozbawiając go powietrza. W milczeniu wbił oczy w masywną bramę zachodniego wejścia, która zaczynała zapełniać przednią szybę. Reporter zwolnił, gdy strażnicy wyszli z budki.

- Jedź prosto - polecił Garamond. - Nie zwalnij.

- To nic nie da - odparł Mason. - Trzeba by czołgu, żeby wyważyć bramę. Obaj zginiemy. Musimy ich urobić, żeby nas wpuścili.

- Urobić? - Garamond spojrzał na północ i zobaczył, że drugi pojazd zbliża się z prędkością samolotu. - Nie ma czasu na długie pogawędki.

Wyskoczył z auta, gdy tylko zahamowało, i pobiegł do budki przy bramie. Strażnik w czapce z daszkiem, uzbrojony w karabin, nieufnie spojrzał na brudną parodię munduru oficera Starflight.

- W jakiej sprawie? - zapytał, jednocześnie dając znak dwóm kolegom, którzy siedzieli w budce.

- Jestem kapitan Garamond z Dywizji Eksploracji Gwiazdowej. Natychmiast otwórzcie bramę.

- Nie wiem, czy mogę to zrobić, kapitanie.

- Słyszeliście, co powiedziałem, prawda? Wiecie, kim jestem?

- Wiem, kim pan jest, kapitanie, ale to nie oznacza, że



## Orbitsville

---

powiniennem pana wpuścić. Ma pan zezwolenie?

- Zezwolenie? - Garamond przez chwile się zastanawiał, czy nie wybuchnąć świętym oburzeniem, ale zdecydował, że sztuczka nie zadziała w wykonaniu człowieka, który wygląda jak kłoszard. Uśmiechnął się i wskazał tumany pyłu, teraz kilometr od północnej bramy. - Tam jest moje zezwolenie. Prezes Lindstrom jedzie w tamtym samochodzie. Przybywa tu specjalnie, żeby się ze mną spotkać.

- Skąd mam wiedzieć, że to prawda?

- Będziecie wiedzieli, kiedy prezes usłyszy, że mnie nie wpuściliście. Chyba wrócę do mojego samochodu i popatrzę, co się stanie. - Garamond się odwrócił.

- Chwileczkę. - Strażnik obrzucił go zakłopotanym spojrzeniem. - Może pan wejść, ale ten drugi facet ma zostać.

Garamond wzruszył ramionami i podszedł prosto do bramy, która się odsunęła w samą porę. Znalazł się za ogrodzeniem i ruszył do zachodnich drzwi Oktagonu, oddalonych nie więcej niż o kilkaset kroków. Zdążył zobaczyć, że drugi samochód podjeżdża do północnej bramy. Był srebrno-czarny, i dostrzegł bladą kobiecą postać w cienistym wnętrzu. Był przekonany, że się spóźnił, i jego serce biło w nierównym, kulawym rytmie. Pobiegł, nie bacząc, co sobie pomyśla obserwujący go strażnicy, kiedy jego uwagę przyciągnął ruch. Okno się otworzyło w przejrzystej ścianie na najwyższym piętrze. Znowo dostrzegł kobiecą sylwetkę, ale tym razem była to jego żona. Patrzyła na niego.

Uniósł ręce do ust i krzyknął.

- Aileen! Słyszysz mnie?

- Vance! - Głos miała słaby i drżący, niemal zagubiony w powietrzu płynącym w górę pionowej ściany.

## Orbitsville

---

- Jak najszybciej zabierz Christophera na dół do tych drzwi. - Wskazał pobliskie wejście. - Zrozumiałaś?

- Tak, już idę.

Ailcen zniknęła z okna. Garamond podszedł do drzwi. Otworzył je i zobaczył krótki pusty korytarz z czterema wejściami po obu stronach. Zastanawiał się, szukając wzrokiem schodów czy windy, w końcu zdecydował, że jeśli spróbuje spotkać Aileen w połowie drogi, mogą się minąć. W tym czasie Elizabeth już weszła do budynku i zmierzała na górę do swoich prywatnych apartamentów, Aileen i Christopher powinni być w drodze na dół - ale założmy, że jest tylko jedna główna klatka schodowa i wpadną prosto na Elizabeth? Garamond wszedł w chłodny wymiar czasu, w którym całe galaktyki powstawały i ulegały zniszczeniu pomiędzy kolejnymi grzmiącymi uderzeniami jego serca. Próbował myśleć konstruktywnie, ale pozostała mu tylko zdolność odczuwania strachu, bólu, grozy i...

Drzwi w głębi korytarza gwałtownie się otworzyły. Dostrzegł błysk brązowej skóry i kolorowego jedwabiu, a potem Aileen znalazła się w jego ramionach. Udało się, pomyślał z radością. Wszyscy przeżyjemy.

- To naprawdę ty? - Twarz Aileen była chłodna i mokra od łez przy jego twarzy. - To naprawdę ty, Vance?

- Oczywiście, kochanie. Ale nie czas na rozmowy. Musimy... - Garamondowi głos uwiązł w gardle, gdy nagle dokonał przerażającego odkrycia. - Gdzie Christopher?

Aileen popatrzyła na niego w osłupieniu.

- Na górze, w łóżku. Spal...

- Przecież kazałem go przyprowadzić!

- Tak? Nie mogę myśleć... - Aileen szeroko otworzyła

oczy. - Stało się coś złego?

- Elizabeth poszła na górę, żeby zabrać Chrisa. Kazałem ci... - Głosy zabrzmiały za jego plecami i zobaczy ł, że dwóch strażników przyszło za nim do drzwi. Zatrzymali się przed wejściem i patrzyli w górę na budynek. Garamond złapał Aileen za rękę, podbiegł do nich i się odwrócił. Wysoko za przejrzystą ścianą, gdzie minutę wcześniej widział Aileen, stała Elizabeth Lindstrom, przyciskając perłowy brzuch do plastikowej tafli. Spojrzała w dół, przysłonięta tylko przez odbicie chmur, i uniosła rękę w leniwym geście triumfu.

Garamond przyskoczył do najbliższego strażnika, jednym konwulsyjnym ruchem zerwał mu karabin z ramienia i przewrócił go na ziemię. Odbezpieczył broń, przełączył na maksymalną moc i wycelował w chwili, gdy Elizabeth odsunęła się od ściany i zniknęła. Nawiedzone oczy Garamonda spoczęły na popielatej twarzy żony.

- Czy pokój Christophera jest po tej stronie budynku?

- Tak, ja...

- Gdzie? Pokażesz mi dokładne miejsce?

Aileen wskazała ścianę na lewo od miejsca, gdzie stała Elizabeth. Strażnik się podniósł i ruszył z wyciągniętymi rękami, podczas gdy jego towarzysz niepewnie stał w miejscu. Garamond pokazał im ustawienie mocy na karabinie, świadczące, że strzały będą śmiertelne. Strażnik cofnął się, kręcąc głową. Garamond uniósł broń, starannie wycelował i nacisnął spust. Cienki jak igła promień lasera przeszył przejrzysty plastik. Przesuwając lufę, wyciął nieregularny dymiący fragment, który spadł błyszcząc na ziemię. Sekundę później, o co się miodlił, w otworze pojawiła się drobna postać w pizamie. Christopher Garamond tarł oczy, sennie patrząc w przestrzeń. Ga-

rainond rzucił karabin i podbiegi, machając rękami.

Skacz, Christopher, skacz! - Dźwięk jego chrapliwego, przerażonego głosu niemal zatarł myśl: Nic skoczy, nikt by nie skoczył. - Śmiało, synu. złapię cię.

Christopher skulił ramiona. Za nim ukazała się blada, zasapana postać. Christopher wyskoczył przez otwór w powietrze.

Jak kiedyś, na cichym tarasie na Ziemi, Garamond zobaczył spadające dziecko, obracające się i spadające coraz szybciej. Jak kiedyś, biegł w zwolnionym tempie koszmaru, brnął z wysiłkiem, walcząc z gęstymi niczym melasa falami powietrza. Szlochał z rozpaczy, gdy rzucił się przed siebie.

Coś twardego i niewiarygodnie ciężkiego uderzyło go w klatkę piersiową, próbowało mu wyrwać ramiona ze stawów. Upadł za zakurzoną trawę i toczył się z bezcennym brzemieniem przywierającym do jego ciała. Kątem oka dostrzegł błysk lasera, ogniste ostrze dźgnęło w dół i zgasło, nie czyniąc szkody. Znajdował się poza skutecznym zasięgiem pierścienia Elizabeth. Wstał, rozkoszując się dotykiem rąk chłopca na szyi.

- Nic ci nie jest, synu? - szepnął. - W porządku?

Christopher skinął głową i przytulił twarz do jego ramienia, czepiając się go jak niemowlę. Garamond pobiegł do bramy, nie oglądając się na Centrum Lindstromów. Aileen, która dotąd stała z rękami na ustach, dołączyła do niego i razem dotarli do ogrodzenia. Strażnicy, sparaliżowani w budce, patrzyli na nich nierozumiejącym wzrokiem. Colbert Mason stał obok swojego samochodu, trzymając kamerę. Spojrzał na tarczę z boku urządzenia.

- Cała akcja trwała tylko dwie minuty i piętnaście se-

## Orbitsville

---

kund - powiedział z podziwem, a potem z uniesieniem pocałował kamerę. - Doskonały materiał.

- Będziesz miał jeszcze lepszy - zapewnił go Garamond, gdy wsiedli do auta.

\*\*\*

*Garamond, wyczulony na naturę tej dobrotliwej pułapki, nigdy więcej się nie zapuścił do głębokiego interioru Orbitsville.*

*Nawet kiedy Elizabeth Lindstrom złożyła dymisję i odsunęła się od życia publicznego, zrywając wszystkie kontakty ze społeczeństwem; nawet kiedy koncern Starflight tak naturalnie, jak ptaki corocznie migrujące do cieplejszych stref klimatycznych, zrobił miejsce dla innych przedsiębiorstw transportowych; nawet kiedy geodezyjne sieci handlowe rozciągnęły się po zewnętrznej powierzchni Orbitsville.*

*Postanowił zamieszkać za swoją rodziną na skrajach kosmosu, skąd miał najlepszy widok i gdzie mógł zapomnieć, że dla reszty ludzkości czas zbliża się do końca.*

*Czas jest miarą zmiany, ewolucja jest produktem rywalizacji - koncepcje te straciły znaczenie w odniesieniu do Wielkiego O. Uwolniona od potrzeby latania, odczuwania głodu czy strachu, budowania czy niszczenia, nadziei czy marzenia ludzkość musi utracić swoje człowieczeństwo - chociaż metamorfoza nie zajdzie w ciągu jednego roku,*

*Za życia Garamonda doszło do ostatniego wybuchu tej wyjątkowej zorganizowanej aktywności, która, gdyby Człowiek nie ciągnął do sfery jak mucha do miodu, mogłaby umożliwić jego potomkom opanowanie wszechświata. W pewnym magicznym okresie na tysiącu planet narodziło się tysiąc nowych*

## Orbitsville

---

*narodów. Każdy z nich się rozwijał i rozkwitał w swój własny odrębny sposób, ale wszystkim było pisane upodobnić się jeden do drugiego pod wpływem niezmiennych sawann Orbitsville.*

*Z czasem nawet skrzydłomigacze przestały Kursować po szlakach handlowych pomiędzy portalami, ponieważ jaka nagroda może czekać na podróżnika, kiedy miejsce startu niczym się nie różni od miejsca lądowania?*

*Cisza ostatniej długiej niedzieli zapadła nad całym regionem kosmosu.*

*Orbitsville osiągnęło swój cel.*

Bob Shaw (1931-1996) właściwie Robert Shaw, amerykański pisarz sf słynący z lekkich, humorystycznych opo-

## Orbitsville

---

wiadań. Jego prelekcje wygłaszane na Światowych Konwencjach ogromną popularnością za dowcip i polot. W latach 70 poprowadził się do Anglii. Pracował jako dziennikarz, projektant samolotów.